tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 51 (1197)
12-18.12.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

ANDRZEJ RADZIKOWSKI, OPZZ
SZTUKA ZWIĄZKOWEGO DZIAŁANIA

Prof. Stefan Chwin
Patriotyczne chojraki w natarciu

Olga Lipińska
Wojewoda Radziwiłł i przemoc władzy

Mord, który prawicy niczego nie nauczył

NARUTOWICZ
OFIARA NIENAWIŚCI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
51 >
9 771509 311201

eprasa.pl 54657ca967

e-koleda, koleda!

sklep.mleczko.pl

eprasa.pl 54657ca967

Jerzy Domański

Bez lidera, bez trenera, bez klasy

Piłkarzom zabrakło umiejętności. A trenerowi Michniewiczowi wszystkiego. Począwszy od tego, że w ogóle nie powinien być trenerem reprezentacji. Z powodów, które są oczywiste dla większości kibiców. Na ogół nie są to sympatycy obecnej władzy. Po prostu mają inny stosunek do wartości, na których musi opierać się sport, a które w Polsce zniszczyła grupa przestępców z „Fryzjerem" na czele. Działacze, trenerzy i piłkarze umoczeni w ten proceder nie powinni pełnić w sporcie żadnych funkcji. Uważam, że powrót tych ludzi po krótkim okresie banicji sprawia, że w piłkarstwie ciągle nie ma wyraźnego rozróżnienia między tym, co warto popierać, a tym, co trzeba zwalczać i potępiać. Od najmłodszych roczników. Białe musi być wreszcie białe. A nie takie jak u prezesa Kaczyńskiego.

Reprezentacja grała w Katarze, jak umiała. Dobrzy zawodnicy często wygrywają nawet bez trenera. Ale muszą być naprawdę dobrzy. A my nie mamy takiego lidera jak rywale. Lewandowski przy wszystkich jego rekordach kimś takim nie jest. Funkcja kapitana niczego nie gwarantuje. Klub może sobie pozwolić, by drużyna grała na jednego zawodnika. Ale reprezentacja już nie. To wybitny zawodnik musi nie tylko grać na drużynę, ale też dorzucić coś ekstra. Ilu naszych zawodników miałoby pewne miejsce w tych drużynach, które nadal grają w Katarze? Szczęsny i kto jeszcze?

Źle było na boisku, ale jeszcze gorzej poza nim. Powrót z Kataru to była żenada. Zero kontaktu z czekającymi kibicami. Ani słowa do mediów. Primadonny z podwórkowymi manierami. Co to było? Kto na to pozwala? Czy prezes PZPN abdykował? Reprezentacja gra dla kibiców. Trzeba ich traktować poważnie. Zwłaszcza wtedy, gdy gra nie wychodzi. A media? Są jak ból zęba, ale uciekanie przed nimi tylko pogarsza sprawę. Kiedyś był to standard.

Ciągle słyszę porównania z 1986 r. W Meksyku byłem szefem ekipy. W Guadalajarze przegraliśmy z Brazylią 0:4. Ale jaki to był mecz! Przy stanie 0:0 Karaś trafił w poprzeczkę, Tarasiewicz w słupek, a Boniek błysnął przewrotką. Stronniczy sędzia ratował Canarinhos. Wracaliśmy, wiedząc, że kibice są zawiedzeni. Na Okęciu czekało ich sporo. Nie było uników. Były rozmowy. I konferencja prasowa. Nie cackano się z nami. Trener Piechniczek poinformował, że odchodzi. A Zbigniew Boniek życzył następcom, by także wyszli z grupy. Ile lat na to czekaliśmy? Wtedy był trener z klasą i zawodnicy, którzy po porażkach nie chowali się przed kibicami. A mnie nie przyszło do głowy, by z Okęcia wyjechać chyłkiem.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 54657ca967

W NUMERZE

KRAJ

8 **Sztuka związkowego działania**
– rozmowa z Andrzejem Radzikowskim

14 **Problem z paczką? Uważaj na oszusta**
Cyfrowe wyłudzenia

17 **Paliwa naszego powszedniego**
Czy mogłoby być taniej

50 **Oddać głos rybom, wyeliminować patologię**
Etyka a zwyczaje

54 **Black is Polish**
Rasizm i uprzedzenie

OPINIE

12 **Stefan Chwin**
Patriotyczne chojraki w natarciu

19 **Olga Lipińska**
Moralnie nie do przyjęcia!

HISTORIA

20 **Narutowicz – ofiara nienawiści**
Mord, który prawicy niczego nie nauczył

26 **Mity stanu wojennego**
Historię piszą zwycięzcy

28 **Co Jaruzelski wiedział o Kuklińskim?**
Dlaczego Amerykanie nie uprzedzili Solidarności

ZAGRANICA

30 **Facebook. Nam wolno wszystko**
– rozmowa z Cecilią Kang

34 **Dumni, lojalni, niebezpieczni**
Bojówki na amerykańskiej prawicy

KULTURA

38 **Wielki „Szu" i nie tylko**
Jan Nowicki 1939-2022

42 **Gdy Notre Dame płonie**
– rozmowa z Jeanem-Jacques'em Annaudem

41 **Qulturalia**

66 **Malarki warszawskie**

SPORT

46 **Katar przeminął, bóle głowy pozostały**
Wnioski po mundialu

ZWIERZĘTA

58 **Co mewa robi w mieście?**
Nasi nowi sąsiedzi

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Bez lidera, bez trenera, bez klasy

25 **Jan Widacki**
Jeszcze o nowelizacji prawa karnego

33 **Andrzej Szahaj**
Niebezpieczni miliarderzy

37 **Roman Kurkiewicz**
Rzeczniczka pogoniona, kreatura ozłocona

45 **Tomasz Jastrun**
Wstaliśmy z kolan i leżymy

49 **Wojciech Kuczok**
Niezapaszek

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Żółć

30
ZAGRANICA

FACEBOOK.
NAM WOLNO WSZYSTKO
– rozmowa z Cecilią Kang

38
KULTURA

WIELKI.
„SZU" I NIE TYLKO
Jan Nowicki
1939-2022

50
KRAJ

ODDAĆ GŁOS RYBOM, WYELIMINOWAĆ PATOLOGIĘ
Etyka a zwyczaje

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. PAP/CAF, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54657ca967

Każdy może być psychoterapeutą

To jest straszne. Ale jeszcze straszniejsze jest to, że ludziom z odpowiednimi kwalifikacjami nie przeszkadza taki stan rzeczy. To źle świadczy o środowisku psychologów, które toleruje tę sytuację i przy okazji samo jest wolne od nadzoru, weryfikowania wiedzy i sprawdzania skutków prowadzonej terapii. Czy ktoś sobie wyobraża, że np. środowisko chirurgów dozna takiego rozluźnienia pojęcia chirurg, że operacje będzie mógł przeprowadzać ślusarz? Najwyraźniej część psychologów potrafi sobie taką rzeczywistość wyobrazić, a nawet ją zaakceptować. A gdy w środowisku psychologów pojawi się taki pan Witkowski, mówiąc, jak jest i że jest źle, to go oskarżą, że chce zbić kasę na robieniu szumu. Kasę na pseudonaukowym „leczeniu" można za to zbijać bez wstydu. *Michał Błaszczak*

•

Psychoterapia stała się kolejnym towarem, oferowanym jako luksusowy i poprawiający komfort życia, zupełnie jak nowy zestaw garnków czy kołder. *Małgorzata Kulczyk*

HAMULCOWI POLSKICH KOLEI

PKP w PRL to była jedna firma. Po 1989 r. podzielono ją na spółeczki. Koleje państwowe powinny być firmą z misją, a nie dążącą do maksymalizacji zysków kosztem wykluczenia. Kiedyś PKP uzgadniały swój rozkład jazdy z PKS, bo kolej łączyła duże i średnie miejscowości, a PKS rozwoził po okolicy. Oczywiście PKS również miał trasy dalekobieżne, ale to był margines jego działalności. Transport towarowy PKP i PKS pomagał rozwijać i finansować transport pasażerski, bo to oczywiste, że transport publiczny jest dotowany, inaczej ludzi nie byłoby stać na korzystanie z niego. *Piotr Rączkowski*

ENERGETYKA JĄDROWA

Rządzących interesują tylko prowizje od kontraktów. Wybrali na dostawcę elektrowni Westinghouse, bankruta, firmę skompromitowaną w Japonii (Fukushima). Nie zastanawiają się, skąd wezmą paliwo jądrowe ani jak sobie poradzą z odpadami radioaktywnymi. USA kupują uran od Rosji i będą nam go sprzedawać trzy razy drożej – jak gaz. Co ci nieudacznicy jeszcze wymyślą?!

Z informacji prasowych wynika, że oni chcą kupować sam reaktor (może tylko dokumentację?), a o całą resztę niech się martwią następcy. Oferent powinien pokazać, gdzie i co zbudował, ile to kosztowało i jak to funkcjonuje. Ale cwane nieuki wolą kupować w ciemno od tego, kto da więcej „korzyści". Tak samo jak z bronią i sprzętem wojskowym. Wniosek: dajmy sobie na jakiś czas spokój z elektrowniami jądrowymi i przypomnijmy decydentom, że polska energetyka przez dziesiątki lat opierała się na polskim węglu i na polskich oraz licencyjnych technologiach. Gdyby udało się do tego wrócić – można tylko pomarzyć… *Wojciech Kowalski*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Przełomowego odkrycia dokonały w Queensland w Australii trzy poszukiwaczki skamielin. „Rock Chicks" znalazły szczątki plezjozaura, morskiego gada kopalnego, z kompletną głową. 6 grudnia 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 54657ca967

Międzynarodowy zespół biegłych powołany przez Prokuraturę Krajową w 2016 r. **nie znalazł dowodów na wybuch w samolocie**, który rozbił się 10 kwietnia 2010 r. w pobliżu Smoleńska. Specjaliści od medycyny sądowej ze Szwajcarii, Portugalii, Danii, Francji oraz Polski niczego nie znaleźli w ciałach ofiar. Była katastrofa, a nie zamach.

•

Za 15 ha kościelnego gruntu premier Morawiecki zapłacił 700 tys. zł. Ziemię sprzedał mu **ks. Sławomir Żarski**, ówczesny proboszcz parafii. A wcześniej agent SB o pseudonimie „Pątnik". Dziś generał. Czego tu nie rozumiecie?

•

A to się świat finansów uśmiał. Informacja, że były prezes TVP **Jacek Kurski** został przedstawicielem Polski w Radzie Dyrektorów Wykonawczych Banku Światowego, wyglądała na kiepski żart. Ale żartem nie jest. Podobnie jak zarobki Kurskiego. **Ponad 1 mln zł rocznie plus 150 tys. zł** funduszu reprezentacyjnego, plus 188 tys. zł emerytury.

•

Oprócz inflacji najszybciej rosną kwoty przekazywane **TVP i Polskiemu Radiu**. W 2022 r. media te miały z budżetu 2 mld zł. A na rok wyborczy dostają **2,7 mld zł**. Za mniejsze pieniądze wstydzą się występować w interesie dojnej zmiany.

•

Od 30 lat, czyli od 5 grudnia 1992 r., nadaje **telewizja Polsat**. Pierwsza prywatna i niezależna telewizja w Europie Środkowo-Wschodniej została założona przez Zygmunta Solorza. Skutecznie zwiększyła sferę wolności słowa i pluralizm mediów.

•

Za 480 tys. euro plus opłaty aukcyjne sprzedano pierwsze wydanie **„O obrotach sfer niebieskich"** Mikołaja Kopernika. Księga została wydana drukiem po łacinie w Norymberdze, w 1543 r. Szacuje się, że na świecie może istnieć ok. 500 egzemplarzy tego wydania. Rękopis jest w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

•

W Warszawie w ostatniej dekadzie liczba ślubów spadła o 42%. Podobnie zmalała liczba ślubów wyznaniowych. W 2021 r. większość ślubów, czyli 63%, miała charakter cywilny.

•

Od 2018 r. odsetek dzieci z nadwagą i otyłością wzrósł o 3%, do 35,3%.

UNESCO wpisało bagietkę na listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości. Codziennie bagietki kupuje ponad 12 mln Francuzów. Ale nie tylko oni. Polacy też są łasi na to pieczywo.

•

Akademia Leona Koźmińskiego w rankingu europejskich szkół biznesu „Financial Timesa" awansowała na 52. miejsce i jest najlepsza w Europie Środkowo-Wschodniej. Na czele listy są francuska HEC Paris i London Business School.

•

Nikt w Polsce nie wie, ile osób traci co roku życie w wyniku przemocy domowej. Szacunki są różne i mówią o utracie życia przez 150-500 osób.

•

Ponad 3 mld dol. wydały w 2021 r. amerykańskie szkoły na produkty i usługi związane z bezpieczeństwem (monitoring elektroniczny, skanery, kamery, ochronę, szkolenia).

•

Dziewięciu na dziesięciu Polaków ma telefon komórkowy, z czego 70% stanowią smartfony. W 2020 r. sprzedano ich 8,5 mln za 2,3 mld zł.

PRZEBŁYSKI

Król Czesław

Prezes PZPN ma problem. Zostawić trenera Michniewicza czy zwolnić? Jeśli go zwolni, będzie pierwszym prezesem w historii związku, który odstrzelił króla. Michniewicza uhonorował Springerowski „Fakt". Trener ma ten certyfikat na papierze. Może tylko to mu zostanie po Katarze.

Krasiwyj Mazurek

Jak ma interes, to jest milutki. Miłość do prawicy to drugie imię Mazurka. Na pierwsze ma Robert. I jak na polskiego prawicowca przystało, wobec tych, co nie są pisolubni, jest zazwyczaj mendowaty. Naujadał na nasz tygodnik, ale my nie tacy… Za kłamstwa odpłacimy prawdą. Bo prawda, Mazurek, cię wyzwoli. Jeśli jeszcze jest tam coś do uratowania. Na początek bliski Mazurkowi „Tygodnik Solidarność" i wrażenia znanej scenarzystki Ilony Łepkowskiej.

„Nie sądziłam, że poprowadzi rozmowę ze mną na poważny temat w taki sposób, żeby ośmieszyć twórców, wyszydzić projekt ustawy o statusie artysty zawodowego oraz opłatę reprograficzną. Ta rozmowa była prowadzona w sposób okropny, ponieważ wiedział doskonale, o co chodzi w sprawie, o której mówiłam. Lobbing producentów i importerów sprzętów elektronicznych jest bardzo silny, a pan Mazurek przemawiał tak, jakby był ich rzecznikiem. On nie chciał się niczego ode mnie dowiedzieć. Przerywał, nie słuchał, robił wszystko, żeby odbiór rozmowy był taki, by ośmieszyć twórców".

Modzelewski, E.ON i czarna dziura

Panie Andrzeju Modzelewski, prezesie zarządu E.ON Polska. Kieruje pan wielką firmą. Nazwy zmienia często. Ale stosunek do klienta ma stały. Doić bez litości. A jak petent mieszka w Warszawie, to nie ma do kogo się odwołać. Żadnych nazwisk. Żadnych telefonów. Łatwiej znaleźć nazwiska i telefony w Agencji Wywiadu niż w E.ON. Zwrócił się do nas czytelnik, od którego E.ON domaga się ponad 8 tys. zł za dom, w którym od dwóch lat nikt nie mieszka. Prezesie Modzelewski, może pan obudzi oddział warszawski E.ON?

Zawiadomienie. W zwiazku z prowadzonym postepowaniem windykacyjnym wobec Pani / Pana w imieniu E.ON Polska S.A., wnosimy o niezwloczna wplate zadluzenia: 8586.54 PLN wynikajacego z zawartej umowy, na

Był kościół. Będzie biznes

To jest prawdziwa okazja. Choć nie dla was, drodzy czytelnicy. Bo trzeba mieć odłożone 2,5 mln zł. Kto tyle ma? Jak ktoś się załapał na posady rozdawane przez dojną zmianę, to ma nawet więcej. A jak ma, to może pojechać do Brzegu i kupić sobie pofranciszkański kościół. Od dawna nieużywany, ale w dobrym stanie. W 2003 r. miasto Brzeg przekazało zabytek kurii wrocławskiej. Za symboliczną złotówkę. A dalej już poszło. 1,7 mln zł dało ministerstwo od prof. Glińskiego. Starczyło na wzmocnienie fundamentów, odbudowę dwukalenicowego dachu i inne takie. Nic, tylko kupować. I uruchamiać dochodowe usługi. Kiedy wyrzucą dojną zmianę, będzie jak znalazł.

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 54657ca967

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co Polacy wiedzą o przyczynach zamordowania prezydenta Narutowicza?

PROF. PIOTR TADEUSZ KWIATKOWSKI,
socjolog, badacz pamięci zbiorowej, Uniwersytet SWPS

W szerszych kręgach społecznych wiedza o prezydencie Narutowiczu i okolicznościach, które doprowadziły do jego śmierci, okazuje się znikoma. Oczywiście jest trochę ludzi, którzy interesowali się historią międzywojnia lub chociażby pamiętają bardzo dobry film Jerzego Kawalerowicza „Śmierć prezydenta", mówimy jednak o ułamku procenta mieszkańców Polski. Nieraz zastanawiałem się nad przyczynami braku zainteresowania tym zdarzeniem i doszedłem do wniosku, że to część szerszego zagadnienia, jakim jest zanik wiedzy rodaków o początkach XX w. W zbiorowej pamięci praktycznie nie istnieje bowiem także rewolucja 1905 r., a I wojna światowa jest obecna bardzo słabo. Dodatkowo wiedza o Narutowiczu nie jest popularyzowana, bo nie wpisuje się on w dominujące narracje: nie pasuje do romantycznego obrazu walczącego przywódcy, był związany z lewicą i zdystansowany wobec Kościoła.

DR MIKOŁAJ MIROWSKI,
historyk i publicysta, redaktor naczelny pisma „Pleograf"

Nie ma badań na ten temat, więc możemy jedynie domniemywać, ale ze znanych mi sondaży wynika, że z polityków tamtego okresu powszechnie kojarzony jest tylko Piłsudski. Setna rocznica zamordowania pierwszego prezydenta II RP to dobra okazja, żeby przypominać to wydarzenie. W sukurs może przyjść popkultura, począwszy od filmu „Śmierć prezydenta" z 1977 r. To wybitna rzecz, która wiernie oddaje tragedię tamtych dni, ale może być także źródłem wniosków dla współczesnych. Jerzy Kawalerowicz pięknie pokazał (warto podkreślić wybitne kreacje aktorskie Zdzisława Mrożewskiego, Marka Walczewskiego i Jerzego Duszyńskiego), jak stworzenie atmosfery nienawiści wobec demokratycznie wybranego prezydenta doprowadziło do zamachu. Wojna polsko-polska trwa i niech dramat sprzed stu lat będzie przestrogą przed wzbudzaniem nadmiernych emocji politycznych.

ANNA SKIENDZIEL,
nauczycielka historii i WOS w ZSTiO nr 2 w Katowicach

Część uczniów kojarzy samo hasło „prezydent Narutowicz", ale wątpię, by wielu z nich wiedziało cokolwiek więcej. I to mimo że ze szkoły podstawowej każdy powinien pamiętać, że wspomniana postać była prezydentem, że jej wybór budził sprzeciw prawicy i że Narutowicz został zamordowany. Kiedy w moich klasach dojdziemy do omawiania kształtowania się ustroju II RP, ten temat rzecz jasna będzie omawiany, jednak w programie i podręcznikach nie zajmuje on wiele miejsca. Znacznie więcej uwagi poświęca się zamachowi majowemu i jego następstwom.

Więcej o zamachu na prezydenta Narutowicza na s. 20

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 54657ca967

Sztuka związkowego działania

Co wywalczyliśmy? Na pewno szybszy wzrost płacy minimalnej. Na pewno obniżenie podatków dla najsłabiej zarabiających

Rozmawiają Jerzy Domański i Robert Walenciak

ANDRZEJ RADZIKOWSKI
– przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Rozmawiamy przed Kongresem Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Kończy się trudna, czteroletnia kadencja. Zaczęła się tragicznie, od śmierci Jana Guza, później mieliśmy czas epidemii COVID-19 i wybuch wojny na Ukrainie.

– Kadencja była trudna, nieoczekiwana zmiana lidera stworzyła wyrwę w ciągłości pracy związku. Ale wcześniej byłem wiceprzewodniczącym, więc było łatwiej kontynuować to, co zaczęliśmy wcześniej. Potem pojawiło się wyzwanie pandemiczne. I życie pokazało, jak potrzebne są związki zawodowe. Aktywnie, jako OPZZ, włączyliśmy się w prace rządu dotyczące programów osłonowych dla przedsiębiorstw i pracowników. Pokazaliśmy naszą przydatność i skuteczność, stworzyliśmy w rozmowach z rządem balans dla przedsiębiorców. Nam chodziło o to, aby środki publiczne szły na utrzymanie miejsc pracy, na ochronę wynagrodzeń pracowników, a nie na zwiększenie zysków właścicieli.

A jak na działanie OPZZ wpłynęła wojna?

– Jeśli chodzi o wymiar ludzki, czyli uchodźców z Ukrainy, zachowaliśmy się godnie i porządnie. Takie mam też opinie napływające od kolegów związkowców z Europy. Przyjmowaliśmy uchodźców w naszych ośrodkach. To są tysiące osób. Organizowaliśmy zbiórkę pieniędzy, wysyłaliśmy na Ukrainę transporty humanitarne.

Kontakty z Ukrainą nie były nowością.

– Tak naprawdę masowa, licząca 1-1,5 mln pracowników rocznie, emigracja do Polski z Ukrainy ma miejsce już od kilku lat. Od dawna więc pomagamy tym pracownikom się organizować. Przy OPZZ działa Międzyzakładowy Związek Zawodowy Pracowników Ukraińskich w Polsce, uruchomiliśmy punkt

eprasa.pl 54657ca967

informacyjny dla Ukraińców, mamy stronę po ukraińsku, Facebook. Być może dlatego łatwiej było nam wejść w czas dużej emigracji, bo wykorzystaliśmy kanały i kontakty, które mieliśmy.

To wymiar ludzki wojny, ale jest też ten, który wpływa na polską gospodarkę i poziom życia obywateli.

– Nie cała inflacja – w ocenie OPZZ – jest spowodowana wojną na Ukrainie. Już w styczniu 2022 r. wynosiła ona 9%, przy zakładanej 3,4%! Ale bez wątpienia wojna spowodowała dodatkowy wzrost cen nośników energii, a wiadomo, że koszt energii wpływa na wszystkie produkty i usługi. Drożeją zatem wszystkie towary. Dzisiaj mamy sygnały z wielu firm, że stoją przed barierą popytową. Koszty są tak wysokie, że spada sprzedaż, a więc i produkcja. Część zakładów już wysyła pracowników na postojowe, na urlopy, mamy zapowiedzi zwolnień grupowych. To może być duży problem, który jest wzmacniany przez złą politykę finansową państwa. Zwłaszcza wobec banków. Oprocentowanie kredytów w Polsce, nawet hipotecznych, zawsze było bardzo wysokie. Ponieważ pozwolono na stopy zmienne, podskoczyły one kilkukrotnie. Sam symulowałem na stronach banku 300 tys. zł kredytu na 35 lat – wyszło prawie milion do spłaty! Taka sytuacja powoduje, że mamy gigantyczny spadek zapotrzebowania na kredyty hipoteczne. A wiadomo – kredyty hipoteczne to budownictwo mieszkaniowe. Jeżeli jest tam spadek, to branże związane z produkcją na potrzeby rynku mieszkaniowego będą miały kłopoty.

Które pieniądze napędzają inflację?

Pracownik w czasach inflacji szybko spostrzega, że jego pensja wystarcza na coraz mniej. A przecież budżetówka już przed wojną zarabiała marnie, było wiele protestów. A teraz? Jak ma żyć tych parę milionów ludzi w branżach związanych z finansami publicznymi?

– Uważamy, że wynagrodzenia w sferze finansów publicznych powinny wzrosnąć wyżej, niż planuje rząd, i jest do tego przestrzeń. Bo to nie te pieniądze napędzają inflację.

Powinny wzrosnąć czy muszą?

– Związek postawił sprawę jasno: oczekujemy 20-procentowego wzrostu. A ponieważ negocjacje nie przynoszą oczekiwanego rozwiązania, organizujemy protesty. Protestujemy już od lipca. We wrześniu mieliśmy protesty pracowników cywilnych sądów i prokuratur. Protestuje Związek Nauczycielstwa Polskiego. Mieliśmy w listopadzie protest służb mundurowych. Napięcie jest cały czas. Choć, myślę, jest ono niwelowane częściowo tym, że w Polsce – na razie – dobrze wygląda rynek pracy. Że ludzie mogą odejść gdzie indziej. Mamy sygnały, że z wielu instytucji finansów publicznych odchodzą tam, gdzie są wyższe zarobki.

To się odbija na pracy tych instytucji.

– Zdecydowanie! W przypadku oświaty czy ochrony zdrowia już mało kto pracuje na tzw. jednym etacie. W Warszawie wobec braku nauczycieli słyszę o dwóch etatach na głowę lub nawet więcej. Takie są braki! Na krótką metę pracownicy to wytrzymują. Ale na dłuższą – wszyscy za to zapłacimy. Pracownicy zdrowiem, system – obniżeniem jakości usług. A inflacji i tak w ten sposób nie stłumimy. Jeśli nie ograniczymy wzrostu cen nośników energii – nie ograniczymy inflacji. Pokazują to przykłady innych państw, chociażby Francji, gdzie rząd zamroził ceny energii.

Tu jest dobry moment, żeby powiedzieć o górnictwie. Tego, co dzieje się wokół tej branży, nie daje się opisać w kategoriach racjonalnych. Zamykamy dwie kopalnie, które mają jeszcze pokłady węgla, kosztuje nas to miliard złotych, zwalniamy ludzi. A teraz próbujemy coś odkopać i zatrudniać sztygarów z Ukrainy, bo nasi już poszli na emerytury albo do innych prac… Dlaczego sytuacja jest tak paranoiczna?

– Wskazuję to od co najmniej dwóch lat! Rozumiem, że jest oczekiwanie, również w Polsce, by ograniczać emisję dwutlenku węgla. Ale ograniczenie wydobycia, gdy zapotrzebowanie polskiej gospodarki i polskich obywateli na węgiel rośnie, jest idiotyzmem. Mówiłem o tym wielokrotnie, także w gremiach rządowych. Odpowiedzi nie usłyszałem. Przecież trzeba było dostosować harmonogram wygaszania kopalń do zapotrzebowania gospodarki. A nic takiego się nie działo, rosnącą różnicę w wydobyciu i zapotrzebowaniu pokrywano importem z Rosji. Teoretycznie mieliśmy się uniezależniać od Rosji, tymczasem uzależnialiśmy się.

Co dziś OPZZ mówi górnikom? I ludziom, którzy pracują w branżach okołogórniczych?

– Górnikom mówimy to samo, co rządowi. Najpierw trzeba zapewnić Polsce bezpieczeństwo energetyczne, a potem można zamykać kopalnie. Złoża, która są, możemy przez najbliższe kilkanaście lat eksploatować. A jednocześnie – wykorzystując m.in. środki za uprawnienia do emisji dwutlenku węgla, które rząd zmarnował, wydał nie na to, co powinien – rozwijać sektor OZE, energetykę jądrową itd. To musi być robione z głową.

Co związek wywalczył?

Jak pan ocenia minione cztery lata w OPZZ? Jak związek wyglądał cztery lata temu, a jak wygląda teraz? Co się zmieniło?

– Przetrwaliśmy ten okres, i to nie kurcząc się, ale rozwijając, utrzymując wysoką aktywność. W tym czasie występowaliśmy z wieloma inicjatywami dotyczącymi zarówno poprawy warunków pracy oraz wynagrodzeń pracowników, jak i funkcjonowania polskiego przemysłu. OPZZ skrupulatnie analizowało projekty ustaw rządowych i parlamentarnych – i wspierało te zapisy, które były korzystne dla pracowników, a eliminowało niekorzystne. To się udawało. Zbudowaliśmy sobie takie możliwości.

Które postulaty OPZZ rząd przyjął?

– Co wywalczyliśmy? Na pewno szybszy wzrost płacy minimalnej. Na pewno obniżenie podatków dla najsłabiej zarabiających. To był mój postulat, zgłoszony w czasie posiedzenia Rady Dialogu Społecznego. Na pewno wycofanie się z konieczności rozwiązywania umów o pracę przy przechodzeniu na emerytury pomostowe. Podniesienie zasiłku dla bezrobotnych. Odliczanie składki związkowej od przychodu. Przyjęcie 80 tys. zł jako kwoty wolnej od podatku dla osób, które osiągnęły

eprasa.pl 54657ca967

wiek emerytalny i pracują bez rozwiązywania umowy o pracę. To są nasze postulaty, przyjęte wprost. Ale były jeszcze inne. Jednym z naszych postulatów było przeznaczanie 7% PKB na ochronę zdrowia. W zasadzie w swoim programie rząd również to przyjął. Budowanie programów wsparcia w covidzie – to też się działo i z naszej inicjatywy, i z naszym udziałem. Z inicjatywy OPZZ odbyło się we wrześniu posiedzenie poświęcone przemysłowi energochłonnemu. W efekcie rząd zgodził się zbudować sześciomiliardowy program dla branży.

Mamy poza tym sukcesy na arenie europejskiej. Z aktywnym udziałem OPZZ przyjęte zostały unijna dyrektywa work-life balance oraz dyrektywa o adekwatnych wynagrodzeniach pracowników, która zawiera duży wątek dotyczący rozwoju układów zbiorowych pracy. Bierzemy też aktywny udział w przygotowywaniu dyrektywy o pracy platformowej i dyrektywy dotyczącej likwidacji luki płacowej między kobietami a mężczyznami.

OPZZ jest mocniejsze w Polsce czy słabsze?

– Autorytet OPZZ wzrósł. Potwierdzają to badania CBOS. Coraz większa część społeczeństwa pozytywnie ocenia związki zawodowe. Zresztą widać to także po tym, że na wiele funkcji w związku mamy po kilku chętnych. Związek żyje, przychodzą młodsi. Natomiast generalnie w Polsce związki zawodowe przeżywają kryzys. Jest to kryzys liczony skalą zorganizowania. Te 12% zorganizowania w związkach zawodowych nikogo z nas nie satysfakcjonuje.

Siła naszych ekspertów

Patrząc z pewnej perspektywy, widzi się, że związek ewoluuje, że nie jest już prostą platformą walki o prawa pracownicze, ale chce być partnerem – dla rządu, managementu. W coraz większym stopniu mówicie o gospodarce jako całości, a nie tylko o walce o płace lub warunki pracy.

– Od początku kadencji starałem się zwiększyć naszą kreatywność. Żebyśmy nie byli takim związkiem, który tylko odpowiada na działania rządu czy pracodawcy. Bo wtedy mamy ograniczone pole działania – albo protestujemy, albo strajkujemy, jesteśmy przeciw… Uważałem, że powinniśmy być bardziej aktywni, wyprzedzać pewne zdarzenia, wychodzić z inicjatywami, po to by lepiej kształtować otoczenie. Bo gospodarka jest systemem naczyń połączonych – to nie tak, że sytuacja jednego zakładu jest niezależna od sytuacji drugiego czy od kondycji budżetu. Jeżeli gospodarka będzie funkcjonowała lepiej, będzie większa przestrzeń dla wzrostu wynagrodzeń, lepszego życia.

Do takiej polityki trzeba mieć ludzi o wysokich kwalifikacjach. Dobrych ekspertów, którzy potrafią czytać analizy, przygotować programy i koncepcje.

– Posiłkujemy się najczęściej aktywem z organizacji członkowskich z poszczególnych branż. To jest kadra inżynieryjno-techniczna, znająca swoje zakłady, swoje branże, oni wiedzą, w czym jest problem i jak trzeba próbować go rozwiązać. Mamy też ekspertów w centrali…

Wystarczy zweryfikować to, co mówią eksperci pracodawców, rządu i OPZZ. Ci związkowi przeważnie byli najbliżej rzeczywistości.

– Od paru lat tak właśnie jest. Praktyka weryfikuje tezy, przewidywania czy oceny ekspertów. Oceny naszych, a nie rządowych czy tzw. niezależnych, są najtrafniejsze, prawie stuprocentowe. Cieszy mnie, że udało się zbudować taki zespół.

Teoretycznie związkowca nie powinny obchodzić takie sprawy jak import węgla czy wzrost cen energii. Obchodzić go powinien pasek comiesięcznej wypłaty. Ale wy chcecie patrzeć szerzej.

– Życie pokazało, że ekonomia rządzi się twardymi prawami i albo je zrozumiemy i będziemy próbowali lepiej kształtować całość, albo będziemy coś tam od czasu do czasu szarpać. Ja jestem zwolennikiem rozwiązań systemowych. Wtedy są większe szanse na zmianę na lepsze. Ale nie wszyscy pracownicy zdają sobie sprawę z powiązań różnych mechanizmów. Dlatego prowadzimy kampanie informacyjne, szkolenia, żeby pokazać złożoność sytemu.

A władza?

– Władza wiele naszych postulatów przejmuje. Oczywiście nie chwaląc się i nie mówiąc, skąd czerpała inspirację. Reaguje pragmatycznie – jeżeli wokół jakiejś sprawy zbudujemy duże poparcie społeczne i dostrzega, że może na tym zyskać, to się przyłącza.

Nie pamiętam takich czasów, by związkowcy uzyskali tyle, jeśli chodzi o wzrost płacy minimalnej, stawki godzinowej czy świadczenia związane z emeryturami i rentami. To jest jak rewolucja – 10 lat temu były spory o 10 gr za godzinę! A politycy mówili, że pieniędzy nie ma i nie będzie.

– Bywali tacy i stracili władzę bezpowrotnie. Myślę, że obecna władza wyciągnęła wnioski z dotychczasowego okresu III RP i wie, że trzeba reagować na potrzeby społeczne, liczyć się z opinią publiczną. Dlatego jako OPZZ staramy się budować kampanie poparcia społecznego dla naszych postulatów. Wtedy władza nie będzie mogła ich zlekceważyć, będzie je podejmowała.

RDS – sztuka dialogu

Przez rok przewodniczył pan Radzie Dialogu Społecznego. Taka funkcja jest kapitałem dla człowieka, który kieruje centralą związkową. Bo staje w obliczu największych wyzwań i kluczowych instytucji państwa. Jak pan ocenia ten okres? Jaki to jest kapitał?

– To duże doświadczenie i duże wyzwanie. Trzeba było podejmować wszystkie problemy. Zgłaszane nie tylko przez związki zawodowe, ale też przez pracodawców i przez stronę rządową. Trzeba było wokół nich organizować debatę, negocjacje. I tworzyć warunki do kompromisów. Bo nie sztuka się pokłócić, wykrzyczeć swoje zdanie. Sztuką jest rozwiązać problem, a przynajmniej złagodzić go, pchnąć pewne rzeczy do przodu. RDS to również sztuka dyplomacji, bo nawet jeśli mamy przeciwne zdanie, nie można nikogo zrazić, żeby nie zepsuć klimatu do rozmów, do negocjacji. A w przypadku braku porozumienia – do kolejnych rozmów, które w RDS trwają bez przerwy.

eprasa.pl 54657ca967

Panuje przekonanie, że ten rok był dobry dla RDS.

– Generalnie w swojej koncepcji zarządzania stawiam na wzmacnianie tego, co łączy, a nie na rozpamiętywanie tego, co dzieli. Po rocznej kadencji w RDS wiele osób dziękowało mi za dobre prowadzenie Rady. Starałem się, by tak było.

Ile jest w związku skłonności do buntu, a ile do negocjacji i rozmów?

– To się rozkłada w zależności od sektora. U nas nie ma aż tak daleko posuniętej świadomości jak np. we Francji, że jak jest problem pracowniczy, to idziemy wszyscy razem. U nas króluje branżowość. Wszystko więc zależy od sytuacji w branży. Jeśli dzieje się źle, branża się szykuje i protestuje. W tej chwili w zasadzie, ponieważ mamy jeszcze niezłą sytuację na rynku pracy, dużych zawirowań nie ma.

Skąd ta „jeszcze niezła" sytuacja?

– Stąd, że Polacy są pracowici i dużo pracują. W zakładach przemysłowych biorą wiele godzin nadliczbowych, jest praca w soboty, w niedziele. W kopalniach pracuje się siedem dni w tygodniu i przez 24 godziny na dobę. Ponieważ nie brakuje pracy, którą można wziąć dodatkowo, wynagrodzenia są większe. Nie dlatego, że realnie wzrosły, tylko dlatego, że ludzie więcej pracują. To w przemyśle. Za to wielkie rozgoryczenie jest w edukacji i w sferze finansów publicznych.

Sztuka wzajemnego zaufania

OPZZ wręcza swoją nagrodę, Diamenty, wyróżniającym się związkowcom i organizacjom. Ale także pracodawcom. Ostatnio Diament dostał dyrektor szpitala w Zielonej Górze. Skąd ten pomysł nagradzania pracodawców?

– Praktyka pokazuje, że nie wszyscy pracodawcy są źli. Zauważyliśmy to i uznaliśmy, że warto ich pokazywać, warto podziękować tym, którzy poważnie traktują swoją załogę, tworzą klimat do dialogu, próbują działać na rzecz poprawy warunków pracy załogi.

A kto jest lepszym pracodawcą – państwo czy zachodni koncern?

– Do tej pory jeszcze państwowego pracodawcy nie wyróżniliśmy. Ale wyróżniliśmy np. właściciela Amiki, który, zdaniem załogi, bardzo porządnie zachował się w czasie covidowego kryzysu. W momencie gdy był poważny kryzys, dogadał się z załogą, że ludzie zrzekną się części wynagrodzeń, żeby nie było zwolnień. Ale kiedy produkcja ruszyła i firma miała nie najgorsze wyniki, wszystkie te pieniądze, których załoga się zrzekła – oddał. Bez dodatkowej pracy. Prywatny właściciel.

Jakich pracodawców byście więc chcieli? Jest taki model?

– Niestety, kryzysy w świecie były, są i będą. Dlatego ważne jest zaufanie – między załogą a pracodawcą. Jeśli ono jest, to w trudnej chwili załoga zgodzi się na pewne wyrzeczenia, żeby utrzymać firmę. Ale musi wierzyć, że firma zostanie utrzymana, że jest dobrze zarządzana i wyrzeczenia się zwrócą. Dla pracodawcy też jest ważne, że ma odpowiedzialną załogę, z którą może się umawiać. I część przedsiębiorców to rozumie. A my, OPZZ, chcielibyśmy widzieć, z jednej strony, obraz odpowiedzialnego związku zawodowego, z drugiej – odpowiedzialnego pracodawcy. Bo przecież bez przemysłu, bez zakładów pracy nie będzie miejsc pracy.

Kongres będzie wyznaczał program działania OPZZ na najbliższe lata. Co w nim się znajdzie?

– Na pewno wyzwaniem będzie obniżenie inflacji. Ona uderza zarówno w pracowników, jak i w firmy, burzy stabilność gospodarki, poczucie bezpieczeństwa socjalnego. Poza tym musimy się zmierzyć z wyzwaniem słabego uzwiązkowienia. Tu będziemy intensyfikować działania. Kolejny punkt to zmieniające się formy zatrudnienia. Pracownicy platformowi, praca zdalna… Są takie zawody, chociażby informatycy, które w całości przeszły na zdalne. Mamy firmy, które są centrami usług informatycznych dla świata, zatrudniające ponad tysiąc informatyków. Jak do nich dotrzeć? Oczywiście zawsze naczelnym wyzwaniem dla związków zawodowych jest wzrost wynagrodzeń i poprawienie warunków pracy. I w tych sprawach będziemy aktywni. Czekają nas także wyzwania związane z wdrożeniem prawa europejskiego. W końcu będziemy wdrażać dyrektywy, nad którymi sami pracowaliśmy.

Już wiemy, że na kongresie będzie pan kandydował na kolejną kadencję.

– Jesteśmy związkiem demokratycznym, o dość dobrej pozycji – bo o wiele funkcji związkowych w tej kampanii sprawozdawczo-wyborczej ubiegało się więcej kandydatów. Na tym kongresie też będzie więcej niż jeden kandydat na przewodniczącego OPZZ, podobnie – na przewodniczącego komisji rewizyjnej. To dowód, że jesteśmy demokratycznym związkiem zawodowym.

Jerzy Domański i Robert Walenciak

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, CENTRUM PARTNERSTWA SPOŁECZNEGO „DIALOG"

eprasa.pl 54657ca967

Patriotyczne chojraki w natarciu

Łatwo żądać pieniędzy od „niemieckiego państwa", bo to wygodne i niewiele kosztuje. Tymczasem to są konkretne, żyjące dzisiaj osoby, które miałyby nam płacić

Stefan Chwin

Cała chmara prawaków rzuciła się na mnie za to, że w wywiadzie dla PRZEGLĄDU z 14 listopada 2022 r. w związku z ukazaniem się mojej książki „Wolność pisana po Jałcie" ośmieliłem się powiedzieć: „W 1945 r. Niemcy zostali zmasakrowani, i to jeszcze bardziej nawet niż my. W końcu u nas nie było np. nalotów dywanowych, takich jak na Drezno i Hamburg". Nawet internetowy pan Mazurek się odezwał.

Bardzo to ich rozwścieczyło… Więc – zapytajmy – jak to było naprawdę? Jak przedstawiały się zniszczenia Polski i Niemiec po II wojnie? Nasze polskie serce nie chce nawet słyszeć o takich porównaniach. Przecież wiadomo: my, Polacy, cierpieliśmy najbardziej! Nasze straty były największe!

Tymczasem żadne z polskich miast – poza zmiażdżoną Warszawą – nie zostało zniszczone w takim stopniu, co Hamburg, Essen, Kolonia, Kostrzyn, Dortmund, Stuttgart, Lubeka czy Drezno w alianckich nalotach dywanowych. W całych Niemczech bomby zburzyły 161 większych miast, częściowo albo doszczętnie. A w Polsce? Drugie po Warszawie polskie miasto, Kraków – żadnych zniszczeń. A Lwów? Lublin? Wilno? Rzeszów? Częstochowa? Łódź? Białystok? Które z tych miast – poza Warszawą – zostało zmasakrowane w takim stopniu jak Szczecin, Berlin czy Gdańsk, wtedy niemiecki Danzig? Zniszczenia Hamburga czy Gdańska wyglądały jak zniszczenia po zrzuceniu bomby atomowej na Nagasaki. Żadne z polskich miast – poza Warszawą – tak nie ucierpiało. Na Niemcy miesięcznie alianci mogli zrzucić bomby o łącznej mocy 50 bomb

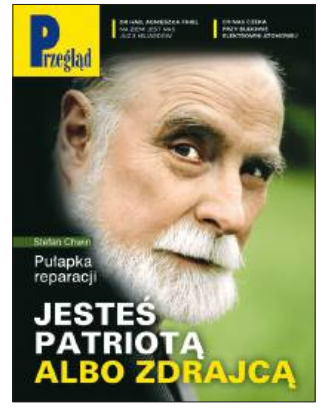

atomowych. W 1942 r. na niemieckie miasta spadło 1,5 mln małych bomb zapalających. Dach nad głową straciło 7,5 mln ludzi. W 70 miastach powyżej 100 tys. mieszkańców zniszczona została połowa budynków.

Pod tym względem Niemcy w maju 1945 r. były krajem – wedle ostrożnych szacunków – co najmniej równie zniszczonym jak Polska. Kto nie wierzy, niech sobie przeczyta choćby książkę Randalla Hansena „Fire and Fury. The Allied Bombing of Germany and Japan" (ang. Ogień i furia. Alianckie bombardowania Niemiec i Japonii). Tam znajdzie stosowne liczby. Dodajmy do tego, że część Niemiec, podbita przez Sowietów, została gruntownie obrabowana z infrastruktury przemysłowej, komunikacyjnej i energetycznej, którą wywieziono w głąb Rosji. U nas też to miało miejsce, ale nie w takiej skali. Do tego ponad milion kobiet niemieckich zostało zgwałconych przez sowieckich sołdatów. W maju 1945 r. Niemcy zostali zepchnięci przez aliantów na samo dno życia. W błoto, nędzę i krew.

Przypominam to, żeby im współczuć? Litować się? Tylko idiota może tak pomyśleć. Świat zapłacił Niemcom za ich zbrodnie. Sami sobie to ściągnęli na głowę.

Chociaż zaraz… Dzisiaj, kiedy Rosja bombarduje dzielnice mieszkaniowe w Kijowie i Charkowie, mówimy, że to jest zbrodnia wojenna. A czy kiedy Amerykanie i Anglicy bombardowali dzielnice mieszkaniowe w Berlinie, Hamburgu i Monachium, to też była zbrodnia wojenna czy nie? Oczywiście, że nie była to żadna zbrodnia wojenna, tylko akt sprawiedliwości. Zabicie, okaleczenie i spalenie żywcem 600 tys. niemieckich cywilów, także wielu kobiet, starców i dzieci. Przecież my, Polacy, cierpieliśmy bardziej, więc niech się spalą. Przecież oni nas mordowali i palili w Auschwitz.

Prawacki mózg polski nie chce o tym wszystkim nawet słyszeć. I oskarża mnie, że ja jestem obojętny na tragedię spalonej w powstaniu Warszawy. Dobry Boże! Dzisiaj słyszymy, że reparacje nam się należą, bo szwaby nas, Polaków, okradali przez całą okupację, dlatego teraz są tak wściekle bogaci, więc powinni grubo płacić. Jest to argument idiotyczny. Niemcy w 1945 r. startowali mniej więcej z takiego samego poziomu co my – to znaczy niemal od zera. Kiedy rozjechały ich czołgi rosyjskie i amerykańskie, prawie nic nie zostało z ich okupacyjnych zdobyczy, tylko kupa dymiących gruzów. A bogaci stali się oni nie dlatego, że nas rabowali przez pięć lat, tylko dlatego, że kiedy w maju 1945 r. zostali za swoje zbrodnie zepchnięci na samo dno życia, Amerykanie dali im górę pieniędzy. I dlatego w 10 lat udał im się Cud Gospodarczy. Gdyby planu Marshalla nie było, byliby dzisiaj mniej więcej w takiej samej sytuacji jak my, albo w jeszcze gorszej.

Prawacy twierdzą, że – jak sugeruje pan Mazurek – mam dystans wobec reparacji dlatego, że pracowałem w Niemczech i tam zarabiałem. Otóż

eprasa.pl 54657ca967

ktoś, kto sugeruje coś takiego, nie jest wart nawet machnięcia ręką. Mam dystans wobec reparacji, bo pokolenie Niemców, którzy popełnili potworne zbrodnie na Polakach, Żydach czy Rosjanach, leży już w ziemi. I nie ma żadnej pewności, jak długo wnuki i prawnuki powinny płacić za jego grzechy. Bo tych, którzy mordowali, już nie ma. A ci, co żyją, z tamtymi zbrodniami nie mają nic wspólnego. Pytanie ogólniejsze: czy ktoś, kto nie ma nic wspólnego ze zbrodnią, powinien być za nią karany potężną grzywną? Jak długo i przez kogo powinny być dziedziczone dawne winy narodów?

Niemcy dzisiejsze nie są żadnym spadkobiercą III Rzeszy, tylko przeciwieństwem Niemiec nazistowskich. Dowodem na to jest choćby niemiecka polityka imigracyjna. Hitler robił wszystko, by nie wpuścić do Niemiec nawet jednego imigranta, i chciał z Niemiec wypędzić wszystkie mniejszości, najlepiej przez komin. Tymczasem dzisiejsze Niemcy przyjęły do siebie miliony imigrantów, także polskich, i nie prześladują żadnych mniejszości, za co polscy prawacy nazywają w internecie Angelę Merkel córką Hitlera.

Drugim dowodem, że Niemcy nie mają nic wspólnego ze zbrodniczą III Rzeszą, jest wielonarodowy charakter niemieckiego społeczeństwa, dla nazistów zupełnie nie do przyjęcia. Kto chce, by wszyscy żyjący dzisiaj Niemcy płacili nam reparacje, niech ma odwagę zażądać otwarcie, żeby płacili je Niemcy tureckiego pochodzenia, którzy mieszkają na berlińskim Kreuzbergu, Niemcy pochodzenia jugosłowiańskiego, arabskiego, ukraińskiego czy pochodzenia polskiego, którzy stali się Niemcami grubo po wojnie i dzisiaj są znaczną częścią „narodu niemieckiego". Bo jeśli niemieckie państwo miałoby płacić nam reparacje, to oni wszyscy musieliby je płacić ze swoich podatków. Także Polacy z obywatelstwem niemieckim, którzy tam żyją i pracują.

Niech więc polscy prawacy, którzy twardo domagają się od Niemiec reparacji, mają odwagę i otwarcie zażądają, by te reparacje wypłacali nam ze swoich podatków tureccy gastarbeiterzy z obywatelstwem niemieckim, których żyje dzisiaj w Niemczech parę milionów. Łatwo bowiem żądać pieniędzy od „niemieckiego państwa", bo to wygodne i niewiele kosztuje, a poza tym pozwala wystąpić w malowniczej roli „patriotycznego chojraka". Tymczasem to są konkretne, żyjące dzisiaj osoby, które miałyby nam płacić. Jeśli ktoś np. uważa, że 20-letnia niemiecko-turecka kasjerka z Kauflandu powinna w imię sprawiedliwości dziejowej płacić nam za niemieckie zbrodnie II wojny, niech nie zasłania się jakimś „niemieckim państwem", które – jak uważa – należy przycisnąć, żebyśmy odzyskali pełnię naszej narodowej godności, tylko niech sam napisze do niej osobisty list z żądaniem określonej wpłaty za spalenie Warszawy i okrucieństwa, jakich Niemcy dopuścili się w Auschwitz. I niech ten osobisty list podpisze swoim imieniem i nazwiskiem. Może też napisać podobny list do swoich znajomych, Niemców polskiego pochodzenia, od wielu lat żyjących i pracujących za Odrą, którzy również musieliby nam płacić.

Jeśli to zrobi, chętnie do niego się przyłączę. W końcu każdy grosz przyda się naszej biednej, potrzebującej Polsce, niechaj więc, dranie, płacą za nasze krzywdy, i to słono. Na początek od każdego po 10 tys. euro? Jestem całym sercem za! ■

KSIĄŻKI

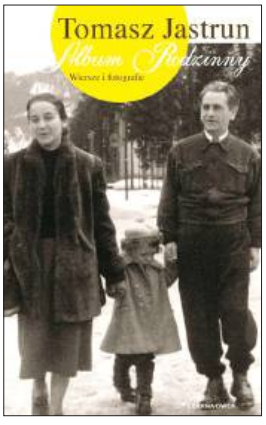

Tomasz Jastrun
Album rodzinny
Wiersze i fotografie
Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

„Wychowałem się w domu poetów. Zarówno mama, jak i ojciec pisali wiersze. (…) czy byłem więc skazany na poezję?", pyta Tomasz Jastrun. A my znamy już odpowiedź. Ceniony poeta, felietonista i prozaik dzieli się z czytelnikami historią swojej rodziny opowiedzianą za pośrednictwem wierszy i tych pisanych przez rodziców, i własnych. Ułożonej według klucza tematycznego poezji towarzyszą unikatowe, często bardzo prywatne zdjęcia.

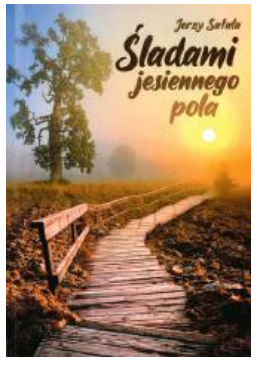

Jerzy Sałata
Śladami jesiennego pola
Związek Literatów Polskich, Olsztyn 2020

Kolejny tomik znanego i popularnego, szczególnie na Warmii i Mazurach, Jerzego Sałaty wydany został z okazji 45-lecia jego pracy twórczej. I tym razem ten oryginalny twórca zaskakuje siłą przekazu, która tkwi w prostocie formy.

Henryk Oleksiak
Humor w kieszeni
Bądź przyjacielem rozumu
Tradycja i duch czasu 2022

Zbiór krótkich historyjek z życia wziętych, które dowodzą, że poczucie humoru może uratować niejedną sytuację, a czasem nie pozostaje nic innego, jak obśmiać daną sprawę. Choć często jest to śmiech przez łzy.

eprasa.pl 54657ca967

Problem z paczką? Uważaj na oszusta

Okres przedświąteczny to idealny czas dla oszustów, którzy wyczyszczą ci konto pod pretekstem problemów z przesyłką

Kornel Wawrzyniak

„Twoja paczka została wstrzymana z tytułu niedopłaty 2,50 zł. Przepraszamy za utrudnienia. Prosimy uregulować należność pod adresem: https:...". Takie SMS-y znają już prawie wszyscy, którzy np. kupili coś przez internet z dostawą do domu lub paczkomatu. Jest to tzw. oszustwo na kuriera. Kiedy czekamy na paczkę, oprócz prawdziwej informacji o stanie przesyłki przychodzi wiadomość, że dostawca napotkał jakiś kłopot, który można rozwiązać, klikając w przesłany link.

– Zauważyłem, że coś jest nie tak, już w wakacje. Prowadzę niewielki biznes, przychodzi do nas w tygodniu sporo paczek. A tutaj nagle przy prawie każdej informacja SMS, że trzeba dopłacić. Pomyślałem: hola, hola! Jak ktoś parę razy nadawał coś przez kuriera, to wie, że płaci się za wysyłkę z góry i nie ma dodatkowych opłat. Nigdy się nie nabrałem na ten przekręt, ale jest to coraz trudniejsze – opowiada Rafał z Wrocławia. Niestety, nie wszyscy mają tyle szczęścia. Wiele osób przez nieuwagę skończyło z kontami wyczyszczonymi do zera.

Na początku większość fałszywych SMS-ów od kuriera dotyczyła niewielkiej dopłaty do paczki, 2-10 zł. Z czasem jednak oszuści zaczęli wymyślać nowe, coraz bardziej wiarygodne bajeczki, aby dobrać się do danych i kont użytkowników. Serwis Niebezpiecznik.pl zajmujący się cyberbezpieczeństwem informował już w 2021 r. o różnych wersjach kradzieży na kuriera. Bywają one niezwykle dopracowane – wysłane w wiadomościach SMS linki często prowadzą do stron lub aplikacji perfekcyjnie imitujących te prawdziwe. Warto jednak zwrócić uwagę, że na części stron zachęca się nas do pobrania pliku o rozszerzeniu .apk, co nie jest standardowym rozwiązaniem. Pobranie i zainstalowanie takiej aplikacji ma zainfekować telefon ofiary złośliwym oprogramowaniem, które pomaga wyczyścić jej konto bankowe. W innej wersji tego przekrętu dostajemy link z formularzem – wypełniając go, oddajemy do dyspozycji złodziei wszystkie dane, które pozwolą im w najlepszym wypadku wypłacić pieniądze z naszej karty, a w najgorszym wziąć pożyczkę na dziesiątki tysięcy złotych.

Ofiarą oszustwa może paść każdy. Nie ma znaczenia ani wiek, ani stopień zaawansowania w obsłudze internetu.

Niech przestrogą będzie historia 35-latka z gminy Leśnica, który, chcąc wyrównać niedopłatę w wysokości niecałych 2 zł, kliknął w link z otrzymanej wiadomości. Ten przekierował mężczyznę na stronę, która przypominała portal jego banku. Oszukany podał login i hasło, a następnie, co było jego największym błędem, zgodził się na dodanie nowego urządzenia. Nie trzeba podkreślać, że nie była to komórka, z której korzystał, tylko smartfon należący do oszustów. Nie minęło kilka minut, a z konta ofiary zaczęły znikać pieniądze. Złodzieje zagarnęli 64 tys. zł.

Według statystyk dziennikarzy portalu Niebezpiecznik.pl „SMS-y na dopłatę" były najpopularniejszym typem ataku, jaki dotykał Polaków w 2021 r. Specjaliści wyjaśniają też coś, co nurtuje wiele osób – kto sprzedał moje dane, że dostaję takie wiadomości? Otóż nie było żadnego wycieku. SMS-y wysyłane są przez oszustów losowo, a że wiele osób korzysta dziś z usług kurierów, to złodzieje mają bardzo duże szanse trafić na kogoś, kto akurat oczekuje na paczkę.

Oszustwo niejedno ma imię

Dla cyberoszustów wyłudzanie danych to świetny model biznesowy. Dowodem są choćby rodzaje oszustw związanych z internetowymi zakupami. Mamy oszustwa biorące nazwy od właściwie każdego popularnego serwisu handlującego na większą skalę. Są więc oszustwa na: Allegro, OLX, Vinted, na kurierów DPD, DHL czy InPost, aż po dostawców usług i banki: PGE Obrót, ING, PKO BP. A to tylko niewielka część stale wydłużającej się listy.

Oszustwa są zaś coraz bardziej złożone i dopracowane. To nie tylko SMS-y, ale też mejle, które wyglądają dokładnie tak, jakby przyszły od firmy kurierskiej. Jedna z naszych redakcyjnych koleżanek dostała mejl niby od kuriera DPD, łudząco podobny do oryginalnego. Kanciarze korzystają z elementów graficznych, takich jak logotyp czy skopiowana stopka z prawdziwym adresem firmy. Jedyna rzecz, która może wzbudzić wątpliwości, to sam adres, z którego wysłano mejl. Jednak nawet on wyświetla się jako „Centrum dystrybucji", adres typu jghytdf485729@mail.pl pokazuje się dopiero w nawiasie obok nazwy, o której brzmieniu i tak decyduje złodziej. W tym wszystkim zawsze chodzi jednak o to samo. O kliknięcie w link.

eprasa.pl 54657ca967

Oszuści czyhają nie tylko na klientów, ale również na sprzedawców. W 2021 r. pojawiła się nowa grupa przestępców, która zaczęła udawać osoby zainteresowane kupnem przedmiotów wystawionych w serwisie OLX. To oszustwo nazywane jest „na WhatsAppa", od aplikacji, przez którą najczęściej kontaktują się złodzieje. Choć zdarza się, że korzystają z mejli wyglądających jak te oryginalne z OLX. A na czym polega sam trik? Kiedy użytkownik wystawia na sprzedaż jakiś przedmiot i zostawia swój numer telefonu, złodziej wysyła wiadomość przez komunikator WhatsApp, udając kupującego. Jego zadaniem jest wyciągnąć od sprzedającego numer karty płatniczej oraz inne wrażliwe dane, takie jak PESEL, numer konta bankowego, numer dowodu, nazwisko panieńskie matki i adres. Wszystko to za pomocą wysłanego formularza, który niby służy do szybkich płatności.

– Chcieliśmy pozbyć się mebli po dziadkach. Po wystawieniu meblościanki, która, umówmy się, nie kusiła walorami estetycznymi, natychmiast odezwała się jakaś kobieta. Na zdjęciu kontaktu miała ustawioną fotkę z małym synkiem. Napisała, że bierze i chce zapłacić przez „płatności OLX", gdzie już miały czekać na mnie pieniądze. Nie pasował mi ten link, który tylko pozornie wyglądał na taki z OLX, miał kropkę po L w nazwie portalu – to było dziwne. Ale kliknąłem zaintrygowany i wtedy już wiedziałem, że to oszuści, bo, jak żyję, nikt mnie w internecie nigdy nie pytał o nazwisko panieńskie matki – relacjonuje Hubert, pielęgniarz mieszkający w Gdyni.

Zjawisko, o którym mówimy, nazywa się phishingiem. To próba wyłudzenia danych przez oszustów, którzy podszywają się najczęściej pod instytucję lub markę cieszącą się zaufaniem. Phishing to jedna z najpopularniejszych obecnie technik wyłudzania danych przez przestępców. Podczas akcji phishingowych złodzieje starają się oddziaływać na emocje ofiary – w wypadku Huberta ktoś chciał skorzystać z radości związanej z szybkim pozbyciem się kłopotu i chęcią wzbogacenia się. Nierozwaga mężczyzny kosztowała go trochę nerwów. – Zdałem sobie sprawę, że choć nie wpisałem nic do formularza, który mi wyskoczył, nie mogę mieć pewności, czy nie zainstalowałem jakiegoś oprogramowania w telefonie, klikając w sam link. A że mam w komórce aplikacje do płatności online, natychmiast zadzwoniłem do banku i zablokowałem wszystkie karty. Na szczęście było to dmuchanie na zimne – podsumowuje z ulgą Hubert.

Jak się chronić?

Latem mieliśmy podobną plagę wyłudzeń, tylko były one związane z dopłatami do rachunku za prąd. „PGE: Na dzień 21.06 zaplanowano odłączenie energii elektrycznej! Prosimy o uregulowanie należności: https:...". – Rachunki za energię płacę w połowie miesiąca. Dzień lub dwa później przychodzi do mnie to samo powiadomienie, że muszę dopłacić, bo przelew był za mały. Wiem, że to oszuści, ale strasznie mnie wkurzają te SMS-y. A co zablokuję numer, to przychodzą wiadomości z innych numerów – denerwuje się Helena, dentystka z Płocka, która pierwsze wiadomości zaczęła dostawać w marcu 2022 r.

Inną historię z oszustwem „na rachunek za prąd" ma Julia: – Jechałam na wakacje. Wtem przyszedł SMS, że mam dopłacić do rachunku z PGE. I tutaj pierwsze zdziwienie: owszem, w rodzinnym mieście mam swoje mieszkanie, które wynajęłam studentom, ale tam jest inny dostawca energii. Dwa: mieszkamy w innym mieście i rachunki przychodzą na męża – wspomina kobieta. Jak widać, oszuści dostosowują się do pory roku i latem korzystali z zamieszania wokół wakacyjnych wyjazdów, podczas którego zapomina się o wielu rzeczach. Czasem również o rachunku za prąd. Złodzieje wykazują się świetną znajomością psychologii. Wiedzą, że w zamęcie najłatwiej coś ugrać. Czy ratujący przed rychłym odłączeniem prądu i rozmrożoną lodówką link do uregulowania płatności nie wydaje się kuszącą opcją?

Podobnie jest z paczkami w okresie świątecznym. Właśnie teraz uaktywniają się szalbierze, którzy skorzystają ze świątecznego szału zakupów i napiszą wszystkim, że upragnione prezenty utknęły. Dlatego pierwszą zasadą, jakiej powinniśmy się trzymać, jest sprawdzanie, kto w ogóle do nas pisze. Wspomniany wcześniej phishing nie bez przyczyny brzmi podobnie do angielskiego *fishing*, czyli

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54657ca967

łowienie ryb. Informacja o wygranej w konkursie czy groźba związana z egzekucją komorniczą wywołuje skrajne emocje i może spowodować, że ktoś kliknie w link bez zastanowienia. Niestety, taki jest cel zarzucających przynętę oszustów. Dlatego nie można dać się ponieść emocjom i lepiej wszystko spokojnie przeczytać jeszcze raz, zanim podejmiemy jakąkolwiek akcję i wpakujemy się w prawdziwe kłopoty.

Warto wiedzieć, że oszuści najczęściej chcą pozyskać loginy, hasła, numery PESEL i PIN, datę urodzenia, dane kart kredytowych oraz informacje teleadresowe. Dlatego kolejną, żelazną wręcz zasadą jest niepodawanie żadnych wrażliwych danych. Nawet banki na swoich stronach informują, że nie wymagają w sieci pełnych numerów PESEL, a tym bardziej nazwiska panieńskiego matki! Kiedy więc widzimy, że formularz ma wyjątkowo dużo pól z pytaniami o dane, trzeba podejrzewać najgorsze. Należy też pamiętać, że jeśli weszliśmy na taką stronę internetową i dopiero w trakcie spostrzegliśmy, że coś jest nie tak, to zaniechanie kliknięcia w „przejdź dalej" nie ratuje nas przed wykradzeniem wprowadzonych informacji. Oszuści już podczas wypełniania przez nas kolejnych pól mogli zobaczyć, co tam wpisywaliśmy, zupełnie jakby zaglądali nam przez ramię. W takim przypadku zawsze lepiej się zabezpieczyć i od razu skontaktować z infolinią swojego banku w celu zablokowania konta. Ofiarą oszustów może dzisiaj paść każdy. Nie ma tutaj znaczenia ani wiek, ani stopień zaawansowania w obsłudze komputera czy internetu, ponieważ przestępcy mają coraz doskonalsze metody wyłudzania danych.

Pobranie i zainstalowanie aplikacji infekuje telefon złośliwym oprogramowaniem, które pomaga wyczyścić konto bankowe.

Firma kurierska DPD, która ma wyjątkowe „szczęście" do tego, że ktoś się pod nią podszywa, informuje teraz na swojej stronie, żeby uważać na oszustów proponujących „dostawy DPD" na OLX. Kiedy patrzy się na screeny dokumentujące ten przekręt, właściwie trudno się dziwić, że ktoś dał się zwieść. Fałszywa strona jest tak dopracowana, że znajdziemy tam nawet grafiki mające reprezentować certyfikaty bezpieczeństwa dla kart płatniczych VISA i MasterCard. Oczywiście taka opcja jak „dostawy z DPD" nie istnieje. Ten przykład pokazuje jednak, że skończyły się niestety czasy, kiedy oszustwa były dość oczywiste, bo wiadomości zostały napisane z błędami i literówkami, a w oprawie graficznej podstawionej strony nie zgadzały się kolory. Teraz podróbki wyglądają równie autentycznie jak oryginały. Dlatego trzeba dokładnie studiować adresy mejlowe i przesyłane linki, ale przede wszystkim nigdy nie wierzyć w superokazje i niespodziewane wygrane. Warto też się zastanowić, jeśli dostaliśmy jakiś dziwny newsletter, czy w ogóle do niego się zapisywaliśmy. Jeśli nie, to już wiemy, że nie mamy nawet po co otwierać tej wiadomości. Niech od razu wyląduje w koszu.

Oszukali mnie. Co dalej?

Jest kilka rzeczy, które warto zrobić, kiedy zorientujemy się, że padliśmy ofiarą oszustwa. Po pierwsze, należy natychmiast (jeśli posiadamy) zmienić dane logowania do aplikacji bankowej. Następnie w najbliższej jednostce policji lub prokuratury zgłaszamy zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Trzeba jednak pamiętać, że internetowi oszuści świetnie rozpraszają swoje ślady, dlatego nie ma co liczyć, że sprawca zostanie rychło, o ile w ogóle kiedykolwiek, ujęty. Natomiast w dalszej perspektywie może się przydać potwierdzenie, że padliśmy ofiarą takiego przestępstwa. Szczególnie gdy ktoś weźmie na nasze konto pożyczkę. Wtedy zaświadczenie z policji pozwala stwierdzić nieważność takiej umowy. Jeśli w wyniku wyłudzenia zniknęły nam z konta pieniądze, to po wizycie na policji należy skontaktować się z bankiem, w którym mamy rachunek, w celu zablokowania konta i kart kredytowych. Można też złożyć reklamację, ale, jak twierdzą specjaliści, w większości przypadków są one rozpatrywane negatywnie. Wtedy, dla najbardziej zdeterminowanych, pozostaje droga sądowa, w której skarży się bank, bo zgodnie z przepisami prawa bankowego to na nim spoczywa odpowiedzialność za to, by czuwać nad bezpieczeństwem środków zgromadzonych na prowadzonym rachunku. Sprawy jednak potrafią trwać latami.

Niektórzy polecają jeszcze zarejestrować się w Biurze Informacji Kredytowej, gdzie możemy sprawdzić, czy złodzieje nie użyli naszych danych do wyłudzenia kredytów lub pożyczek. Warto wreszcie pamiętać, że powinniśmy się zgłosić również do firmy lub portalu, za który podawali się oszuści. Najefektywniejszym zaś sposobem na oszustwo jest zachowywanie zimnej krwi. Skoro oszuści zawsze będą o krok przed przedsiębiorcami i konsumentami, najlepszą samoobroną pozostaje nasz zdrowy rozsądek, bo jak zwykle jako konsumenci jesteśmy zdani tylko na siebie.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

KLUB KSIĘGARZA ZAPRASZA

Stowarzyszenie „Kuźnica"
i Klub Księgarza zapraszają
na wieczór promocyjny
najnowszego numeru
„Zdania" (3/2022)

ZDANIE

**z rozmową „Troje na jednego"
z Jerzym Urbanem**

Spotkanie poprowadzą:
Piotr Gadzinowski i Robert Walenciak

Udział w wieczorze
zapowiedzieli również m.in.:
Dariusz Cychol,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar
Kochanny, Iza Kosowska,
Agnieszka Wołk-Łaniewska

**Wtorek, 13 grudnia, godz. 17.00
Klub Księgarza, Warszawa,
Rynek Starego Miasta 22/24**

eprasa.pl 54657ca967

Paliwa naszego powszedniego

Na światowych giełdach cena baryłki ropy spadła do poziomu sprzed wybuchu wojny w Ukrainie. W Polsce na stacjach benzynowych nadal drogo

Marek Czarkowski

W tym roku rząd Mateusza Morawieckiego pokazał kierowcom, gdzie raki zimują. W czerwcu cena litra bezołowiowej 95 przebiła 8 zł. Podobnie litra diesla. I o ile cena benzyny spadła teraz średnio o ponad złotówkę, o tyle cena oleju napędowego na niektórych stacjach nadal oscyluje wokół 8 zł. Oficjalnie odpowiada za to Putin, który najechał Ukrainę i wywindował ceny ropy naftowej do niebotycznego poziomu.

Mniej oficjalnie zaś – ekipa Morawieckiego z rozmachem ściągała z rynku nawis inflacyjny. Podrożało nie tylko paliwo, ale też prąd, gaz i węgiel. Inflacja z jednej strony czyściła portfele Polaków, z drugiej miała zbawienny wpływ na stan finansów publicznych, obniżając nasze zadłużenie. Trzeba pogodzić się z tym, że nie ma znaczenia, czy cena ropy naftowej na rynkach światowych rośnie, czy spada, rząd będzie dbał, by była ona korzystna nie dla kierowców, lecz dla fiskusa.

Łapa wielkiego brata

Ponad połowa dochodów budżetu naszego państwa pochodzi z podatku VAT. W tym roku, od stycznia do maja, do budżetu wpłynęło z tytułu VAT 97,9 mld zł, o 13,4 mld zł więcej niż w analogicznym okresie roku 2021. Dochody z podatku akcyzowego sięgnęły 31,1 mld zł i były wyższe o 3,5 mld niż rok wcześniej.

Spory udział w tym mają wysokie ceny paliw, gazu, prądu i węgla. Premier Morawiecki doskonale wie, że im żwawiej galopuje inflacja, tym więcej będzie kasy na 13., 14. i 15. emerytury.

Ponieważ rynek paliw oraz kluczowych surowców energetycznych kontrolowany jest przez PKN Orlen – czytaj rząd – państwo ma pełną swobodę w kształtowaniu cen. Po wchłonięciu Lotosu przez Orlen poważnej konkurencji na rynku nie ma. Sprowadzanie zaś benzyn i diesla z rosyjskich lub białoruskich rafinerii to przestępstwo. Czy coś z tym można zrobić? Może warto skorzystać z doświadczeń polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Gdy pod koniec 2010 r. pękła granica 5 zł za litr bezołowiowej 95, na jednej ze stołecznych stacji benzynowych czołowi politycy PiS zorganizowali konferencję prasową na temat skandalicznych podwyżek cen. Na oczach dziennikarzy i fotoreporterów samochody tankowali: Adam Hofman, wtedy rzecznik partii Jarosława Kaczyńskiego, Beata Szydło i Mariusz Błaszczak. Przyszła pani premier i przyszły minister obrony narodowej przypomnieli, że na początku 2009 r. litr benzyny kosztował 2,99 zł, a Niemcy przyjeżdżali do nas, by lać pod korek, bo było taniej.

Dziś podobna akcja nie przyciągnęłaby uwagi. Rząd o tym wie i dlatego doi nas bez oporów. Sprzyja temu fakt, że Polacy w końcu spełnili marzenia o posiadaniu samochodu, a właściwie dwóch, a najlepiej trzech, w rodzinie. W roku ubiegłym nasz kraj z 642 pojazdami na 1 tys. mieszkańców zajął w jednym z unijnych rankingów trzecie miejsce. Wyprzedzili nas tylko mieszkańcy Luksemburga (694 samochody na 1 tys. obywateli) oraz Włosi (655 samochodów). Choć znam dane, z których wynika, że z już 747 pojazdami zajmujemy w Europie drugie miejsce za Luksemburgiem. Niemcy, które zawsze kojarzyły się nam z powszechną motoryzacją, znalazły się na szóstym miejscu (575 samochodów na 1 tys. mieszkańców).

Mamy w Polsce od 24 mln do ponad 30 mln samochodów. A im więcej ich na drogach, tym więcej paliwa sprzedaje PKN Orlen. I tym większe są wpływy do budżetu. Jeśli w czerwcu

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 54657ca967

cena litra benzyny bezołowiowej 95 wyniosła 7,96 zł, to:

- **71%, czyli 5,6516 zł,** trzeba było zapłacić Orlenowi,
- **17%, czyli 1,3532 zł,** wyniosła opłata akcyzowa, którą pobierał minister finansów,
- **8%, czyli 0,6368 zł,** to obniżony podatek VAT, który także pobierał minister finansów,
- **2%, czyli 0,1592 zł,** to opłata paliwowa również pobierana przez ministra finansów,
- **1%, czyli 0,0796 zł,** wyniosła opłata emisyjna,
- **1%, czyli 0,0796 zł,** to skromna marża detaliczna stacji benzynowej.

W 2021 r. wartość rynku detalicznego paliw sięgnęła 142 mld zł. Mamy w kraju 7,8 tys. stacji paliw, z czego 30% należy do koncernów krajowych. Obliczono, że średnia sprzedaż na jednej stacji w ubiegłym roku to 3,5 mln litrów. Jeśli przyjmiemy, że w 2022 r. średnia cena litra benzyny i oleju napędowego sięgnęła 6,50 zł, to przychód jednej tylko stacji paliw wyniósł 22 750 000 zł. Minister finansów z tytułu opłaty akcyzowej ściągnął z niej 3 867 500 zł. A z podatku VAT – 1 820 000 zł.

Swoje musiał też fiskusowi zapłacić PKN Orlen, który w tym roku odnotował rekordowo wysokie zyski. Takie są korzyści z pełnej kontroli państwa nad rynkiem paliw. Żaden rząd nie zrezygnuje z kury znoszącej złote jaja. Łapa wielkiego brata dzierży ją krzepko.

Ile za baryłkę?

8 grudnia 2021 r. baryłka ropy Brent kosztowała 75,92 dol., 8 grudnia 2022 r. była o 1 cent tańsza. Cena ropy spada systematycznie od czerwca z poziomu 123 dol.

Co ciekawe, w listopadzie br. PKN Orlen zaczął oferować paliwa w hurcie po niższych cenach. Był to efekt jesiennych spadków cen ropy naftowej na rynkach światowych. Oraz niższych cen ropy rosyjskiej, która płynęła i nadal płynie do Europy.

Nie przełożyło się to jednak na spadek cen na stacjach w Polsce. Rok temu litr bezołowiowej 95 kosztował 5,85-5,99 zł. A w tym roku – 6,54 zł. Pojawiły się różne teorie tłumaczące to zjawisko. Od prostego podbijania sobie zysków przez właścicieli stacji po bardziej złożoną konstrukcję myślową, w której główne role grają premier Morawiecki oraz prezes PKN Orlen Daniel Obajtek.

Pod koniec listopada, gdy było już jasne, że wprowadzona w tym roku obniżka podatku VAT z 23% do 8% z nowym rokiem się skończy, premier wyraził życzenie, by fakt ten „nie wiązał się z jakimiś podwyżkami na stacjach paliw". Jest oczywiste, że podwyżka podatku VAT do 23% musi oznaczać wzrost cen paliw przy dystrybutorach. Ale można sprawić, by proces ten przebiegł łagodniej. Jak? Utrzymując dziś wysokie ceny paliw mimo obniżki cen hurtowych. Nietrudno się domyślić, że jedynie prezes Obajtek może spełnić życzenie premiera. Gdyby cena litra benzyny bezołowiowej 95 wynosiła teraz nie 6,54 zł za litr, ale jakieś 6-6,10 zł, a po nowym roku nagle wzrosła do 7 zł, kierowcy by się wściekli i podwyżka stałaby się problemem politycznym. A tak, dzięki obecnym, nienaturalnie wysokim cenom, szok w przyszłym roku będzie mniejszy. I nie ucierpią wpływy do budżetu. Przecież gdyby Polacy, zaczęli przezornie chomikować paliwo, fiskus by na tym stracił.

Orlen nie zdradza, ile płaci za baryłkę rosyjskiej ropy sprowadzanej w ramach tych kontraktów. Wolno jedynie przypuszczać, że mniej niż w przypadku kontraktów spotowych, czyli takich, w których dziś płacimy za niemal natychmiastową dostawę surowca. Dlatego jeśli pojawia się informacja o wzroście lub spadku cen ropy naftowej, gazu ziemnego i węgla, to mowa jest o cenach obowiązujących w przypadku kontraktów spotowych, a nie długoterminowych.

Kolejna kwestia, o której koncerny paliwowe mówią niechętnie, to stan zapasów surowca. Na początku wojny w Ukrainie polski rząd deklarował, że nasze zbiorniki są pełne, a ropy naftowej wystarczy na 90 dni. Poza tym przez gdański naftoport trafia nad Wisłę m.in. ropa arabska. Niestety, nie wiemy, ile Orlen płaci dostawcom za baryłkę.

Czy mogłoby być taniej?

Z pewnością tak. Były lata, gdy PKN Orlen zamiast zysków generował straty sięgające miliardów złotych i nikt tym zbytnio się nie przejmował. Za prezesury Daniela Obajtka spółka dobrze zarabia. Rząd mógłby podjąć decyzję o obniżce cen paliw sprzedawanych przez krajowego potentata, lecz byłaby to decyzja ryzykowna. O czym boleśnie przekonali się Węgrzy.

Ekipa Orbána od roku utrzymywała niskie ceny paliw na stacjach benzynowych. Było to możliwe, gdyż Węgry mają długoterminowe umowy na dostawy rosyjskiej ropy po wybitnie promocyjnych cenach. Ta dogodna sytuacja zaowocowała masowymi przyjazdami Austriaków, którzy lali pod korek i na zapas. Rząd węgierski wprowadził więc dwie ceny paliw – niższą dla swoich i wyższą dla obcokrajowców. W konsekwencji mali prywatni importerzy paliw wycofali się z rynku, nie mogąc sprostać konkurencji ze strony koncernu MOL.

Nie ma znaczenia, czy cena ropy naftowej na rynkach światowych rośnie, czy spada. Rząd będzie dbał, by była korzystna nie dla kierowców, lecz dla fiskusa.

Ważne jest jeszcze jedno – zakupy rosyjskiej ropy naftowej przez PKN Orlen. Wojna wojną, lecz wszyscy rozumiemy, że podpisanych umów należy dotrzymywać. A nasz narodowy diament paliwowy ma dwie długoterminowe umowy z Rosjanami. Jedną z koncernem Rosnieft na dostawę 3,6 mln ton ropy rocznie do 2023 r. I drugą, ze spółką Tatneft, na 2,4 mln ton ropy rocznie do roku 2024. Obie realizowane są bez przeszkód. Znamienne, że sankcje wprowadzone ostatnio przez Unię Europejską zabraniają kupowania rosyjskiej ropy transportowanej tankowcami, lecz nie obejmują dostaw rurociągami. A rosyjska ropa trafia do rafinerii w Płocku rurociągiem Przyjaźń.

eprasa.pl 54657ca967

Bratankowie mogliby długo tak ciągnąć, gdyby nie przykry zbieg okoliczności. Najpierw w październiku rozpoczął się planowany remont rafinerii w Százhalombatta, potem na skutek działań wojennych w Ukrainie uszkodzeniu uległa południowa nitka rurociągu Przyjaźń, którą rosyjska ropa płynęła na Węgry, co spowodowało natychmiastowe ograniczenie dostaw. A gdy jeszcze pojawiły się plotki, że rząd wróci do wyższych cen, Madziarzy zaczęli kupować paliwo na zapas. W końcu zabrakło benzyny w dystrybutorach, a rząd Orbána z dnia na dzień wycofał się z polityki niskich cen paliw.

Polski rząd nie może prowadzić takiej polityki, bo – po pierwsze – PKN Orlen nie ma gdzie kupić ropy po wybitnie niskich cenach, a po drugie, politycy PiS „lubią" drogie paliwa, gdyż potrzebują pieniędzy na realizację programów społecznych i kampanie wyborcze. Poza tym posłowie otrzymują zwrot środków za przejechane kilometry, więc drogim paliwem nie muszą się przejmować.

Walka z wysoką inflacją nie jest też celem strategicznym ekipy premiera Morawieckiego. Dla nich wysokie ceny paliw są akceptowalne, pod warunkiem że nie prowadzą do spadku notowań w sondażach. A na razie nic takiego nie obserwujemy.

Pełna kontrola nad rynkiem paliw oraz surowców energetycznych jest przedstawiana jako konieczność zapewnienia krajowi bezpieczeństwa energetycznego. Na szczęście z tym radzimy sobie nieźle. Polska jest przez Komisję Europejską uważana za kraj najlepiej przygotowany do radzenia sobie z takimi kryzysami. Głównie dlatego, że mamy węgiel, kamienny i brunatny, oraz infrastrukturę, dzięki której możemy szybko sprowadzić ropę naftową i gaz ziemny. Otwarte pozostają kwestie polityczne. Rząd i Zjednoczona Prawica przyzwyczaili nas do myśli, że za inflację i wysokie ceny paliw odpowiadają Putin, Timmermans, Komisja Europejska, Zieloni i opozycja. To się nie zmieni, choć prawda jest odwrotna. To rząd ma interes w tym, by było drogo. I bardzo się stara, by tak było.

Marek Czarkowski

Moralnie nie do przyjęcia!

To, co zrobił wojewoda Radziwiłł, to nie cenzura. To przemoc władzy

Olga Lipińska

Pan wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł, o książęcym rodowodzie, ale mentalności barchanowego drobnomieszczanina, jest z wykształcenia lekarzem, specjalistą medycyny rodzinnej. Zapewne jest tatusiem, mam nadzieję własnych dzieci, które chyba przyszły na świat z jego udziałem. I tatuś tak bardzo przestraszył się waginy?! Prawdopodobnie nigdy jej nie widział, przy zgaszonym świetle i pod kołdrą. I rzeźba waginy, którą zobaczył w teatrze, mogła być dla pana wojewody szokiem.

I to powinien być tylko jego problem. Niestety, ma on władzę, za dużą jak na jego barchanową głowę. I tę za dużą władzę wykorzystuje, bo bardzo się stara, aby odebrać teatr utalentowanej artystce, która wygrała konkurs na dyrektorkę. To skandal. Jest kobietą, nieskromną, i nie robi z tego tajemnicy, a nawet to demonstruje. Ma chyba, panie Wojewodo, prawo do wolności artystycznej wypowiedzi w tej sprawie?

Co ma do tego pana poczucie moralności?! To, że ma pan chwilowo władzę, naprawdę nie ma znaczenia dla rozwoju świata. Artyści, panie Wojewodo, rozwijają myśl ludzką i oni zostają w historii i sztuce świata. Nie ma pan po co z nimi wojować, bo tylko się pan spoci i roztoczy nieprzyjemny zapach. Już jest nieprzyjemnie. Teatr nie może pracować spokojnie z zawieszoną dyrekcją. To nie jest żadna cenzura, jak się powszechnie o tym zdarzeniu mówi. Cenzura była w PRL-u. To, co pan zrobił, jest czymś gorszym. To przemoc władzy.

KULTURA

Tomasz Miłkowski

Młot na czarownice

Jak Monika Strzępka zagroziła polskiej kulturze

Byłam 13 lat dyrektorką teatru i często miałam do czynienia z cenzurą, ale w porównaniu z pana wyczynem to były pieszczoty. Wtedy była jeszcze dyskusja z cenzorem, można było jeszcze coś wygrać. W przemocy dyskusji nie ma. Jest tylko uderzenie. W PRL-u władza polityczna wojowała z artystami za pośrednictwem instytucji cenzury, ale często też nas broniła przed nadgorliwością cenzora. Do tamtej władzy można było się jeszcze odwołać. Tak było. A miało być lepiej. Miała być Wolność, Wolność we wszystkim, także Wolność w artystycznym wyrażaniu swojego widzenia świata. Dla władzy przemocowej ta artystyczna wolność jest najgroźniejsza. Chyba znów zawiało, bo trzęsą się portki.

Gdy wieje wiatr historii,
Ludziom jak pięknym ptakom
Rosną skrzydła, natomiast
Trzęsą się portki pętakom

Dedykuję ten piękny wiersz Gałczyńskiego panu – PANIE WOJEWODO WOLNEJ POLSKI.

■

eprasa.pl 54657ca967

NARUTOWICZ – ofiara nienawiści

Mord, który prawicy niczego nie nauczył

Bohdan Piętka

Dzień 16 grudnia 1922 r. prezydent Gabriel Narutowicz rozpoczął od przejażdżki konnej i rozmowy z byłym premierem Leopoldem Skulskim. Kończąc spotkanie ze Skulskim, powiedział, jakby przewidując to, co się wydarzy: „Gdyby ze mną się co stało, niech Pan pamięta, Panie Leopoldzie, o moich dzieciach". Około godz. 11.30 prezydent udał się z wizytą do kard. Aleksandra Kakowskiego. Rozmowa obu dostojników trwała jakieś pół godziny. Metropolita warszawski był przychylny wyborowi Narutowicza na prezydenta i potępiał trwające od tygodnia ataki środowisk endeckich, agresywne demonstracje uliczne i obraźliwe artykuły. Podczas rozmowy kardynał stwierdził, że Narutowicz jest człowiekiem prawym i wybitnym, a uliczna gawiedź to jeszcze nie cała Polska.

Gdy trwało spotkanie prezydenta z kardynałem, do gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybył Eligiusz Niewiadomski – malarz i krytyk sztuki, fanatyczny nacjonalista, znany z niezrównoważonego charakteru. Wejście było możliwe tylko z imiennymi zaproszeniami. Niewiadomski musiał je otrzymać od zarządu Zachęty, który zwykle nie pomijał jego osoby. Tak postąpiono i w tym wypadku, mimo że znano jego poglądy polityczne. Nie przeprowadzano wówczas rewizji gości podczas wydarzeń z udziałem dostojników państwowych. Nie było znanych dzisiaj zabezpieczeń i procedur ochrony. Dlatego Niewiadomski bez problemu wszedł do siedziby Zachęty z ukrytą bronią.

Około godz. 12.05 samochód z prezydentem Narutowiczem zajechał pod gmach Zachęty. Wśród witających prezydenta gości znajdował się m.in. ambasador brytyjski William Grenfell Max Müller z małżonką, która w języku francuskim pogratulowała Narutowiczowi niedawnego wyboru na urząd. Ten odpowiedział jej także po francusku: „Nie gratulacje, ale raczej kondolencje należy mi składać".

Kard. Aleksander Kakowski stwierdził, że Narutowicz jest człowiekiem prawym i wybitnym, a uliczna gawiedź to jeszcze nie cała Polska.

Oglądając obrazy, prezydent przystanął przed płótnem Teodora Ziomka „Szron" (znanym też jako „Krajobraz zimowy"). Wtedy rozległy się trzy strzały z rewolweru. Ugodzony w plecy Narutowicz zginął na miejscu. Zabójca, którym był Niewiadomski, stał nieruchomo w powstałym zamieszaniu i bez oporu dał się rozbroić, mówiąc: „Nie będę więcej strzelać".

Preludium do kryzysu

Tak wyglądał finał pierwszego wielkiego kryzysu politycznego w kraju, który ledwie cztery lata wcześniej odzyskał niepodległość. Kryzys ten ujawnił dramatycznie niski poziom polityczny dużej części elit i społeczeństwa. Preludium do niego były zaś wydarzenia z lipca 1922 r., kiedy naczelnik państwa Józef Piłsudski odmówił zaprzysiężenia rządu Wojciecha Korfantego, popieranego przez stronnictwa konserwatywne z endecją na czele. Kolejną odsłoną narastania polaryzacji stały się pierwsze wybory prezydenta RP, które 9 grudnia 1922 r. przeprowadziło Zgromadzenie Narodowe. Powszechnie uważano, że głową państwa powinien zostać Piłsudski. Ten jednak nie chciał piastować urzędu, któremu konstytucja z marca 1921 r. dawała ograniczone kompetencje, dlatego odmówił kandydowania. Posiadająca silną reprezentację w Zgromadzeniu Narodowym prawica nie miała większości pozwalającej przeforsować ordynata Maurycego Zamoyskiego, ale liczyła, że to się uda.

Niespodziewanie w piątej turze głosowania wygrał stosunkiem głosów 289 do 227 Gabriel Narutowicz – profesor politechniki w Zurychu, od czerwca 1922 r. minister spraw zagranicznych, a wcześniej minister robót publicznych, związany politycznie z Józefem Piłsudskim. Jego kandydaturze, zgłoszonej przez PSL „Wyzwolenie", dawano początkowo najmniej szans. Do finałowej tury głosowań Narutowicz dostał się dzięki intrydze endecji, której parlamentarzyści oddali kilka głosów właśnie na niego. Politycy sejmowej prawicy zrobili to, ponieważ byli przekonani, że w konfrontacji Narutowicz-Zamoyski ten drugi odniesie bezproblemowe zwycięstwo. Endecja wpadła jednak we własne sidła, bo kandydatura Zamoyskiego – „największego obszarnika Rzeczypospolitej" – okazała się nie do przyjęcia nawet dla współpracujących

FOT. NAC, FBC, FORUM

eprasa.pl 54657ca967

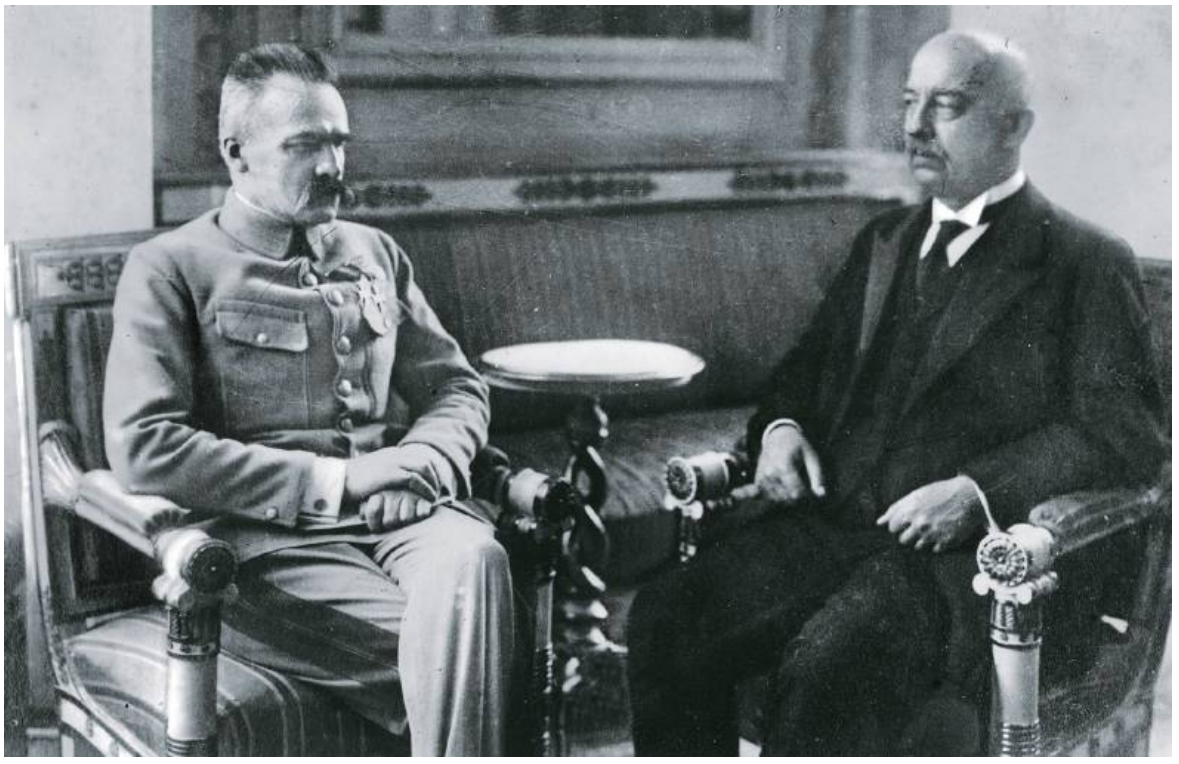

Naczelnik państwa Józef Piłsudski podczas rozmowy z nowo wybranym prezydentem Gabrielem Narutowiczem w Belwederze. Warszawa, 10 grudnia 1922 r.

z endekami konserwatywnych ludowców z PSL „Piast".

W sytuacji tak kompromitującej porażki prawica przeniosła dalszą walkę polityczną na ulicę, wzniecając faktyczny rokosz, którego celem było obalenie demokratycznie wybranego pierwszego prezydenta RP. Najpierw przez uniemożliwienie zaprzysiężenia go, a potem przez próbę wymuszenia na nim rezygnacji z urzędu. Do tego miały doprowadzić nadzwyczaj zajadła kampania nienawiści, nakręcana przez prasę prawicową, i agresywne wystąpienia uliczne. Stosowano w niej wszelkie środki, od tego, co dzisiaj nazywamy mową nienawiści, po agresję fizyczną.

Wynik wyborów w Zgromadzeniu Narodowym lotem błyskawicy rozniósł się wśród ludzi zgromadzonych przed gmachem Sejmu przy ulicy Wiejskiej. Prawie natychmiast rozległy się okrzyki: „Precz z wybrańcem Żydów!". W proteście przeciwko wyborowi Narutowicza uformował się pochód, który udał się w Aleje Ujazdowskie pod mieszkanie gen. Józefa Hallera. Ten przemówił do tłumu: „Wy, a nie kto inny, piersią swoją osłanialiście, jakby twardym murem, granice Rzeczypospolitej, rogatki Warszawy. W swoich czynach chcieliście jednej rzeczy, Polski. Polski wielkiej, niepodległej. W dniu dzisiejszym Polskę, o którą walczyliście, sponiewierano. Odruch wasz jest wskaźnikiem, iż oburzenie narodu, którego jesteście rzecznikiem, rośnie i przybiera jak fala".

Wtórował mu Antoni Sadzewicz – poseł i redaktor naczelny związanej z endecją „Gazety Porannej 2 Grosze" – który oświadczył: „Zaślepienie lewicy i ludowców sprawiło, że najwyższym przedstawicielem Polski ma być człowiek, który jeszcze dwa dni temu był obywatelem szwajcarskim i któremu na gwałt, może już po wyborach na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, sfabrykowano obywatelstwo polskie. W roku 1912 Żydzi narzucili Warszawie niejakiego Jagiełłę jako posła do Dumy rosyjskiej. Dziś posunęli się dalej: narzucili pana Narutowicza na prezydenta".

Sadzewicz świadomie wprowadził w błąd swoich słuchaczy i czytelników, podając publicznie nieprawdziwą informację, że Narutowicz – sprawujący w rządzie polskim przez dwa lata funkcje ministerialne – nie posiadał polskiego obywatelstwa.

Powszechnie uważano, że prezydentem powinien zostać Piłsudski. Ten jednak nie chciał piastować urzędu o ograniczonych kompetencjach i odmówił kandydowania.

Zaślepienie prawicy

Te dwa przemówienia pobudziły do histerii tłumy na ulicy, wśród których dominowali zwolennicy endecji, w tym członkowie różnych endeckich organizacji, z Młodzieżą Wszechpolską na czele. Rozpoczęła się nagonka na „żydowskiego elekta", „germanofila" (to z racji pracy zawodowej Narutowicza w Szwajcarii) i rzekomego „złodzieja grosza publicznego".

eprasa.pl 54657ca967

Podburzeni ludzie przeszli z Alei Ujazdowskich na aleję 3 Maja, gdzie na wiecu uchwalono rezolucję wzywającą Narutowicza do ustąpienia, a PSL „Piast" do naprawy błędu, jakim miało być „poparcie zdrady narodowej".

Związek Ludowo-Narodowy (endecja), Chrześcijańska Demokracja i Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe zapowiedziały, że nie wezmą udziału w zaprzysiężeniu Narutowicza jako prezydenta wybranego głosami mniejszości narodowych. Partie te sformułowały zasadę, zgodnie z którą najistotniejsze sprawy państwowe mogła rozstrzygać tylko polska większość w Sejmie. Jak trafnie zauważył prof. Tomasz Nałęcz: „Gdyby nie egoistyczne zaślepienie, liderzy prawicy, którym zdolności i talentu przecież nie brakowało, łatwo by dostrzegli korzyści płynące z faktu wyboru prezydenta głosami mniejszości narodowych. Wszak można było to wykorzystać wobec zagranicy jako dowód afirmacji polskiej państwowości, jako deklarację lojalnego i czynnego udziału w życiu państwa polskiego. Nadarzyła się wspaniała okazja, by zwolennikom tezy o Polsce – »więzieniu narodów« przedstawić argument nie do odrzucenia. Prawica zaprzepaściła tę szansę" („Rządy Sejmu 1921-1926", Warszawa 1991, s. 25-26).

Przenosząc walkę na ulicę, endecja chciała nie tylko wymusić na Narutowiczu nieprzyjęcie prezydentury. Zamierzała też udzielić Wincentemu Witosowi (liderowi PSL „Piast") lekcji poglądowej, co oznacza rządzenie Polską wbrew jej woli. Nie bez znaczenia były tutaj wzorce zagraniczne. Wszak zaledwie sześć tygodni wcześniej – 28 października 1922 r. – Benito Mussolini w wyniku tzw. marszu Czarnych Koszul na Rzym wymusił oddanie mu władzy. Mussolini pokazał jako pierwszy, jak się robi nowoczesny zamach stanu. Nie było zatem przypadkiem, że podczas manifestacji przeciw Narutowiczowi 10 grudnia tłum udał się pod poselstwo włoskie, gdzie wznosił okrzyki na cześć Mussoliniego i włoskiego faszyzmu.

Zamach w Zachęcie. Rysunek z tygodnika „Ilustracja Polska".

Agresywna kampania medialna, w której prasa endecka za pomocą rzeczownika „Żyd" i przymiotnika „żydowski" stygmatyzowała przeciwników politycznych, rozpoczęła się jeszcze przed wyborem Narutowicza na prezydenta. Okazją stały się pierwsze wybory do Sejmu i Senatu z 5 i 12 listopada 1922 r., w których najwięcej głosów (28,81%) zdobył blok endecko-prawicowy (Chrześcijański Związek Jedności Narodowej). 17 listopada 1922 r. „Gazeta Poranna 2 Grosze" tak oceniła sytuację powyborczą: „Od wyborów w Polsce Żydzi zmienili się nie do poznania (…). O przyszłym rządzie i o polityce polskiej w ogóle Żydzi rozprawiają z taką swobodą i pewnością, jakby Polska cała była już ich kahalnym podwórkiem, na którym wszystko musi się dziać wedle woli żydowskiej (…). Wszystkie ich nadzieje opierają się, jak na niewzruszonej podstawie, na tym przeświadczeniu, że lewica do rządów narodowych nie dopuści i że lewica rządzić będzie mogła Polską tylko wspólnie z Żydami (…). Oni w nowym Sejmie chcą rozpocząć nową przebudowę Polski z państwa narodowo polskiego na narodowościową Judeo-Polskę". 19 listopada 1922 r. konserwatywny tygodnik „Zorza" pisał: „Wybranie do Sejmu około dziewięćdziesięciu Żydów, Niemców i Rusinów przekonało wielu, że wrogowie nasi się skupili, by uzyskać jak największy wpływ w Sejmie na rządy". Tak zagęszczano atmosferę, która eksplodowała po 9 grudnia 1922 r.

Zbiorowa histeria

10 grudnia endecka „Gazeta Warszawska" zarzuciła Narutowiczowi, jakoby nie był Polakiem („z pochodzenia kresowiec z Kowieńszczyzny, z rodziny litwomanów, od młodości mieszkał w Szwajcarii") i że jest narzędziem w rękach światowej finansjery. Było to oczywiste kłamstwo, ponieważ Narutowicz wywodził się z polskiej szlachty, a jego ojciec uczestniczył w powstaniu styczniowym. Nieprawdą były również powielane przez propagandę endecką informacje na temat bezwyznaniowości czy ateizmu pierwszego prezydenta RP. Antoni Sadzewicz w „Gazecie Warszawskiej" i Władysław Rabski w „Kurjerze Warszawskim" pisali o Narutowiczu jako o „żydowskim elekcie", „zaporze" i „zawadzie".

Tego dnia kolejne agresywne przemówienie do manifestującego tłumu wygłosił gen. Haller. Tym razem wezwał do walki z wrogami w związku z „narzuceniem przez obce i wrogie narodowości prezydenta Gabriela Narutowicza". Najbardziej agresywnie przemawiał ks. Kazimierz Lutosławski (poseł endecki), który zapytał wprost: „Jak śmieli Żydzi narzucić Polsce swojego prezydenta? Jak mógł Witos rzucić głosy polskie

eprasa.pl 54657ca967

POMYSŁ NA ŚWIĄTECZNY PREZENT

Mamy już 40 tytułów!

2+1 GRATIS

55 zł ~~65 zł~~

48 zł ~~48 zł~~

31 zł ~~41 zł~~

77 zł

76 zł

75 zł

PAKIET 190 zł ~~228 zł~~

37 zł

39 zł ~~49 zł~~

41 zł ~~51 zł~~

47 zł

45 zł

44 zł

46 zł

PAKIET 115 zł ~~135 zł~~

***dostawa za 0 zł**

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Dąbrowszczacy" w prezencie

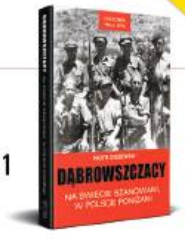

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
***Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +12,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
Promocja ważna do 31.12.2022 r. lub do wyczerpania zapasów.

eprasa.pl 54657ca967

na żydowskiego kandydata?". Natomiast w „Gazecie Porannej 2 Grosze" można było przeczytać, że „jakieś ptasie mózgi urzędnicze biedzą się nad ceremoniałem objęcia władzy przez prezydenta Narutowicza... Ludność polska prowokacji tej nie zniesie... zamiast strumienia krwi, które widzieliśmy onegdaj, popłyną krwi tej rzeki".

To już była zapowiedź gwałtownych zamieszek ulicznych 11 grudnia podczas zaprzysiężenia Narutowicza na prezydenta. Zginął w nich działacz PPS Jan Kałuszewski, a 28 osób zostało rannych, w tym dziewięć ciężko. W jadącego powozem do Sejmu Narutowicza rzucano kamieniami, bryłami śniegu i lodu.

Prawica rozpętała nieprawdopodobnie zajadłą kampanię nienawiści, nakręcaną przez prasę i agresywne wystąpienia uliczne.

Trumna z ciałem Gabriela Narutowicza została wystawiona w Belwederze. Warszawa, 19 grudnia 1922 r.

Wtedy doszło też do pierwszej próby zamachu. Na stopnie prezydenckiego powozu wspiął się napastnik uzbrojony w laskę z żelazną gałką. Zrezygnował jednak z zadania ciosu w głowę Narutowicza, gdy ten spojrzał mu prosto w oczy.

Ale i to nie był koniec zbiorowej histerii. Podsycał ją dalej m.in. czołowy publicysta endecki Stanisław Stroński. Opublikował on 12 i 14 grudnia na łamach „Rzeczpospolitej" artykuły „Obłuda" i „Zawada", w których wywodził, że Narutowicz jest zawadą stawianą przez Piłsudskiego na drodze do naprawy państwa. Pomiędzy 10 a 15 grudnia prezydent otrzymał trzy anonimy z pogróżkami. W jednym zarzucano mu, że został wybrany „głosami lewicy i mniejszości narodowych, bloku nam wrogiego".

Jeszcze w dniu zamachu, 16 grudnia, endecka „Gazeta Bydgoska" tak komentowała uroczystość objęcia władzy przez Narutowicza, która odbyła się 14 grudnia: „Wybrany prawnie, lecz bez zgody rdzennej ludności polskiej, Prezydent Państwa zaczyna już rozsiadać się w swoim fotelu (…). Każdy, kto czuje, jak wielka zbrodnia została popełniona na naszym Narodzie, powinien odrzucić wszelkie poboczne hasła dla tego wielkiego hasła: »Polska dla Polaków«. Wiadomości, które nadeszły obecnie z Warszawy, społeczeństwo polskie nie powinno pozostawić bez odpowiedzi. Odpowiedzią zaś celową będzie zupełne wyeliminowanie wrogiego elementu żydowskiego z życia społeczeństwa polskiego. Przystąpmy do planowej, zorganizowanej w tym kierunku akcji. Niech dziś nikt najmniejszego drobiazgu nie kupuje u Żydów, niech nasze firmy zerwą stosunki handlowe z firmami żydowskimi, jeśli nawet z konieczności dotychczas utrzymywać je musiały. Nie utrzymujmy żadnych stosunków towarzyskich z wrogami naszego Państwa, trzymając się tej zasady, że wróg naszej Ojczyzny musi być i naszym wrogiem osobistym".

Przez pięć dni swojej prezydentury Narutowicz dążył do otwarcia drogi do władzy endecji – tej, która tak histerycznie go atakowała. Nie dlatego, że darzył ją jakimś masochistycznym uczuciem. Wręcz przeciwnie, o prawicy polskiej miał jak najgorsze zdanie. Potrafił jednak odłożyć na bok osobiste urazy i jako mąż stanu kierować się wyłącznie interesem państwa. A ten w jego opinii wymagał, by rząd utworzyły siły polityczne, które po niedawnych wyborach parlamentarnych miały największe szanse utrzymania większościowego gabinetu. Zdając sobie sprawę, czym grozi otwarta konfrontacja, prezydent ostentacyjnie nie wsparł prób tworzenia gabinetu centrolewicowego. Niestety, ręka wyciągnięta do zgody spotkała się z rewolwerem Eligiusza Niewiadomskiego. Tylko dzięki wielkiej klasie marszałka Sejmu Macieja Rataja – pełniącego funkcję głowy państwa po śmierci Narutowicza – oraz wicemarszałka Ignacego Daszyńskiego nie doszło do dalszej eskalacji napięcia i być może wybuchu wojny domowej. Daszyński siłą swojego autorytetu powstrzymał przed działaniami odwetowymi PPS i powierzył misję utworzenia rządu gen. Władysławowi Sikorskiemu, który wprowadził stan wyjątkowy. Nie był to koniec kryzysu, lecz jego zawieszenie. Rewanż Józefa Piłsudskiego wobec endecji nastąpił 12 maja 1926 r.

O skutkach tragicznego grudnia 1922 r. gorzko w swoich wspomnieniach wypowiedział się Antoni Słonimski: „Po zabójstwie Narutowicza, gdy opadła fala podniecenia, wydawać by się mogło, że smutek i żałoba zjednoczą naród, który nie znał w swojej historii królobójstwa. Ale namiętności nie wygasły. Na grobie Niewiadomskiego składano stosy kwiatów (…). Któż mógł przewidzieć, że ta zbrodnia będzie przełomem w stosunku Piłsudskiego do Polaków? (…) Dominowało uczucie bólu i hańby. Mieliśmy Polskę, mieliśmy pierwszego Prezydenta i zabił go Polak".

Bohdan Piętka

eprasa.pl 54657ca967

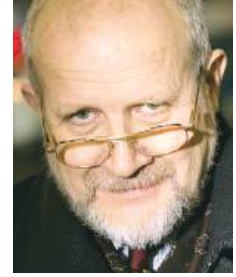

Z Galicji

Jan Widacki

Jeszcze o nowelizacji prawa karnego

Mimo apelu 173 prawników karnistów z wszystkich chyba ośrodków naukowych w Polsce pan prezydent podpisał ustawę zmieniającą Kodeks karny („i niektóre inne ustawy"). Apel prawników o niepodpisywanie ustawy został zignorowany nie tylko przez prezydenta. Na dobrą sprawę zignorowały go też opozycja i media. Nie tylko ten apel, ale i samą nowelizację. Tak, jakby nic się nie stało. A stało się! Kodeks karny po nowelizacji cofa nasze prawo karne do czasów przedoświeceniowych. Przed czasy Monteskiusza czy Beccarii. A cóż mnie obchodzi filozofia prawa karnego? – mógłby ktoś zapytać. Czy to ważne, co myśleli i pisali jacyś filozofowie? Tak sobie może pomyśleć jakiś Kowalski czy Nowak. Ale pomyślało tak również wielu publicystów i dziennikarzy. Niektórych zainteresowały pojedyncze zmienione nonsensownie przepisy, ale mało kto dostrzegł, że nowelizacja rzeczywiście cofa nas o ponad 200 lat. Część publicystów zwróciła uwagę, że nowelizacja przewiduje konfiskatę samochodu pijanego kierowcy. Jednym nawet to się podobało, drugim mniej, niektórym nie podobało się całkiem. Inni zauważyli, że kodeks wprowadza karę bezwzględnego dożywotniego pozbawienia wolności, bez możliwości ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie. Znów niektórym to się spodobało, innym, liczniejszym – mniej lub wcale.

Niewielu publicystów (nie mówiąc już o politykach) pojęło, że wykreślenie z celów kary pozbawienia wolności resocjalizacji wywraca do góry nogami całe prawo karne. Kara ma jedynie odstraszać. Już nie tylko w dobie pozytywizmu, ale nawet w oświeceniu taki pogląd uchodziłby za anachroniczny i wsteczny. A logiczne konsekwencje zaakceptowania takiego poglądu? Jeśli kara ma przede wszystkim odstraszać, to koniecznie trzeba by przywrócić karę śmierci, najlepiej wykonywaną publicznie, bo wtedy odstraszy bardziej. A także chłostę, oczywiście publiczną.

Warto pamiętać, że dokładnie taka sama filozofia faktycznie stoi za karą śmierci czy publiczną chłostą, wykonywanymi w krajach fundamentalistycznego islamu. Po raz kolejny przypomnę spostrzeżenie Monteskiusza (pisałem o nim przed dwoma tygodniami): „Łatwo byłoby wykazać, iż we wszystkich państwach Europy kary zmniejszały się lub powiększały, w miarę jak zbliżano się lub oddalano od wolności". Wszystko się zgadza. Kary kodeksowe są zaostrzane, bo oddalamy się od wolności. Zbliżamy zaś do modelu autorytarnego talibanu.

Wedle znowelizowanego kodeksu 14-letnie dziecko może odpowiadać karnie jak dorosły. W kodeksie Makarewicza z 1932 r., z którego przez lata byliśmy dumni, taki wyjątek można było zrobić dla 16-latka. Teraz młodzież dojrzewa wcześniej, powie ktoś. Patrząc na twórców nowelizacji i tych, którzy przyłożyli rękę do jej uchwalenia i wprowadzenia w życie, można z powodzeniem takie twierdzenie zakwestionować.

Mniejsza z nimi. W pierwszej połowie XVI w. na pograniczu Małopolski i Śląska grasowała banda rozbójników, napadająca kupców i podróżnych, mordująca ich i rabująca mienie. Gdy udało się zbójów schwytać, okazało się, że jest wśród nich kilkunastoletni chłopiec, który na równi z dorosłymi mordował i rabował. Sędziowie krakowscy nabrali wątpliwości, czy można go karać jak dorosłych. Zapytali mądrego kanclerza Jana Ocieskiego. Ten odpowiedział, że chłopca nie należy karać, tylko wychowywać, „poprawić i nauczyć, co jest złe". Tej wątpliwości krakowskich sędziów z XVI w. i mądrości kanclerza zabrakło twórcom nowelizacji.

Wykreślenie resocjalizacji z celów kary pozbawienia wolności wywraca do góry nogami całe prawo karne.

Oczywiście, że trzeba karać pijanych kierowców. Czy trzeba im konfiskować samochody? Czy to ich samych dotknie? Jeśli pracownik rozwożący bułki będzie jechał pijany, zabiorą samochód nie jemu, ale piekarzowi. Piekarz będzie mógł teraz dochodzić odszkodowania od swojego kierowcy, który jechał pijany. Ale jak ten nie ma żadnego majątku (gdyby miał, pewnie nie woziłby piekarzowi bułek), piekarz może sobie dochodzić. Tym bardziej że kierowca już nie popracuje, bo straci prawo jazdy, a innego zawodu nie ma. Z zasiłku dla bezrobotnych piekarz będzie mu ściągał? Kto bardziej na tej konfiskacie ucierpi – pijany kierowca czy trzeźwy piekarz, właściciel samochodu?

A poza tym dobrze jest wiedzieć, że pijani kierowcy powodują w ostatnich latach ok. 11% wszystkich wypadków drogowych, a nie – jak sądzono w maglu i zdaje się w Ministerstwie Sprawiedliwości – ponad 80%. Groźba utraty samochodu, w dodatku często nie własnego, bezpieczeństwa na drogach istotnie chyba nie poprawi.

Co tu rozważać? Pan prezydent, choć prawnik podobno, podpisał, nowelizacja wchodzi w życie. Przeciętny Kowalski pewnie się cieszy i będzie się cieszył, dopóki nie zamkną mu syna, brata lub szwagra albo nie daj Boże jego samego. Albo nie skonfiskują mu samochodu za jazdę po pijaku jego pracownika. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Mity stanu wojennego

W najbliższym sąsiedztwie Polski i na jej terytorium stacjonowało 59 dywizji radzieckich. Polska mogła im przeciwstawić 15 dywizji

Robert Walenciak

13 grudnia, czyli kolejna rocznica wprowadzenia stanu wojennego, najpewniej znów obrodzi okolicznościowymi materiałami. Ich ton jest łatwy do przewidzenia, wiadomo, że historię piszą zwycięzcy. Usłyszymy więc znów różne mity, które z prawdą i logiką niewiele mają wspólnego. Oto subiektywny przegląd tych najbardziej rozpowszechnionych.

Mit 1: Afganistan i strach przed wojną na dwa fronty

To jest często powtarzane: Rosjanie nie chcieli w Polsce interweniować, bo zaangażowani byli w interwencję w Afganistanie. Nie chcieli zatem otwierać drugiego frontu.

To zwykła bzdura. W 1980 r. w Afganistanie przebywało sześć dywizji radzieckich, w sumie 85 tys. żołnierzy. W apogeum interwencji brało w niej udział 110 tys. żołnierzy. Tymczasem w najbliższym sąsiedztwie Polski i na jej terytorium stacjonowało 59 dywizji radzieckich (były to siły trzech zachodnich okręgów wojskowych). Prawie dziesięć razy więcej! Do tego dorzucić trzeba dywizje stacjonujące w europejskiej części ZSRR. Przy czym liczący 375 tys. żołnierzy kontyngent armii radzieckiej stacjonujący w NRD nie był przewidziany do interwencji w Polsce.

Polska mogła przeciwstawić tej sile 15 dywizji. Mogłyby one, jak oceniano, bronić się około dwóch tygodni, na tyle wystarczyłyby zapasy uzbrojenia i paliw.

Żadna wojna na dwa fronty nie groziła więc Rosjanom. Z punktu widzenia imperium w roku 1981 Afganistan był miejscem, w którym zaangażowane były niewielkie siły. Kierunek też był drugorzędny, choć rozwojowy. Natomiast kierunek polski był priorytetowy. To przez Polskę przechodziły drogi zaopatrzenia wojsk radzieckich stacjonujących w NRD, Polska była drugim państwem Układu Warszawskiego. Geostrategicznym kluczem do szachowania Europy. Na utratę Polski imperium nie mogło sobie pozwolić.

Co ciekawe, ci, którzy używają argumentu o strachu przed wojną na dwa fronty, jednocześnie zgadzają się, że Moskwa była gotowa do interwencji w grudniu 1980 r. i w marcu 1981 r. Że wszystko wisiało na włosku. Wtedy wojny na dwa fronty Kreml się nie obawiał?

Mit 2: Dobry Breżniew

Można rzec, że mit dobrego Breżniewa zawładnął zbiorową wyobraźnią polskiej prawicy. Bardzo chętnie prawicowcy opowiadają, że i Leonid Breżniew, i Biuro Polityczne KC KPZR były przeciw interwencji. A tylko zły Jaruzelski o nią zabiegał (to inny mit). W tym micie Związek Radziecki pokazywany jest jako spokojne, miłujące pokój państwo, gotowe wręcz zgodzić się, by w Polsce rządziła Solidarność.

Przypomnijmy zatem – czasy Breżniewa to apogeum potęgi ZSRR, także militarnej. Było to wówczas państwo uzbrojone po zęby, dysponujące armią liczącą 5 mln żołnierzy, zorganizowanych w 214 dywizji oraz kilkaset jednostek wsparcia. I niewahające się użyć tej siły. W Czechosłowacji, w Afganistanie, wszędzie tam, gdzie „siły postępowe" toczyły walkę z imperializmem.

Dla porównania: przed atakiem na Ukrainę armia Putina miała ok. 850 tys. żołnierzy. I, jak wiemy z meldunków z wojny rosyjsko-ukraińskiej, gros sprzętu i amunicji używanych w tej wojnie wyprodukowano jeszcze w czasach ZSRR.

Mit 3: W grudniu 1981 r. Moskwa Polskę sobie odpuściła

Ten mit łączy się z mitem dobrego Breżniewa. Jego zwolennicy twierdzą, że owszem, w grudniu 1980 r. ZSRR był gotowy do interwencji, ale w grudniu 1981 r. – już nie. Na jakiej podstawie tak sądzą? Nie wiadomo.

Uporządkujmy ten galimatias. W 1980 r. wojska ZSRR rzeczywiście były gotowe do inwazji, plany interwencji przekazano Polakom w Moskwie. W ich myśl polskie wojska miały być zamknięte w koszarach. W ostatniej chwili inwazja została odwołana – być może na skutek interwencji prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, a może w wyniku inicjatywy polskich generałów, którzy obiecali, że spacyfikują Solidarność.

Druga interwencja szykowana była na marzec 1981 r. Polska miała wtedy stać się wielkim poligonem wojsk Układu Warszawskiego w ramach ćwiczeń „Sojuz 81". Po rozmowach Wojciecha Jaruzelskiego i Stanisława Kani z Jurijem Andropowem i Leonidem Breżniewem ćwiczenia zostały zakończone. Potwierdza to zresztą Ryszard Kukliński w wywiadzie dla „Kultury" z 1987 r.: „W połowie kwietnia zagrożenie interwencją zbrojną ZSRR zaczęło się powoli cofać, ale chyba naprawdę nigdy nie ustało. Związek Radziecki nigdy nie wycofał z PRL rozwiniętego w czasie ćwiczeń »Sojuz 81«

eprasa.pl 54657ca967

wojennego systemu dowodzenia siłami interwencyjnymi".

A grudzień 1981 r.? Ówczesną sytuację znamy z dokumentów czechosłowackiego sztabu generalnego. Otóż w ramach operacji „Karkonosze" (marsz. Kulikow nazywał ją „Tarcza") zgromadzono wokół Polski dywizje wojsk ZSRR, CSRS i NRD, miały one wejść do Polski.

Plany interwencji były precyzyjne, opisywały dokładnie, jakie pozycje mają zająć poszczególne dywizje, z jakimi wojskami mają się stykać. Co rzuca się w oczy, w tych planach nie ma ani słowa o współdziałaniu z wojskami polskimi. Za to uwzględnione są szpitale polowe i systemy ewakuowania rannych. Trudno przypuszczać, że planiści Układu Warszawskiego zakładali wielką liczbę żołnierzy rannych w starciach z nieuzbrojonymi robotnikami z Solidarności.

Mit 4: Gdzie są dokumenty na temat interwencji?

Z planami operacji „Karkonosze" wiąże się jeszcze jedna historia. Otóż są one przez historyków albo przemilczane, albo lekceważone. Co więcej, ci sami ludzie, którzy nie widzą planów operacji „Karkonosze", głoszą, że radziecka interwencja nam nie groziła, bo… nie ma jej planów.

Tymczasem oprócz planów czechosłowackich mamy dokumenty NRD-owskie, meldunki o gotowości bojowej Narodowej Armii Ludowej. Nie mamy natomiast żadnych wojskowych dokumentów radzieckich – po prostu te archiwa są dla historyków zamknięte. Mamy tylko jedną kartkę. To wniosek z sierpnia 1980 r., podpisany przez Andropowa, Susłowa, Ustinowa i Gromykę, o powołanie grupy wojskowej do interwencji w Polsce. Jest to tzw. notatka Dmitrija Wołkogonowa, byłego szefa archiwów Kremla, którą wykupił amerykański historyk Mark Kramer. On też sprawdził jej wiarygodność – raporty CIA potwierdzają, że taka grupa została powołana i była w gotowości bojowej co najmniej do 1982 r.

Wojsko było więc gotowe. Czekało jedynie na rozkaz. Tak jak przed interwencją w Czechosłowacji i Afganistanie. I Kreml rozpatrywał tylko dwa warianty. Pierwszy – że Jaruzelski sam sobie poradzi z Solidarnością. Drugi, gorszy dla Moskwy – że gdy tego nie zrobi albo zacznie stan wojenny, a będzie miał kłopoty, do Polski wkroczą wojska Układu Warszawskiego. Powołają nowe władze (partia Moskwy miała się całkiem dobrze) i krwawo spacyfikują Solidarność.

Mit 5: Jaruzelski prosił o interwencję

Głosi on, że Jaruzelski przed 13 grudnia prosił Rosjan o pomoc w rozbiciu Solidarności. Uprawniać tę tezę ma tzw. notatka gen. Wiktora Anoszkina, adiutanta marsz. Wiktora Kulikowa, głównodowodzącego wojsk Układu Warszawskiego, rezydującego w Legnicy. To ciekawa notatka, aczkolwiek zupełnie fałszywie odczytywana. Jest to zapis rozmowy Kulikowa z Jaruzelskim, już po posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR, podczas którego podjęto decyzję, by w Polsce nie interweniować (na razie).

Anoszkin w niej rozpacza, że interwencji nie będzie i tyle miesięcy przygotowań (radzieckich) idzie na marne. A jednocześnie zapisuje słowa Jaruzelskiego – że jest gotowy do wprowadzenia stanu wojennego, że nie jest jeszcze zdecydowany, kiedy go wprowadzi, i że Rosjanie muszą pomóc.

I teraz to odczytajmy. Po pierwsze, Jaruzelski w sprawie stanu wojennego zostawia sobie drzwi otwarte. Można domniemywać, że jeszcze liczył na jakieś porozumienie z Solidarnością. Po drugie, przez pomoc rozumie nie pomoc wojskową, ale materiałową. Rozmowa miała miejsce po decyzji Moskwy o obcięciu, nawet o 50%, dostaw do Polski ropy, gazu, nawozów itd. Po wprowadzeniu stanu wojennego ta decyzja została anulowana.

Na marginesie – teza o tym, że Jaruzelski prosił Kulikowa o pomoc wojskową, wymyka się logice. Kulikow nie był dla niego partnerem, by o takich sprawach rozmawiać. Partnerami byli Breżniew i Andropow, z którymi miał bezpośredni kontakt. Ale warto w tym miejscu zapytać: jeżeli Jaruzelski chciał radzieckiej interwencji, to dlaczego sprzeciwiał się jej w grudniu 1980 r. i w marcu 1981 r.? Co zresztą potwierdza w wywiadzie dla „Kultury" Ryszard Kukliński, mówiąc: „Nie chcę choćby w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu, a zwłaszcza Siwickiemu, zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków do Polski. Byłoby to nieprawdą".

O tym, że Jaruzelski bronił się przed interwencją, świadczą zresztą stenogramy z posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR, których fragmenty przywiózł do Polski Borys Jelcyn. Kłopot w tym, że przez polskich historyków były one „poprawiane". Oto bowiem dr Łukasz Kamiński, były szef IPN, cytuje wypowiedź Michaiła Susłowa, przewodniczącego Komisji ds. Polski: „Niechaj sami towarzysze polscy określą, jakie działania mają podjąć. Nie powinniśmy ich popychać do jakichś bardziej zdecydowanych działań (…). Myślę, że mamy tu wszyscy zgodny pogląd, że nie może być mowy o żadnym wprowadzeniu wojsk".

Proszę zwrócić uwagę na nawias między cytowanymi przez dr. Kamińskiego zdaniami. Co pominął? Oto tekst opuszczony: „Jednocześnie Polacy otwarcie oświadczają, że są przeciwni wprowadzaniu wojsk. Jeżeli wojska zostaną wprowadzone, to będzie oznaczało katastrofę".

Koniec, kropka. Oto symbol debaty nad stanem wojennym – wycinanie z dokumentów niepasujących do przyjętej tezy zdań.

Mit 6: Wojna polsko-jaruzelska

Tu nie ma wątpliwości, stan wojenny zdławił marzenia wielkiej części społeczeństwa o wolności. Był czymś, co bolało. Ale jego stawka była wyższa. Tu nie chodziło o proste pognębienie Solidarności. Chodziło o to, by wojska radzieckie nie interweniowały w Polsce, by nie doszło do krwawych starć. I o to – o czym zupełnie już się nie pamięta – by zneutralizować w Polsce partię Moskwy, czyli grupę towarzyszy gotowych z rąk radzieckich wziąć władzę.

Jaruzelski grał więc o inną stawkę. W innej brał udział wojnie.

Robert Walenciak

eprasa.pl 54657ca967

Co Jaruzelski wiedział o Kuklińskim?

Na pytanie, dlaczego Amerykanie informacje Kuklińskiego zostawili dla siebie, jest jedna odpowiedź – bo to leżało w ich interesie

Robert Walenciak

To jedna z najtrudniejszych operacji, które przeprowadził Jaruzelski przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Dla Polski szalenie ważne było to, jak zachowa się Ameryka, gdy generał ogłosi stan wojenny. Czy zaakceptuje jego wprowadzenie, czy też uruchomi wszystkie swoje możliwości, by zachęcić Solidarność do oporu, i ten opór będzie wspomagać. To przecież mogłoby pociągnąć za sobą poważne konsekwencje, a w efekcie nawet dać pretekst twardogłowym w Rosji do interwencji. Odpowiedź na to pytanie określała pole manewru Jaruzelskiego oraz kształt planów stanu wojennego. W ekipie generała znakomicie przecież pamiętano grudzień 1980 r., kiedy to prezydent Jimmy Carter, gdy otrzymał informację, że Moskwa szykuje czołgi do interwencji (podobno od Kuklińskiego…), zaalarmował cały zachodni (i wschodni) świat i Solidarność w Polsce. Wystosował specjalną depeszę do Breżniewa, skontaktował się z papieżem i z przywódcami Zachodu. Prosił także o uprzedzenie przywódców Solidarności, tak by mogli się ukryć.

Taki alarm przed wprowadzeniem stanu wojennego, zwłaszcza jeśliby dochodził z wiarygodnych źródeł, niesłychanie skomplikowałby Jaruzelskiemu sytuację. Z wszystkimi tego konsekwencjami. W drugiej kolejności ważne dla polskiej strony było również to, jaka będzie oficjalna reakcja Waszyngtonu już po wprowadzeniu stanu wojennego, czy ogłoszona zostanie blokada Polski itd.

Nz. od lewej: Dmitrij Ustinow – minister obrony ZSRR, Ryszard Kukliński i Siergiej Achromiejew – szef Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej.

Kłopot polegał na tym, że nie można było tych pytań zadać bezpośrednio. I trzeba było zdobywać na nie odpowiedź w zupełnie inny sposób. Bardzo pomógł w tym Ryszard Kukliński. Uczestniczył on (pytanie tylko, jako kto i od którego momentu) w jednej z bardziej skomplikowanych operacji stanu wojennego.

Co o niej wiemy? Czy to wszystko jest możliwe? Ta wiedza zbudowana jest z poszlak, z domysłów, nie do końca potwierdzonych informacji… Ale wszystkie one wiodą do jednego wniosku – ucieczka Kuklińskiego z Polski 7 listopada 1981 r. miała drugie dno. Co uderzające, nie zrobiła większego wrażenia na wizytującej sztab generalny ekipie marsz. Kulikowa. Rosjanie potraktowali to tak, jakby nic się nie stało. Niesamowita jest też relacja Moniki Jaruzelskiej, córki generała. Otóż opowiedziała mi taką historię. Rzecz

FOT. PAP/ARCHIWUM

eprasa.pl 54657ca967

działa się w ich domu na Mazurach, do generała przyjechał w odwiedziny gen. Marek Dukaczewski, były szef Wojskowych Służb Informacyjnych, już w czasach III RP. Rozmowa w pewnym momencie zeszła na Kuklińskiego. I wtedy Jaruzelski wszystkich zaskoczył: „My wiedzieliśmy, że on będzie uciekał – powiedział. – On cały czas pracował dla nas. I o to właśnie chodziło, żeby przekazał Amerykanom plany stanu wojennego. Żeby oni wiedzieli".

•

Dlaczego Jaruzelski miał być tym, który najwięcej zyskał na ucieczce Kuklińskiego?

Odpowiedź jest chyba oczywista. Po pierwsze, nic nie tracił, ba!, pozbywał się szpiega z najbliższego otoczenia. Po drugie – zwróćmy na to uwagę – niczego nie zmienił w planach stanu wojennego, ani przecinka. Czekał na reakcję Amerykanów. I ta reakcja była jasnym sygnałem – że z ich strony jest na jego działanie przyzwolenie. Że ma wolne ręce.

Jest w literaturze sporo rozważań dotyczących tego, dlaczego Amerykanie nie ostrzegli Solidarności o zbliżającym się stanie wojennym. Są różne tego tłumaczenia, nawet tak głupie, że owa informacja gdzieś zagubiła się w biurokracji amerykańskich służb. W tamtym czasie kierunek polski był priorytetowy dla wszystkich tajnych służb świata. Paliło się u granic ZSRR, wzdłuż linii zaopatrzeniowych prowadzących do NRD. I ktoś chce nam wmawiać, że Amerykanie przeoczyli najważniejszą informację z najważniejszego regionu!

Na pytanie, dlaczego Amerykanie informacje Kuklińskiego zostawili dla siebie, nie ujawniali ich, nikogo nie ostrzegali, jest jedna odpowiedź – bo to leżało w ich interesie. Lepszym rozwiązaniem było, by Solidarność została zatrzymana przez polskie wojsko, a nie radzieckie. Tak jak tłumaczył to Kukliński. A poza tym lepszym rozwiązaniem dla NATO było, by wojska radzieckie nie wkraczały do Polski. By dywizje pancerne armii radzieckiej były bardziej na wschód niż na zachód.

Ale wróćmy jeszcze do listopada 1981 r. Otóż mniej więcej dwa tygodnie po ucieczce Kuklińskiego zwrócił się do gen. Jaruzelskiego z prośbą o spotkanie ambasador USA w Warszawie Francis Meehan. Spotkanie się odbyło i podczas rozmowy ambasador nawet nie napomknął o tym, że Stany Zjednoczone mają plany stanu wojennego i jego harmonogram. Już nie mówiąc o opinii na ten temat…

Cóż to dla Jaruzelskiego mogło oznaczać? Przecież te plany Amerykanie mieli już na stole… Generał zinterpretował to w sposób oczywisty – że administracja Reagana aprobuje to rozwiązanie, oczywiście traktując je jako mniejsze zło.

Kilkanaście dni później, w dniach 6-9 grudnia, miała miejsce wizyta wicepremiera Zbigniewa Madeja w Waszyngtonie. O tej wizycie Madej mówił przed sejmową Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej: „Bodajże 7 lub 8 grudnia 1981 r. zostałem delegowany do Waszyngtonu po dodatkową pożyczkę w wysokości 700 mln dol. Prezydent Ronald Reagan obiecał 100 mln dol., o czym oświadczył mi ówczesny wiceprezydent George Bush. Było to 9 grudnia 1981 r. Rozmowy dotyczyły wydarzeń politycznych i gospodarczych, przebiegały dość typowo. W Departamencie Skarbu rozmawialiśmy głównie o sytuacji gospodarczej, a wśród polityków o sytuacji politycznej. Pytanie nr 1 wśród polityków brzmiało: czy rząd potrafi porozumieć się z Solidarnością? Jaką rolę może odegrać Kościół?

Muszę postawić kropkę nad »i«. Oczywiście nie wiedziałem o przygotowywanym stanie wojennym, ale odnosiłem wówczas wrażenie i tak to oceniam, że moi rozmówcy także nie wiedzieli lub nie chcieli nic na ten temat powiedzieć. Po dodatkowych informacjach mogę dziś suponować, że wiedzieli. Rozmawialiśmy tak, jakby przed nami była droga spokojnego, pokojowego rozwiązywania spraw".

Po powrocie Madeja do Warszawy Jaruzelski miał już stuprocentową pewność – jeżeli Amerykanie nawet słowem nie wspomnieli w rozmowach z wicepremierem o stanie wojennym, to znaczy, że dają na tę operację milczącą zgodę. Sygnał był jednoznaczny.

Jaruzelski się nie pomylił. I Stany Zjednoczone, i Europa Zachodnia zaakceptowały, choć oczywiście bez entuzjazmu, wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Jeżeli prześledzimy pierwsze reakcje – to sprowadzają się one do wezwań o spokój i apeli, by nikt w polskie sprawy z zewnątrz się nie mieszał. Nikt, czyli Moskwa.

Dopiero po kilkunastu dniach, kiedy było wiadomo, że Jaruzelski opanował sytuację, rozległy się apele o sankcje gospodarcze itd. Ale to już była inna gra.

Fragment wydanej przez PRZEGLĄD książki Roberta Walenciaka *Gambit Jaruzelskiego. Ostatnia tajemnica stanu wojennego*

PREZENT
POD CHOINKĘ
Książka z autografem i dedykacją autora
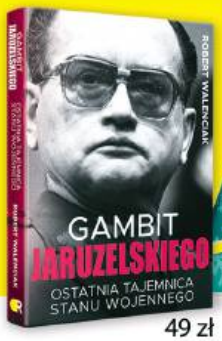

49 zł
Prośby o dedykacje można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111 lub na: **sklep@tygodnikprzeglad.pl**
Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach
Tytuł dostępny również jako e-book Teraz tylko 9,90 zł
Wysyłka GRATIS
Zamów książkę na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 54657ca967

Facebook. Nam wolno wszystko

Jak to się stało, że na platformie tak się rozchodzą treści nienawistne, dezinformacja, propaganda

Rozmawia Jakub Dymek

Waszą książkę o Facebooku otwiera rozdział zatytułowany „Za wszelką cenę". I o to właśnie chciałbym najpierw zapytać: co takiego Facebook próbuje „za wszelką cenę" osiągnąć?

– Rosnąć, wygrywać, osiągać jak największe zyski – to podejście Facebooka dokumentujemy w „Brzydkiej prawdzie". Konkurencja i rywalizacja są tak ważnymi elementami kultury w Dolinie Krzemowej, że nie brakuje tam ludzi, którzy widzą je jako cel sam w sobie. A to na dalszy plan spycha pytanie: po co? Dlaczego musimy rozwijać tę usługę? Czemu potrzebujemy aż tylu użytkowników? Po co dokonujemy ekspansji na cały świat? Nie zawsze ktoś zadaje sobie te pytania.

Ale słowo wzrost brzmi bardzo niewinnie. Każda firma, jak sądzę, chce zarabiać, a każdy prezes czy prezeska chce osiągnąć sukces. I zarabiać pieniądze. To biznes.

– Facebook bardzo wcześnie zaczął opowiadać światu fałszywą opowieść. Firma Marka Zuckerberga prezentowała się jako pewnego rodzaju usługa publiczna. Przekonywali, że rozwijając platformę społecznościową, robią coś w interesie społecznym, a nie tylko gonią za zyskiem. Że nie są normalnym kapitalistycznym przedsięwzięciem, ale firmą, która popycha rozwój ludzkiej cywilizacji do przodu. Misją firmy, przedstawianą przez Zuckerberga w kolejnych wywiadach i uparcie promowaną, było „łączenie ludzi" i dawanie im narzędzi do utrzymywania kontaktu z bliskimi.

Dziś jednak decydenci i politycy już wiedzą, że Facebook przedstawia tylko jedną, tę pozytywną, stronę swojej działalności, ale nie wyjaśnia, jak to się stało, że na platformie tak szeroko rozchodzą się treści nienawistne, dezinformacja, propaganda...

CECILIA KANG
– dziennikarka technologiczna „New York Timesa", współautorka (z Sheerą Frenkel) książki „Brzydka prawda. Kulisy walki Facebooka o dominację" (wyd. polskie Rebis, 2022).

Jaki był zatem koszt realizacji planów? Wielkiej ambicji, aby połączyć świat, stać się największą platformą do komunikacji na planecie, przyćmić wszystkie inne pomysły na sieci społecznościowe?

– Odpowiedź na to pytanie to również wyjaśnienie tytułu naszej książki. Andrew Bosworth, jeden z czołowych inżynierów Facebooka i bliskich współpracowników Marka Zuckerberga, opublikował w 2016 r. wewnętrzną notatkę do pracowników o tytule „Ugly" (brzydkie, paskudne), w której przedstawia im tytułową „brzydką prawdę" o ich firmie. Oto, co pisze do współpracowników i podwładnych: Facebook jest siłą, która działa z pożytkiem dla świata – ostateczne korzyści z sukcesu firmy uzasadniają zatem metody, jakimi trzeba się posłużyć, aby Facebook dalej się rozwijał. „Wszystko, co robimy, jest uzasadnione. Kropka", pisał. Po czym wymieniał, co może się stać: może jakieś dziecko odbierze sobie życie z powodu nękania przez rówieśników, może naruszona zostanie czyjaś prywatność, może kolejny zamach terrorystyczny zostanie zorganizowany właśnie przy użyciu narzędzi Facebooka...

Gdy po raz pierwszy trafiłem na ten dokument, lektura była dla mnie szokiem. Dla pani też?

– Oj, tak. Dzięki tej notatce zobaczyliśmy po raz pierwszy tak wyraźnie, że najwyżsi rangą inżynierowie i dyrektorzy ze świata Doliny Krzemowej mają pełną świadomość, jakie mogą być konsekwencje rozwoju ich usług i platform za wszelką cenę. „Brzydkie, paskudne" konsekwencje. Jako dziennikarki wiedziałyśmy oczywiście o tym stylu myślenia w korporacjach technologicznych, słyszałyśmy o tym od ludzi „ze środka". Dopiero jednak takie wypowiedzi jak ta obnażyły to w całym bezwstydzie.

To właśnie Dolina Krzemowa mówi sobie o tych wszystkich okropieństwach, gdy chce ukoić sumienie i spać spokojnie. Ludzie pytają mnie: „Jak Mark Zuckerberg czy Sheryl Sandberg mogą spojrzeć w lustro, gdy w Birmie Facebook używany jest do ludobójstwa?". Moim zdaniem notatka Boswortha przybliża nas do odpowiedzi.

Wymienia pani różne rzeczy, które zarzuca się Facebookowi i jego usługom: promocję dezinformacji, szkodliwy wpływ na zdrowie psychiczne nastolatków, tolerowanie

eprasa.pl 54657ca967

przemocy... A jest jedna konkretna sprawa, w której chciałaby pani „złapać ich za rękę"?

– Wszystkie te rzeczy same w sobie są niebezpieczne, ale „brzydka prawda" o Facebooku to nie pojedyncze przypadki nadużyć. Wadliwy jest cały system, technologia, „maszyna" – jakkolwiek to nazwać. Technologia Facebooka opiera się na powielaniu najbardziej emocjonalnych i poruszających przekazów na platformie, aby podbijać – jak to nazywają – zaangażowanie użytkowników. Czyli, trochę upraszczając, czas i liczbę kliknięć po stronie użytkowników, które z kolei napędzają ruch reklamowy. My jednak wiemy, że kłamstwo szerzy się szybciej niż prawda – a strona główna Facebooka, powiadomienia i sugestie polecanych stron prowadzą nas nierzadko w jego najbardziej toksyczne zakątki. Sam model biznesowy jako taki jest problemem.

Zdarza mi się – pani z pewnością również – występować podczas paneli dyskusyjnych czy konferencji, gdzie lobbyści platform cyfrowych podnoszą następujący kontrargument: „To nie my publikujemy radykalne treści, tylko media. I według badań to dziennikarze się zradykalizowali i coraz bardziej dzielą społeczeństwo. Ty wy, dziennikarze, uczyniliście Trumpa sławnym". No i co z tym fantem zrobić?

– Radykalne treści to nie jest problem, który występuje wyłącznie na platformach cyfrowych – pełna zgoda. Telewizja, szczególnie kablówka w USA, radio, prasa, wszystkie media... ten ekosystem też nie jest wolny od radykalnych czy polaryzujących przekazów. Ale powiem to od razu: wizja platform cyfrowych jako neutralnych kanałów, które jedynie przekazują cudze materiały, jest fundamentalnie fałszywa. To kłamstwo. Platformy cyfrowe decydują o tym, jakie treści widzisz. Jakiego rodzaju materiały są nagłaśniane i powielane. I to one podsuwają ci to, co według ich algorytmów wywoła u ciebie pożądaną reakcję emocjonalną. To nie ma nic wspólnego z neutralnością. Absurdem jest przekonywanie, że wielkie sieci społecznościowe to tylko takie wodociągi albo kable, które dostarczają ludziom na świecie informacji i wszystko to odbywa się mechanicznie, jakby chodziło o przepompowywanie wody z miejsca na miejsce. Otóż nie.

Można nas jako dziennikarzy krytykować za błędy, np. za fiksowanie się na jakimś kandydacie w wyborach. I powinniśmy mieć świadomość naszej omylności. Ale im prędzej media tradycyjne i społecznościowe przestaną wytykać się nawzajem palcami i przyznają, że jedne wpływają na drugie, tym lepiej. To w końcu zamknięty obieg.

Napisałyście, że rosyjscy hakerzy i autorzy operacji dezinformacyjnych czy kampanii propagandowych towarzyszących wyborom prezydenckim w USA w 2016 r. po prostu „wykorzystali Facebooka zgodnie z przeznaczeniem". Co to znaczy?

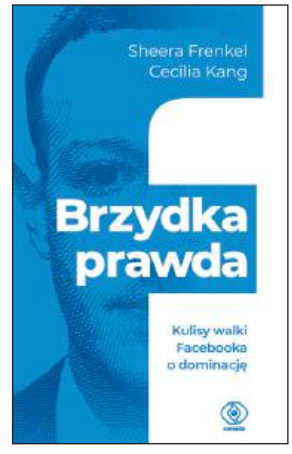

– Twórcy Facebooka nie stworzyli platformy po to, żeby Rosjanie mogli ją wykorzystać do dezinformacji, pewnie w głowach im się nie mieściło, że może do tego dojść. Ale to, jak działa Facebook, powoduje, że jest on wymarzonym instrumentem wywierania wpływu przez obce służby i, jak to się mówi, „nieprzyjaznych aktorów zewnętrznych". To idealne narzędzie do tego, by publikować zmanipulowane treści, fabrykować zainteresowanie jakimś tematem albo wydarzeniem, kupować reklamy polityczne... Facebook dał Rosji całe menu dezinformacji. „Proszę bardzo, drodzy Rosjanie, wybierajcie, co tylko wam zasmakuje".

W jakimś sensie obce służby korzystały z Facebooka całkowicie „legalnie". Sięgnęły po prostu po narzędzia i usługi, które platforma udostępniała wszystkim. Dlaczego więc i one nie miałyby ich wykorzystać? I tak zrobiły.

Jak pani mówi, Facebook nie został wymyślony z intencją, by służył do kampanii propagandowych. Ale jaką odpowiedzialność za nie ponosi?

– Cóż, jeśli jesteś firmą, która ma globalne ambicje i której zależy na połączeniu ze sobą nawzajem dosłownie wszystkich ludzi na świecie, to ponosisz odpowiedzialność za przynajmniej niektóre skutki swoich działań. Tym bardziej jeśli sam zachęcasz polityków – a tak było w przypadku Facebooka – by korzystali z twoich usług i sięgali po nie w swoich kampaniach. Facebook poświęcił mnóstwo czasu na przekonywanie przywódców w różnych krajach, aby komunikowali się za pośrednictwem platformy – bo to przyciąga ich wyborców i media, a więc generuje większy ruch oraz pomnaża liczbę zaangażowanych użytkowników. I za to Facebook ponosi odpowiedzialność.

To znaczy?

– Jedni nazywają to naiwnością, drudzy celowym przymykaniem oczu – nie moim zadaniem jest oceniać, co to było. Tak czy inaczej, szefowie Facebooka zdawali się nie wiedzieć lub nie chcieli wiedzieć, do czego doprowadzi zachęcanie do korzystania z platformy np. Jaira Bolsonara, byłego radykalnie prawicowego prezydenta Brazylii. A co mogło się stać? Sami widzieliśmy. Podobnie z Trumpem. Oni naginali standardy, regulaminy i robili wszystko, żeby użyć Facebooka dla swojej korzyści, ale niekoniecznie z pożytkiem

„Brzydka prawda" o Facebooku to nie pojedyncze przypadki nadużyć. Wadliwy jest cały system, technologia, „maszyna" – jakkolwiek to nazwać.

FOT. BEOWULF SHEEHAN

eprasa.pl 54657ca967

dla demokracji. Znów nie jest moim zadaniem oceniać, czy demokracja przez nich ucierpiała, ale na pewno istniało ryzyko, które Facebook z jakiegoś powodu zbagatelizował lub przeoczył.

Facebook poświęcił mnóstwo czasu na przekonywanie przywódców w różnych krajach, by komunikowali się za jego pośrednictwem – bo to przyciąga ich wyborców i media.

Powiedziała pani, że nie chce dokonywać psychoanalizy szefów Facebooka, Marka Zuckerberga czy Sheryl Sandberg, ale muszę zapytać, jak to jest, że ci niezwykle przecież utalentowani i sprawni w biznesie ludzie zdają się nieświadomi skutków własnej działalności. Tego, jak naprawdę wyglądają interakcje międzyludzkie czy świat polityki.

– Mark Zuckerberg otoczony jest ludźmi, którzy mówią mu, że wszystko robi dobrze: „Nie słuchaj hejterów, skup się na celu, nie przejmuj się krytyką". W jakimś sensie jest też po prostu niedojrzały – stał się miliarderem i szefem globalnej firmy w bardzo młodym wieku, zanim zdążył przeczytać parę książek na temat tych dylematów, które teraz musi rozstrzygać. Na przykład dotyczących wolności słowa – ma braki nawet w dziedzinie najnowszej historii, zdaje się nie wiedzieć albo nie rozumieć, dlaczego kiedyś telewizja i radio stały się narzędziami propagandy. Interesuje go za to rozwój technologii i kolejnych gadżetów oraz projektów, nad którymi z obsesyjną dokładnością pracuje.

A pomysłodawczyni modelu biznesowego i wielkiego sukcesu w zarabianiu przez Facebooka na reklamach, Sheryl Sandberg?

– Z nią jest inaczej. Ona przybiera niezwykle defensywną pozycję. Gdy jest konfrontowana z zarzutami na temat Facebooka, odbiera to jako atak i od razu zaczyna się bronić. „Czemu ludzie nie pokazują pozytywnych stron naszej platformy? Czy nie słyszeli, że dzięki nam ludzie znajdują dawców organów, odszukują zaginionych krewnych, odnawiają relację z bliskimi – czemu nikt o tym nie mówi?!". I powstaje taka kombinacja: jeden szef skupiony tylko na technologii i rozwoju, obojętny na ludzki wymiar, i druga szefowa, która nie dopuszcza krytyki. To trochę zabawne, że akurat oni prowadzą firmę, która zajmuje się właśnie relacjami i kontaktami między ludźmi. Jak ktoś kiedyś trafnie zażartował, gdyby Zuckerberg bardziej się przykładał w szkole do przedmiotów humanistycznych, żylibyśmy dziś w innym świecie.

Skoro jesteśmy przy wolności słowa: mamy nieco dziwną sytuację, w której na cenzurę i ściślejszą kontrolę tego, co ludzie piszą, nalegają przedstawiciele mediów i dużych redakcji. To jeszcze bardziej kontrowersyjne w świetle amerykańskiej wolności słowa, pierwszej poprawki do konstytucji i samej misji mediów.

– Odpowiedź na pytanie, jak zachować równowagę między wolnością słowa a regulacją platform cyfrowych, jest bardzo trudna. Żyjemy w szczególnym momencie – skończyły się dawne regulacje czy standardy w mediach, za to wciąż obowiązują prawa i przywileje, które chronią wielkie platformy cyfrowe. W USA mamy tzw. art. 230, dzięki któremu platformy cyfrowe nie odpowiadają prawnie za publikowane przez nie treści. I mamy impas. Nie wszystko jednak stoi w miejscu. W Waszyngtonie panuje już zgoda co do tego, że brak regulacji dotyczących platform cyfrowych prowadzi do wzrostu liczby szkodliwych wypowiedzi.

Jakiś przykład?

– Właśnie niedawno współautorka książki Sheera Frenkel i inni koledzy z „New York Timesa" policzyli, o ile zwiększyła się liczba nienawistnych wypowiedzi i rasistowskich wyzwisk wobec czarnych Amerykanów, po tym jak Elon Musk przejął Twittera i rozwiązał zespoły odpowiedzialne za nadzorowanie takich zagrożeń. Musk, a wcześniej również Zuckerberg, wierzy, że w kwestii debaty „lepszy pieniądz wypiera gorszy" – że ostatecznie wygrywają lepsze idee. Praktyka pokazuje niestety, że jest odwrotnie.

Ale koniec końców – pokazał to głośny proces skandalisty Alexa Jonesa – to sądy i instytucje wymiaru sprawiedliwości demokratycznego państwa były w stanie ukarać winnych zniesławiania czy szerzenia nienawiści na platformach cyfrowych. Nie media, nie same platformy, nie politycy tej albo innej partii.

– Jedna dezinformacja nierówna drugiej. Ale historia regulowania różnych branż – tytoniowej, motoryzacyjnej – czy nakładania na nie ograniczeń pokazuje, że wyroki sądów były tylko wstępem do długiej walki o zakazanie jakichś szczególnie szkodliwych praktyk. I sądy odgrywają w tym swoją rolę. Kiedyś też trzeba było całych dekad walki, by nawet najpotężniejszy, najbardziej wzbraniający się przed regulacjami biznes pociągnąć do odpowiedzialności.

Brak regulacji platform cyfrowych prowadzi do wzrostu liczby szkodliwych wypowiedzi.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Niebezpieczni miliarderzy

Ludzie bogaci są dla wielu wzorem moralnym. Nie jest to przypadek. Kapitalizm produkuje i podtrzymuje przekonanie, że tylko najlepsi z najlepszych mogą osiągnąć wielki sukces materialny. Utożsamia zatem bogactwo z bardzo wartościowymi cechami charakteru, jak również z mądrością. A robi to za pomocą pewnej ideologii, która mu towarzyszy od dawien dawna. Szczególnie wpływowa była ona zawsze w Stanach Zjednoczonych, gdzie zrównanie bogactwa i cnót moralnych jest wręcz automatyczne. Znalazła wyraz m.in. w czynieniu dążenia do sukcesu finansowego wręcz imperatywem religijnym, czego świadectwo znajdujemy zarówno w „ewangelii bogactwa" bardzo wpływowego pisarza amerykańskiego XIX w., Horatia Algera, jak i w działalności XX-wiecznych teleewangelistów, którzy łączyli pochwałę kapitalizmu i bogactwa z przekazem religijnym, z reguły zresztą o charakterze fundamentalistycznym. Idzie on skądinąd pod prąd źródłowym ideom chrześcijaństwa, które każą patrzeć na bogactwo podejrzliwie („Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego").

Przywołany powyżej przekaz ideologiczny, silnie obecny także Polsce, zostaje negatywnie zweryfikowany po bliższym przyjrzeniu się temu, co faktycznie miliarderzy robią, co myślą i czego chcą. Rzecz to zresztą nie nowa, wszak już dawni bogacze amerykańscy byli słusznie oskarżani o braki moralne i intelektualne. Dobrym przykładem jest tutaj Henry Ford, którego skrajny antysemityzm i sympatie faszystowskie dobitnie świadczyły o niskich kwalifikacjach etycznych. Niestety, czasy nam współczesne przynoszą kolejne dowody na to, że bogactwo nie musi iść w parze z moralnością, rozsądkiem czy mądrością. Przywołajmy choćby zaangażowanie dzisiejszych miliarderów w szerzenie skrajnych politycznie ideologii. Emblematyczna jest tutaj postawa amerykańskich miliarderów – braci Koch. Od dziesięcioleci finansują prawicowe inicjatywy zmierzające w kierunku osłabienia demokracji i państwa amerykańskiego. Kroku dotrzymuje im inny miliarder, Robert Mercer, którego rola zarówno w kontekście amerykańskim, jak i brytyjskim jest godna potępienia. Wspiera on swoimi pieniędzmi amerykańskie ruchy prawicowe o charakterze anarchokapitalistycznym, walnie przyczynił się także do brexitu, wydając majątek na jego przygotowanie propagandowe i wspieranie organizacyjne.

Pamiętajmy też o tak fatalnych postaciach jak Donald Trump czy Silvio Berlusconi, ludziach pozbawionych wszelkiej przyzwoitości, za to obdarzonych wielkimi ambicjami politycznymi. Dziś jednak najbardziej niepokojąca jest postawa miliarderów z Doliny Krzemowej, np. Elona Muska czy Petera Thiela. Ten pierwszy wykazuje zadziwiająco słabe poczucie rozsądku oraz stabilność emocjonalną, przy jednoczesnym narcystycznym zapatrzeniu w siebie i swoje wątpliwej jakości pomysły (np. zamiast ratować Ziemię przed katastrofą klimatyczną, chce on wynieść się wraz z ludzkością na Marsa). Ten drugi z kolei prezentuje otwarcie antydemokratyczne nastawienie. Jest twarzą popularnej w Dolinie Krzemowej utopii libertariańsko-technokratycznej. Zakłada ona konieczność zastąpienia polityków wybranych w demokratycznych wyborach rządami technokratów, którzy za pomocą sztucznej inteligencji zapewnią realizację „nowego wspaniałego świata". W utopii tej nie ma miejsca na państwo i jego agendy, jest natomiast na nieskrępowany jakimikolwiek regulacjami turbokapitalizm. Tak oto stara libertariańska tęsknota do likwidacji państwa łączy się z naiwną i niebezpieczną wiarą w moc techniki jako narzędzia do rozwiązywania wszelkich ludzkich kłopotów oraz wolnego rynku jako wyłącznej zasady regulowania relacji międzyludzkich.

Współczesny kapitalizm stanowi zagrożenie dla demokracji. Jego animatorzy chcą zamienić władzę nad siecią we władzę nad światem.

Wszystko to pokazuje, że współczesny kapitalizm, zwany kognitywnym, cyfrowym lub informacyjnym, stanowi istotne zagrożenie dla demokracji, dlatego że pozwala na ogromną koncentrację władzy ekonomicznej w rękach tych, którzy chcą zamienić władzę nad siecią we władzę nad światem, korzystając z narzędzi cyfrowej inwigilacji oraz swojej pozycji finansowej.

Przez dziesięciolecia wmawiano nam, że wolny rynek i kapitalizm są sojusznikami demokracji (narracja ta była nader popularna w pierwszych latach naszej transformacji). Dziś widać, że jest inaczej. To kapitalizm stanowi dla niej poważne zagrożenie. A jego główni animatorzy to nie żadni rycerze bez skazy, lecz niebezpieczni ludzie marzący o władzy politycznej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Dumni, lojalni, niebezpieczni

Bojówki na amerykańskiej prawicy przekształcają się w realną siłę polityczną

Mateusz Mazzini

Z perspektywy grudnia 2022 r. pisanie o Proud Boys (Dumni Chłopcy) i Oath Keepers (Obrońcy Przysięgi), dwóch najważniejszych organizacjach pozaparlamentarnych amerykańskiej prawicy, może się wydawać spóźnione. Patrząc na nie dzisiaj, łatwo je uznać za tyleż głośne, co nieudane projekty polityczne. Niemal wszyscy najważniejsi ich przywódcy, w tym były przewodniczący Proud Boys Enrique Tarrio i założyciel Oath Keepers Stewart Rhodes, albo siedzą już w więzieniu, albo czekają na proces, oskarżeni o spiskowanie przeciwko władzom federalnym i próbę przeprowadzenia zamachu stanu. W dodatku ich patron polityczny Donald Trump sam ma kłopoty z prawem, po tym jak śledczy stanu Nowy Jork udowodnili mu kreatywną księgowość, pompowanie wartości należących do niego podmiotów i oszustwa podatkowe. Wreszcie klęską dla całego systemu alternatywnej prawicy zakończyły się listopadowe wybory połówkowe do Kongresu. Poparci przez Trumpa kandydaci w większości przepadli, mandatów nie udało się zdobyć żadnemu z uczestników szturmu na Kapitol z 6 stycznia 2021 r. Krótko mówiąc, klęska na całej linii.

I rzeczywiście tak jest, jeśli przyjąć wobec Proud Boys i Oath Keepers optykę tradycyjnego oceniania ruchów politycznych. Osiągnięć w konwencjonalnych, demokratycznych starciach nie mają żadnych. Problem w tym, że wcale im na nich nie zależało.

Na fali frustracji

Ale od początku. Choć na szersze wody opinii publicznej wypłynęły prawie dwa lata temu, napędzając jeden z najbardziej zatrważających momentów w historii amerykańskiej demokracji, to obie te organizacje rosły w siłę od lat. Oath Keepers powstali w 2009 r., na fali coraz wyraźniejszej na prawicy frustracji z powodu rosnącej liczby imigrantów, postępującej liberalizacji norm społecznych i słabnięcia amerykańskiego konserwatyzmu. Rhodes, który zakładał Obrońców, jest podręcznikowym przykładem „rozczarowanego republikanina". Był w wojsku, wyćwiczył się jako spadochroniarz, rodzice od zawsze wpajali mu wartości stanowiące fundament amerykańskiego obywatelskiego nacjonalizmu: szacunek dla munduru, poświęcenie dla narodu, oddanie „amerykańskiej sprawie", czymkolwiek w danym momencie by była.

Jednocześnie od zawsze Rhodes był rasistą, który nie mógł się pogodzić z faktem, że przedstawiciele innych grup etnicznych zaczynają mieć takie same prawa obywatelskie w USA jak on. Zjawisko to, coraz powszechniejsze za oceanem, doskonale opisała socjolożka Arlie Russell Hochschild w popularnej również w Polsce książce „Obcy we własnym kraju", w której tłumaczyła, jak biali w Stanach czują się „wypychani z obywatelskiej kolejki" przez czarnych, Latynosów i inne grupy społeczne, w ich odczuciu sięgające po przywileje, na które sobie nie zapracowały.

Początkowo Oath Keepers wydawali się klasycznym tworem głębokiego amerykańskiego Południa. Zbieraniną facetów, którzy żałują, że era kowbojów już się skończyła i przez to sami nie mogą wymierzać sprawiedliwości. Z czasem jednak, także dzięki skutecznym strategiom w mediach społecznościowych i ogólnemu rozkładowi republikanizmu głównego nurtu, zaczęli się rozrastać – i liczebnie, i geograficznie. Jak szacuje Mike Giglio, były reporter magazynu „The Atlantic" i „Newsweeka" zajmujący się prawicowym ekstremizmem, Oath Keepers mają co najmniej 25 tys. regularnych członków i możliwe, że nawet drugie tyle sympatyków luźno związanych z tym ruchem. Zwłaszcza ta pierwsza liczba, pisze Giglio, jest dość precyzyjna, opiera się bowiem na bazie danych Oath Keepers, która wyciekła do prasy za prezydentury Donalda Trumpa.

Oath Keepers uważają przemoc za zwykły, niczym nieróżniący się od innych środek wyrazu poglądów politycznych.

Zwrócić trzeba uwagę na ich wewnętrzną strukturę. Spośród identyfikowalnych członków aż dwie trzecie ma za sobą karierę w wojsku lub innych siłach mundurowych, a co dziesiąty wciąż jest w aktywnej służbie. To jasno pokazuje, jaki od początku był profil organizacji Rhodesa. Militaryzm nie jest jej cechą przez przypadek, Oath Keepers uważali – i nadal uważają – przemoc za zwykły, niczym nieróżniący się od innych środek wyrazu poglądów politycznych.

Dumni i płynni

Z Proud Boys sprawa ma się nieco inaczej, bo tu rys ideologiczny celowo był od zawsze robiony znacznie cieńszą, prawie niewidoczną kreską. Jak powiedział sam Gavin McInnes, założyciel tej organizacji i, co ciekawe, Kanadyjczyk, Dumni Chłopcy są „politycznie płynni". W zrozumieniu ich charakterystyki doskonałym przewodnikiem jest wydana niedawno

eprasa.pl 54657ca967

Proud Boys to już skrzydło Partii Republikańskiej, którego członkowie noszą kamizelki kuloodporne i koszulki z rasistowskimi motywami zamiast garniturów.

w Stanach Zjednoczonych pierwsza książka na ich temat, „We Are Proud Boys", napisana przez reportera Huffington Post Andy'ego Campbella. To nie tylko znakomity opis struktury organizacyjnej Proud Boys i ich członków, ale też analiza tego, co pojawienie się ich i Oath Keepers w głównym nurcie debaty publicznej zmieniło w amerykańskiej polityce. Wniosek, który wypływa z pracy Campbella, jest zatrważający: Proud Boys znormalizowali agresję motywowaną politycznie, przekonując zwłaszcza republikański establishment, że jest ona gwarantowanym konstytucyjnie prawem.

W szeregach Proud Boys znaleźć można ludzi wielu ras czy narodowości. Wystarczy, że lubią się bić.

Zdaniem Campbella, Giglia i innych dziennikarzy oraz ekspertów zajmujących się prawicowym ekstremizmem w USA to od samego początku był cel zarówno McInnesa, jak i Rhodesa. A jeśli przyjmiemy takie właśnie rozumowanie odnośnie do strategii obu liderów, okaże się, że wyroki skazujące po ataku na Kapitol absolutnie nie stoją na drodze do sukcesu. Wręcz przeciwnie, potwierdzają, że kurs obrany na starcie był właściwy, bo rzeczywiście przemocy w amerykańskiej polityce jest w tej chwili coraz więcej. I nikomu chyba to nie przeszkadza.

Władze federalne długo lekceważyły zagrożenie płynące z aktywności zwłaszcza Proud Boys, których, jak opowiadał Campbell w wywiadzie dla portalu Politico, urzędnicy Departamentu Sprawiedliwości określali mianem „lubiących się spotkać facetów, których popijawy czasem wymykały się spod kontroli". Tymczasem od samego początku prezydentury Trumpa Chłopcy budowali sobie coraz silniejszą pozycję na politycznej, a nie aktywistycznej prawicy. Przełomowy był dla nich rok 2017, kiedy w Charlottesville w stanie Wirginia odbył się słynny zjazd prawicowych bojówek Unite The Right (Zjednoczyć Prawicę). Doszło tam wtedy do starć pomiędzy ekstremistami, lewicowymi grupami aktywistów i policją, zginęła jedna z działaczek antyfaszystowskich. To właśnie po wydarzeniach z Charlottesville Trump wypowiedział słynne słowa o „przemocy po obu stronach", które w powszechnym odbiorze uznaje się za początek normalizacji agresji w amerykańskiej polityce.

Andy Campbell zauważa, że Trump był pierwszym lokatorem Białego Domu, z którym ekstremistyczna prawica się identyfikowała i którego popierała niemal jednogłośnie. Poprzedni republikańscy prezydenci nie wzbudzali takiego podziwu w jej szeregach. Sporo było krytyki pod adresem George'a W. Busha, a kandydaci, którzy przegrywali z Obamą: John McCain i Mitt Romney, w ogóle nie mieścili się w ich rozumieniu amerykańskiego patriotyzmu, głównie ze względu na miękką (według ekstremistów) politykę migracyjną. Dopiero Trump spełniał ich polityczne zachcianki. Krytykował establishment Wschodniego Wybrzeża, obiecywał zamknięcie granic, stawiał ▸

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54657ca967

tamę liberalizacji norm społecznych. Zapraszał też Chłopców na coraz większą liczbę wydarzeń politycznych, w tym, już jako prezydent, na własne wiece.

Dopiero jednak Charlottesville przyniosło przełom i okazało się momentem formacyjnym. Wiele grup na prawicy przestraszyło się konsekwencji starć z Unite The Right, a dokręcenie im śruby przez FBI, Homeland Security i inne jednostki zajmujące się bezpieczeństwem wewnętrznym spowodowało rozpad kilkunastu z nich. McInnes stanął przed wyborem: ugiąć się pod naciskiem krytyki i wycofać czy zmienić format działalności. To wtedy, jak twierdzi Andy Campbell, podjął decyzję, że aby przetrwać, Proud Boys muszą zacząć działać w polityce.

Wielu Amerykanów uważa, że może wyjść na ulicę, pobić kogoś o innych poglądach i nie ponieść za to kary.

Bez przemocy ani rusz

I tak zrobili, znajdując tam zresztą ważnych mocodawców. Roger Stone, prawdopodobnie najbardziej znany doradca kampanijny republikanów, pracujący w tym gronie z każdym najważniejszym politykiem od czasów Richarda Nixona, otwarcie przyznaje się, że współtworzył strategię polityczną i wizerunkową Proud Boys. Innym ich adwokatem był Matt Gaetz, członek Izby Reprezentantów z Florydy, za czasów Trumpa jedna z twarzy młodej fali w Partii Republikańskiej. Dziś Gaetz to jednak sojusznik mało przydatny, grozi mu kara więzienia za udział w seksaferze, w ramach której płacił za seks nieletnim dziewczynom z innego stanu, co w USA jest przestępstwem federalnym.

Do tej listy dopisać trzeba też postacie z prawicowych mediów, takie jak apologetka przemocy i konserwatywna komentatorka Ann Coulter czy Tucker Carlson, twarz Fox News. A i stacja ma spore zasługi w promowaniu obu ekstremistycznych organizacji, bo zwłaszcza Carlson w swoich programach przedstawia je jako ostatnią linię obrony amerykańskich wartości. Nawet jeśli jest to obrona przez atak i z użyciem kija bejsbolowego.

Przemoc w opinii wielu republikanów jest teraz nie tylko normą, ale wręcz koniecznością w debacie politycznej. McInnes mówi o tym publicznie – jego motto brzmi: „Walka rozwiązuje wszystkie problemy". Szczególnie gdy druga strona sporu zagraża „fundamentom amerykańskiej tożsamości narodowej". W takich właśnie tonach opisują Proud Boys i Oath Keepers prawicowi komentatorzy. Owszem, są bojówkami, nikt tego nie ukrywa. Na wiecach pojawiają się w ochraniaczach jak z szatni drużyny futbolu amerykańskiego, z pałkami, kijami, czasem nawet z bronią palną, w tym karabinami półautomatycznymi. Ale to „nasze" bojówki, mówi prawica, nasza obrona przed agresją ze strony ruchów lewicowych, z Antifą na czele.

Uznanie ze strony partii jest już zresztą oficjalne, bo Komitet Narodowy Republikanów potraktował agresję z 6 stycznia 2021 r. jako „pełnoprawny sposób wyrazu poglądów politycznych". Potępienia nie było, wręcz przeciwnie. Wizja McInnesa się dopełniła, Proud Boys to już po prostu skrzydło Partii Republikańskiej, którego członkowie noszą kamizelki kuloodporne i koszulki z rasistowskimi motywami zamiast garniturów.

Proud Boys znormalizowali agresję motywowaną politycznie.

Campbell, Giglio i inni zwracają jednak uwagę, że na tym sojuszu republikanie mogą się przejechać. Głównie dlatego, że sympatie ekstremistów nie muszą być trwałe. McInnes z ideologicznej przezroczystości swojej organizacji zrobił cnotę. W przeciwieństwie do wiernego rasizmowi Rhodesa zaprasza do swojej organizacji wszystkich, którzy gotowi są walczyć za idee, jakiekolwiek by one były. Dlatego w szeregach Proud Boys znaleźć można ludzi wielu ras czy narodowości. Wystarczy, że lubią się bić.

Oath Keepers pod tym względem są znacznie bardziej rygorystyczni, otacza ich też większa aura konspiracji, wręcz mistycyzmu. O nich wiadomo mniej, bo pilnują informacji z wewnątrz. W przeciwieństwie do Dumnych Chłopców, którym własne dane nieustannie przeciekają przez palce. Dzisiaj obie te organizacje pozostają wierne protrumpowskiej frakcji Partii Republikańskiej, ale nie ma żadnej gwarancji, że ich poparcie utrzyma się, powiedzmy, przez kolejne kilka lat. Wystarczy, że pojawi się ktoś jeszcze bardziej radykalny albo po prostu skuteczniejszy. Na przykład gubernator Florydy Ron DeSantis, największy rywal Trumpa w partii, przez wielu uznawany za jego nowocześniejszą wersję.

Na działalności Proud Boys i Oath Keepers najbardziej traci, jak zawsze w takich przypadkach, polityczne centrum, które w amerykańskiej polityce się kurczy. Otaczają je dwa coraz bardziej radykalne ekstremizmy, w dodatku ten prawicowy jest silnie uzbrojony. Z przewidywaniami, co dalej z obiema bojówkami i w ogóle z amerykańską demokracją, trzeba być ostrożnym, bo łatwo tu o zbędną panikę. Wojna domowa to wciąż scenariusz z gatunku politycznej fikcji, bo raczej niemożliwe są secesje, alternatywne armie i podział kraju na dwie zwalczające się części.

Nie oznacza to bynajmniej, że zagrożenie motywowaną politycznie przemocą nie istnieje. Wręcz przeciwnie, będzie jej coraz więcej, bo, jak konkluduje Andy Campbell, przez działalność Proud Boys wielu przeciętnych Amerykanów uważa dziś, że może wyjść na ulicę, pobić kogoś o innych poglądach i nie ponieść kary, bo mieści się to w granicach ich praw obywatelskich gwarantowanych przez konstytucję. To będą epizody, ale rozkład demokracji zawsze zaczyna się od epizodów.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Rzeczniczka pogoniona, kreatura ozłocona

Sporo zajmujących wydarzeń przez ostatni tydzień się przetoczyło. A to Kopciuszka polskiej polityki i partyjnej żurnalistyki Magdalenę Ogórek wraz z Rafałem „endeko-chamem" Ziemkiewiczem sąd skazał za kłamstwa i oszczerstwa na temat Elżbiety Podleśnej na grzywny po 10 tys. zł. A to sąd w Hajnówce umorzył postępowanie wobec aktywistów, choć wcześniej w tym samym składzie, dokładnie za to samo – karał. A to umorzono sprawę przeciw aktorce Barbarze Kurdej-Szatan, której zarzucano, że znieważyła funkcjonariuszy Straży Granicznej, kiedy w emocjonalnej i okraszonej mocnymi słowy wypowiedzi skomentowała ich działania na granicy polsko-białoruskiej.

Na Śląsku wiadomo – po zdradzie radnego Kałuży przed czterema laty PiS straciło teraz władzę w sejmiku, bo na stronę opozycji przeszedł pisowski marszałek i zabrał ze sobą kilka innych osób. Wszystko dzień po wizycie konsolidacyjnej (konsolacyjnej?) Jarosława Kaczyńskiego. Czyli wszystko na nic na Śląsku. A premier Mateusz „Kłamczuszek" Morawiecki nie ma jednak 30 mln zł, które obiecał orłom Michniewicza za wyjście z grupy w Katarze. Obiecał, ale tylko żartował. Przejęzyczył się. Koloryzował, chciał dać dzieciom, ale obiecał gwiazdorom milionerom, żeby przytulić się do bynajmniej nie spalonej ze wstydu, najgorzej grającej drużyny mistrzostw.

Choć trudno wrzucać to wszystko do jednego worka, można odnieść wrażenie, że doszło do pewnej niekorzystnej dla rządzącego PiS kumulacji. Wyczekiwanie zmiany wiatru? Trwające latami mordęgi sądowe akurat finiszują? Ale nie tak łatwo i nie tak szybko.

Z całkowicie nieznanych, niewyartykułowanych powodów rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek zwolnił swoją zastępczynię, dr Hannę Machińską, którą do pracy w biurze przyjmował jego poprzednik – Adam Bodnar. W środowiskach obrończyń i obrońców praw człowieka zawrzało. Dziesiątki wpisów dokumentujących jej osobiste, bezpośrednie zaangażowanie w interwencje zarówno podczas niezgodnych z prawem działań polskich służb mundurowych na granicy Polski z Białorusią, jak i pokojowych demonstracji oddają zapewne tylko część fenomenu jej aktywności, dalece wykraczającej poza standard urzędniczy. W jednym z listów protestacyjnych napisano: „To ona ratowała uchodźców i uchodźczynie na granicy polsko-białoruskiej. To ona była dostępna w razie aresztowań, zatrzymań, przemocy w dzień i w nocy. Podczas Strajków Kobiet i podczas manifestacji na rzecz praw osób LGBT+. Gdy policja sięgała po pałki teleskopowe przeciw kobietom, ona sięgała po swoją legitymację i nie szła spać, póki wszystkie osoby brutalnie zatrzymane przez służby nie były bezpieczne. To ona odwiedzała osoby w ośrodkach strzeżonych, gdzie zostały zatrzymane, i pokazywała warunki, w jakich osoby poszukujące ochrony są przetrzymywane". W proteście przeciwko zwolnieniu dr Machińskiej z funkcji zastępcy RPO rezygnację złożyła kapituła ekspertów Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur, którzy napisali w oświadczeniu: „Hanna Machińska była rzeczniczką osób najsłabszych i potrzebujących, obecną zawsze tam, gdzie prawa osób pozbawionych wolności były zagrożone i łamane".

Cóż, w miejsce zwolnionej zastępczyni Wiącek zatrudnił Wojciecha Brzozowskiego – „kierownika Zakładu Prawa Wyznaniowego na Wydziale Prawa i Administracji UW, specjalizującego się w prawie wyznaniowym, wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Prawa Wyznaniowego oraz członka Observatory on Religious Freedom in the Jurisprudence of the European Court of Human Rights". Ale być może to przygrywka do poważniejszych działań władzy, która nie życzy sobie, żeby patrzeć na nią, kiedy łamie prawa człowieka.

Jak na grabarza przystało, Kurski pochówek widział jako zmartwychwstanie.

I nie sposób nie zatrzymać się nad przypadkiem Jacka Kurskiego, skrajnego poza horyzont cynika politycznego, który żadnym wyrzutom sumienia się nie kłaniał, grabarza-politruka telewizji publicznej, człowieka, który jeszcze niedawno żywił ambicje zostania wicepremierem – byłego prezesa TVP, doradcy politycznego PiS, członka wielu partii, byle były prawicowe, katolickie (bo potem łatwo unieważnić ślub kościelny) i można w nich było ubić interes i objąć władzę.

Kiedy pójście w ministry się nie powiodło, po protekcji ministra Glińskiego prezes Narodowego Banku Polskiego oddelegował zawodnika Kurskiego do gry w drużynie Banku Światowego. Za jakieś minimum milion złotych rocznie. Jacek żadnej pracy się boi, ona mu się po prostu należy, podsumował po trumpowsku na Twitterze: „Podjąłem zgodną z moim wykształceniem i doświadczeniem menadżerskim pracę jako alternate executive director w Banku Światowym, świadomy, że oznacza to rezygnację z części aktywności publicznej czy ambicji politycznych. Zawsze myślałem, że nie ma życia poza polityką. Otóż jest. Wiem, że tu też dobrze przysłużę się Polsce". Jak na grabarza przystało, pochówek widział jako zmartwychwstanie: „Trzy miesiące po wypełnieniu misji odbudowy siły i prestiżu Telewizji Polskiej oraz przywrócenia Polakom pluralizmu i komfortu demokratycznego wyboru – raz jeszcze dziękuję szczególnie Widzom, Współpracownikom i Ludziom TVP, którzy w tym dziele byli ze mną".

Pecunia non olet, ale przyjdzie czas zapłaty. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Wiesław Kot

Jan Nowicki 1939-2022

WIELKI „Szu” i nie tylko

Chodził i kapał talentem. Mistrz karcianej szulerki, Ketling z „Pana Wołodyjowskiego”, Stawrogin z „Biesów”. Grał wszystko. Do końca

Na aktora się nie zapowiadał. Na świat przyszedł w miasteczku Kowal w okolicach Włocławka, których jeszcze przez wiele lat miał nie zatruwać miejscowy przemysł chemiczny. Z dzieciństwa zapamiętał dwa rodzaje teatru: dziwowisko, jakim bywał pożar, i pogrzeb kogoś znaczniejszego. Planował kształcić się na pianistę. Chadzał nawet na lekcje muzyki do miejscowego organisty, ale w szkole muzycznej w Inowrocławiu pozbawiono go złudzeń. Za mały rozstaw palców, może grać najwyżej na kontrabasie. Nie zmartwiło go to zbytnio, zresztą sam nie bardzo wiedział, co chce w życiu robić.

W Bydgoszczy męczył się aż w siedmiu różnych szkołach średnich. Z każdej albo go wyrzucano za nieróbstwo, albo sam uciekał do następnej, bo poprzednia go nudziła. Doszło do tego, że maturę zdawał w 1958 r. w Łodzi.

Do krakowskiej szkoły teatralnej zdawał, ponieważ wydawało mu się, że aktorstwo to najlżejszy chleb, wystarczy tylko trochę poudawać. Na egzaminie wstępnym kazali mu ukołysać do snu niemowlę, którym miało być postawione przed nim krzesło. Udało się, przyjęli i Jankowi z miejsca przewróciło się w głowie. Na pierwszym roku nie robił dosłownie nic. Miał wrodzony talent i to musiało gronu pedagogicznemu wystarczyć. Na tym przekonaniu nie zajechał jednak daleko. Wyrzucono go na drugim roku za brak postępów. Żeby uciec przed wojskiem, schronił się na posadzie górnika w śląskiej kopalni. Wtedy zrozumiał, co to znaczy lekki i ciężki chleb. Wrócił do szkoły teatralnej, ale teraz już pokornie uczył się zawodu. A jak wspomniał sobie pracę na przodku, to zaraz do indeksu zaczęły wskakiwać piątki z plusem.

Zatracony w teatrze

Z takimi ocenami dostał po studiach angaż marzenie w Starym Teatrze w Krakowie. Darowano mu nawet obowiązek odpracowania dwóch lat w którymś z prowincjonalnych teatrów. Debiutował

eprasa.pl 54657ca967

wprawdzie w pośledniej roli Kacpra w „Weselu" Wyspiańskiego, ale i tak nawet weterani Starego gratulowali mu niecodziennego wyróżnienia. W jakimś sensie z tego teatru nie wyszedł do końca życia, a Kraków w jego wspomnieniach „jest jedynym miastem w Polsce w pełni teatralnym, w którym aktor ma czas na myślenie, na refleksję. A jednocześnie tak wiele może się nauczyć". Kochał Kraków za jego kameralność. „Wychodzę z domu, kiedy zegar na rynku zaczyna bić dziewiątą. Kiedy kończy, jestem już w teatrze. To daje spokój i skupienie – tak trudne do osiągnięcia w Warszawie".

Powoli Nowicki wyrastał na aktora, który jest twarzą swojego pokolenia. Reżyser Krystian Lupa mówił: „Jego twarz (nawet w teatrze) wydaje się bliżej widza niż twarze innych aktorów, jakby miał dar własnego sekretnego »zbliżenia«". Był częścią pokolenia – pierwszego od niepamiętnych czasów – wolnego od tragicznych wyborów, jakie przynosiła historia, a przecież zaangażowanego w nieustanne rachunki z samym sobą. Taki właśnie był jego Józef K. z inscenizacji „Procesu" Kafki w reżyserii Jerzego Jarockiego. A wcześniej Artur z „Tanga" Mrożka tego samego reżysera. Tu Nowicki miał zagrać młodego człowieka, który z Października 1956 r. pamięta tylko, jaka wtedy była pogoda. A potem nastąpiły wszystkie te wewnętrznie skłócone, skonfliktowane z samym sobą postacie wyjęte z powieści Dostojewskiego, zwłaszcza Stawrogin z „Biesów" w inscenizacji Andrzeja Wajdy. „Nie było lekko: Wajda wymagał od aktora współtworzenia teatru. Nie wystarczy zagrać rolę, trzeba jeszcze znaleźć dla siebie miejsce w spektaklu", powtarzał Nowicki. Poza tym uważał, że te role można było jeszcze pogłębić. Tymczasem Wajda był bardziej zainteresowany lansowaniem własnych spektakli niż pogłębianiem postaci. Rozgoryczony tłumaczył, że „z ludźmi podobnymi do młodego Pszoniaka, Radziwiłowicza, Nowickiego powinien był wziąć do ręki np. »Braci Karamazow« i pracować nad nimi przez pół roku. Scena po scenie, bez świadomości, że musi to zaraz pokazać w Tokio, Nowym Jorku czy Moskwie. Prawdziwy światowy teatr nie polega na objazdach. Niech więc przyjadą z Tokio czy Buenos Aires do nas, do Krakowa, i zobaczą, jak wygląda europejski, światowy teatr".

Amant żurnalowy

Z teatru zaczął być dopraszany do filmu. A tu na początek zgrzyt. Andrzej Wajda zaproponował mu rolę kpt. Wyganowskiego w „Popiołach" (1965), ale na pierwszej próbie tak go zrugał przy wszystkich za nieopanowanie tekstu, że Nowicki miał ochotę rzucić film w diabły na zawsze. Tyle że już zgłaszali się następni reżyserzy. Najwięcej było łowców żurnalowych przystojniaków. „Byłem zawsze obsadzany według warunków: pastelowy chłopiec, typ amanta, ale to była kompletna głupota, reżyser nie powinien obsadzać, jak to się ładnie mówi, »po warunkach«, tylko po predyspozycjach wewnętrznych, aktorskich".

W takim trybie pokazał się i jako Ketling w „Panu Wołodyjowskim" (1969), i jako męski kapitan kontrwywiadu w filmie szpiegowskim „Hasło Korn" (1968), i jako ognisty kochanek Barbary Brylskiej w „Anatomii miłości" (1972). Grywał także w serialach „Doktor Ewa" i „Dyrektorzy", co przyniosło mu nawet Nagrodę Państwową drugiego stopnia. Podobne role komentował: „Istnieją różne popularności. Ja je bardzo wyraźnie rozróżniam. Popularność telewizyjna jest zdecydowanie najgorsza, bo tam aktor spełnia rolę komiwojażera. Przed tą popularnością trzeba się ratować, ona ma ogromnie wiele powabu, dużo plusów, ale też ma więcej minusów. To telewizja powoduje, że ludzie niezasługujący na popularność stają się popularni".

Od tej popularności sam Nowicki wyżej cenił popularność kinową, a zdecydowanie najwyżej teatralną. Ale i tak dla rodaków na zawsze będzie przede wszystkim „Wielkim Szu" (1982) z filmu Sylwestra Chęcińskiego. Oto po pięcioletniej odsiadce szuler wraca do domu. Żona jednak już na niego nie czeka – nie wierzy, że wyzbył się skłonności do hazardu. On próbuje komplementów: „– Ślicznie wyglądasz. – Dziękuję. Niestety, nie mogę tego powiedzieć o tobie. Obcięli ci pióra!". Żona wypłaca mu połowę wartości domu i szklarni i przegania na cztery wiatry. A on jest mistrzem szulerki, ale jednocześnie starym i mądrym nauczycielem życia. Napatoczy mu się nawet adept karcianej sztuki. Początkowo Szu koncertowo go ogrywa. W celach dydaktycznych. „– A wiesz chociaż, dlaczego przegrałeś? – Bo mi nie poszła karta. – Bzdura. Bo w to (Szu pokazuje wachlarz banknotów) grałeś. Tak, pieniądze cię oślepiły". To prawda, Szu jest mądry. Nie na tyle mądry jednak, by nie dać się zabić na śmietniku na tyłach hotelu Victoria. Były nawet plany, aby to on sam wyreżyserował drugą część. Nigdy do tego nie doszło. Pewnie szkoda.

W zawodzie aktora najchętniej widział rodzaj posłannictwa.

Ostrożnie z Schulzem!

Ale to kino popularne. Były też poważne kreacje filmowe. Jerzy Skolimowski dał mu w „Barierze" (1966) rolę oznaczoną słowem „On". Za młody na bohatera minionej wojny, za stary na interesujący życiowy debiut. Krytyka dopowiadała: „Można było iść z butelkami na czołgi, mając lat siedem, ale nie cztery". Ta chodząca przeciętność hołubi zadziwiające marzenia: o małżeństwie z zamożną i piękną kobietą, o willi na przedmieściu, o jaguarze w garażu. „Kiedy brałem stypendium, sprzedawałem się państwu – tłumaczy tymczasem biedny student. – Teraz mogę się sprzedać, komu chcę!". Tyle że takich „studentów na sprzedaż" są tysiące, brakuje za to chętnych nabywców. Postać na ekranie jednak się obroniła. Krytyka pisała: „Nie mylmy bowiem prostoty z prostolinijnością. Jeżeli Jan Nowicki stara się być na scenie lub na ekranie naturalny, zwykły, codzienny, to wcale nie znaczy, że jest wewnętrznie pusty. Jego »zwykłość« ma bogate odcienie".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 54657ca967

Kolejne filmy, kolejne wyzwania. Kiedy grał Józefa w „Sanatorium pod klepsydrą" (1973) Wojciecha Jerzego Hasa, pilnował się, żeby nie „rywalizować z Schulzem", nie budować postaci, której w tekście literackim nie ma. „To wszystko musiało być grane poniekąd i trochę". I było, ale dzięki tej mimowolności rola dawała znacznie więcej. W „Spirali" (1978) Krzysztofa Zanussiego zagrał człowieka w rozpędzie życia i kariery. Takiego, który wierzy, że dla niego wszystko jest do wygrania. A tu nagle pojawia się śmiertelna choroba, która zmusza do wyzbycia się nadziei. Buntuje się więc, ale jedyne, co może zrobić, to odejść na własnych zasadach. Kiedy grywał – film za filmem – u wieloletniej towarzyszki życia, węgierskiej reżyserki Márty Mészáros, stał się w tamtejszym kinie uosobieniem inteligenta targanego wiecznym duchowym niepokojem. Węgierska pani reżyser komentowała: „Korzenie aktorstwa Nowickiego wywodzą się z tego samego pnia co Jacka Nicholsona. Jest w nich dziwny dowcip, strach, prowokacje, złośliwość, ironia, demonizm".

Nożyczki? Przestańmy ich szukać!

W ostatnich latach życia Jan Nowicki obsadził sam siebie w nowej roli – mentora. Chętnie komentował na łamach licznych pism (zwłaszcza kobiecych) współczesną sztukę aktorską, dla której miał coraz mniej szacunku. „Być prawdziwym aktorem to długa, czarująca, mistyczna męka", tłumaczył i dodawał, że nie należy mylić aktora z kimś, kto przedstawia w filmie „niewielką rólkę, którą lepiej lub gorzej może zgrać także nasza dozorczyni". I stawiał retoryczne pytanie: skoro za aktorów uchodzą bracia Mroczkowie, to kim wobec tego jest on sam? Po pewnym czasie wracał do tematu: „Słyszę, że tłum piszczących dziewcząt chciał zadeptać Zakościelnego. W Kielcach. Czas umierać, Drogi Czytelniku. Przyszło nam żyć w koszmarnym Królestwie Oglądalności. Widz już nie patrzy na ekran, tylko… ogląda. A oglądać – wiadomo – da się wszystko".

W tym zawodzie/powołaniu najchętniej widział rodzaj posłannictwa: „Nigdy nie otrzymuję nagród, nagan, wyróżnień, nigdy nie podpisuję list, apelacji. Nikt nigdy nie proponował mi wstąpienia do partii, lekko brzydziłem się Solidarnością. Wziąłem udział w bojkocie środków masowego przekazu. Czy mi to sprawiło przyjemność? Żadnej!". I dorzucał: „Potwierdziło się moje przekonanie, że najbardziej skonsolidowaną grupą okazała się grupa komediantów, która stała się sumieniem narodu".

Jako aktor wolał, żeby to postać ze sztuki „mówiła nim", niżby to on miał się wymądrzać we własnym imieniu.

Jako aktor wolał, żeby to postać ze sztuki „mówiła nim", niżby to on miał się wymądrzać we własnym imieniu: „Najlepiej czuję się w takim klimacie: nie mam ustaleń. Boję się definicji, zasad. W gruncie rzeczy stoję na straży swojej ignorancji, bo wyczuwam, że nie należy przekraczać pewnej granicy wiedzy. Podejrzane, jeśli aktor za wiele wie – powinien być jedynie glebą, na której posadzi ziarno autor lub reżyser".

Wiek sędziwy przyjmował godnie, spokojnie i na raty. Komentował go na bieżąco przez wiele lat.

Drugim wielkim tematem późnych rozważań Jana Nowickiego była starość z jej nieubłaganymi postępami. Wiek sędziwy przyjmował godnie, spokojnie i na raty. Komentował go na bieżąco przez wiele lat. „Z dnia na dzień chodzę coraz bardziej przygarbiony. Dzisiaj wypadła mi z ręki szklanka piwa, bo tracę czucie w palcach", żalił się Piotrowi Skrzyneckiemu, twórcy Piwnicy pod Baranami. Pod koniec życia mówił: „Tracę pamięć – każdą. Opanowanie tekstu stało się męką, zapamiętanie numeru telefonu trudem. Ludzie zlewają mi się teraz w jedną bezkształtną masę, którą z braku ostrości widzenia otaczam wspólną mgłą wygodnej akceptacji. Przez moment myślałem z nadzieją, że stałem się lepszym człowiekiem, ale to nieprawda". W kolejnych sekwencjach czytaliśmy: „Pamięć? A po co pamiętać? To, co np. bredziło się po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu, i tak nie zasługuje na pamięć. Tego, o czym zapewnialiśmy w zmysłowym szale, nie da się spełnić. Gdzie leżą nożyczki? Czy to ważne? Przestać ich szukać – po prostu".

Natomiast koronnym tematem wywodów starzejącego się aktora – także przecież amanta filmowego – stała się miłość. Temat obracał na wszelkie możliwe strony, najczęściej przewrotnie. „Mówi się, że miłość jest twórcza, że rozwija i dodaje skrzydeł. Nic podobnego – pisał w felietonie dla damskiego magazynu. – Dla świętego spokoju człowiek w ogóle nie powinien kochać. Bo miłość poraża, zniewala i znieczula. Odbiera jasność spojrzenia i zdrowy rozsądek. Wielka miłość i wielkie zmęczenie. Jej koniec oznacza uwolnienie z niewidzialnych pęt, które nas paraliżują. Kiedy minie pierwszy smutek spowodowany rozstaniem, człowiek czuje, że znów może oddychać pełnymi płucami".

Przez wiele lat powtarzał, że jego dzieciństwo, piękne i fascynujące, trwało do 20. roku życia. Potem mówił, że przeciągnęło się do czterdziestki, a w końcu przyznał, że ten cudowny okres „przeżywania życia jakoś radośnie, entuzjastycznie skończy się, jeżeli odejdę od swojej profesji". Ociągał się z tym przez całe dekady, co też notował z nutą triumfu: „W wieku 67 lat – od Bałtyku do Tatr – z grupą kolegów jazzmanów zapieprzam autobusikiem Zdzicha Janusia – aby z muzyką przeplataną słowami występować tam, gdzie chcą, a Bóg pozwoli. Wzruszamy i zarabiamy parę groszy. I uważam, że to jest w porządku. Już nie zamierzam odchodzić".

Tym samym przeciągało się i jego dzieciństwo. W sumie okazało się, że trwało niemal do śmierci. Ostatnią rolę – żebraka – Jan Nowicki zagrał kilka miesięcy temu.

Wiesław Kot

eprasa.pl 54657ca967

NA EKRANACH

Nitram
reż. Justin Kurzel, prod. Australia, już w kinach

Był 28 kwietnia 1996 r. 28-letni Martin Bryant wszedł tego dnia do Broad Arrow Café, kawiarni w miasteczku Port Arthur na Tasmanii. Złożył zamówienie, usiadł przy stoliku, potem wyciągnął z torby karabin Colt AR-15 i zaczął strzelać. Była to największa masowa strzelanina w dziejach Australii – zginęło 35 osób – która sprowokowała rząd do zaostrzenia dostępu do broni palnej. Niektórzy wskazują, że restrykcje się sprawdziły, nie było od tamtej pory podobnej tragedii, ale w 25. rocznicę masakry kulisy sprawy przypomniał film „Nitram". Powrót do narodowej traumy wzbudził sporo emocji, jednak reżyser zwraca w wywiadach uwagę, że milczenie niczego nie zmienia. Kurzel nie epatuje drastycznymi szczegółami – zamiast tego z detektywistycznym zmysłem odsłania splot okoliczności, który doprowadził Bryanta do morderstwa, stawia przy tym pytanie, jak to możliwe, że ktoś legalnie sprzedał broń niestabilnemu emocjonalnie mężczyźnie. Dziś zdarzenia te wracają jak przypominana po latach przestroga. Gdy film wchodzi do kin, Ameryka wciąż leczy rany po masakrze w Uvalde w Teksasie i wzywa senatorów do ograniczenia dostępu do broni. „Chrońcie nasze życia przed bronią palną" – to jeden ze sloganów na marszach.

Mateusz Demski

FESTIWAL

Festiwal kina europejskiego ARTE

Do końca grudnia trwa siódma edycja europejskiego festiwalu filmowego ArteKino, który prezentuje 12 filmów długometrażowych, fabularnych i dokumentalnych młodych europejskich reżyserów. Część z nich gościła na festiwalach – w Berlinie, Locarno, San Sebastián czy Toronto. Filmy można zobaczyć bezpłatnie w 32 krajach europejskich na stronie arte.tv i kanale ARTE.tv na YouTubie z napisami w sześciu językach, m.in. polskim. To międzynarodowe wydarzenie

ma na celu popularyzację kina europejskiego i wspieranie młodych, utalentowanych twórców, którzy mają szansę na Europejską Nagrodę Publiczności i Nagrodę Jury Młodych Widzów. A na widzów czekają filmy m.in. z Łotwy, Serbii, Węgier, Włoch czy Słowenii.

(bdo)

MIĘDZY OKŁADKAMI

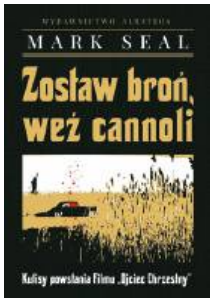

Mark Seal
Zostaw broń, weź cannoli
tłum. Robert Waliś
Albatros, Warszawa 2022

Gdy mówimy o propozycji nie do odrzucenia, być może cytujemy włoską imigrantkę, analfabetkę, wychowującą w nowojorskiej Hell's Kitchen siódemkę dzieci po dwóch mężach. Mario Puzo właśnie na powiedzonkach matki wzorował sposób wysławiania się głowy rodu Corleone. A potem stały się one ekranowymi kwestiami Marlona Brando... Ale według innej wersji ten chyba najsłynniejszy tekst Puzo usłyszał jako anegdotkę w kasynie, gdzie „zbierał materiały do powieści", czyli oddawał się nałogowi. Seal zwraca uwagę na rozbieżności w relacjach o wydaniu książkowego „Ojca chrzestnego" i kręceniu filmowego – a to ktoś chciał zaakcentować swój udział w wydarzeniach obrosłych legendą, a to jeszcze je ubarwiał, by zabłysnąć swadą, choć dramatyzmu wcale im nie brakowało. Sam casting frekwencją i emocjami co najmniej dorównał mierzeniu Kopciuszkowego pantofelka. Uderza paradoksalność wielu sytuacji i gwałtowność konfliktów między twórcami filmu, których latami nie mógł wyciszyć jego olbrzymi sukces.

Aleksandra Pańko

Paweł Jaszczuk
Po tej stronie księżyca
Szara Godzina, Katowice 2022

Kiedy Paweł Jaszczuk, znany bardziej jako autor kryminałów (z Olsztyna, ale piszący o Lwowie) skończył powieść „Szczęśliwa Przystań" (2021), uświadomił sobie, że życie w wymyślonym przez niego domu spokojnej starości toczy się dalej. W kontynuacji powieści – jak sam pisze w posłowiu – pozwolił bohaterom zabrać głos w swojej obronie, gdy moda na młodość wciąż zagłusza *silver age*. Mogą więc wspominać, kochać się, nienawidzić, a nawet prowadzić prywatne śledztwo w sprawie tajemniczego zabójstwa płk. Jakuba Chmiela, wcześniej mieszkańca DSS. Autor celowo nie wyjaśnia kryminalnej zagadki, zostawia czytelnika z niedopowiedzeniami i domysłami, mając w pamięci niewyjaśnione śledztwa z niedawnej przeszłości, takie jak zabójstwo małżeństwa Jaroszewiczów czy gen. Marka Papały. Nawiązań do współczesności jest zresztą więcej. To nie tylko książka o starości, o czym świadczą przygody erotyczne dyrektorki, a płeć nie ma tu znaczenia.

Marek Książek

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl 54657ca967

Gdy Notre Dame płonie

Zapracowałem na miano piromana kina, mam na koncie „Walkę o ogień” i „Imię róży”, gdzie kulminacją jest pożar biblioteki

Rozmawia Mateusz Demski

JEAN-JACQUES ANNAUD
– francuski reżyser i scenarzysta. Jego ostatni film, „Notre Dame płonie”, opowiada o okolicznościach pożaru paryskiej katedry.

Jako Francuz pewnie czujesz się silnie związany z Notre Dame.

– To część składowa mojej osobowości. Doskonale pamiętam pierwszy raz, kiedy zobaczyłem katedrę. Wychowywałem się na przedmieściach Paryża, skąd biegła linia kolejowa do centrum miasta. Kiedy wchodziłem po schodach do domu, zawsze w oddali widziałem Notre Dame. Na początku znałem to miejsce tylko z takiej perspektywy. Wydawało mi się równie tajemnicze i nierzeczywiste jak z powieści Victora Hugo, która była chyba moją pierwszą samodzielnie przeczytaną książką. Któregoś dnia rodzice zabrali mnie na wycieczkę do katedry i… oniemiałem.

Na dziecku musiała robić wrażenie.

– Była tak okazała, że przerosła wszelkie moje oczekiwania. Kompletnie nie wiedziałem, na co patrzeć – czy na misternie zdobione wejście, czy może skupić się na organach w środku. Niewykluczone, że było to najważniejsze doświadczenie formacyjne tamtego czasu. Zacząłem interesować się fotografią. Pierwsze zdjęcie, jakie zrobiłem, to było zdjęcie mojej mamy. Drugie – katedry Notre Dame, a dokładnie gargulca. Tak mi się spodobało, że potem całe dzieciństwo fotografowałem katedry i kościoły. Kiedy miałem 11 lat, nakręciłem swój pierwszy krótki film kamerą 8 mm o malutkiej świątyni w środkowej Francji. To pewien paradoks, ponieważ nie jestem osobą wierzącą. Rodzice trzymali mnie z daleka od religii. Może brakowało mi wiary? A może piękno tych budowli przekładało się na różne stany emocjonalne, wyznaczało moje kryteria wartości i estetyki?

Katedrą zachwycają się ludzie różnych kultur – niekoniecznie ci gorliwie wierzący.

– Notre Dame to coś więcej niż świątynia czy miejsce kultu chrześcijan. To przede wszystkim symbol kultury europejskiej, a więc całej zachodniej cywilizacji. Kiedy wybuchł pożar, to dotknęło wszystkich, nie tylko Francuzów. Kończę film w Chinach, gdzie mam wielu przyjaciół, którzy opowiadali, że pożar Notre Dame był dla nich traumą. Podobne opinie słyszałem od ludzi w Singapurze i Kambodży. Nie są katolikami, a mimo to wszyscy pamiętają, gdzie byli tego dnia, jak podczas zamachów z 11 września. Mieliśmy do czynienia z tragedią dalece wybiegającą poza wymiar religijny.

Widziałeś pożar na własne oczy?

– Nie, byłem poza Paryżem. Co więcej, tego dnia nie zabrałem ze sobą komputera. Telewizor nie działał, więc o wszystkim dowiedziałem się z radia. Nie potrzebowałem jednak obrazu, żeby wiedzieć, jak to może wyglądać – pamiętałem wnętrze katedry w najmniejszym szczególe. Na pocieszenie powtarzałem sobie, że w najgorszym wypadku Notre Dame uda się odbudować na bazie oryginalnych planów. Przez kilka lat

Jean-Jacques Annaud – debiutował w 1976 r. filmem „Czarne i białe w kolorze”, który otrzymał Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy. Następnie rozwijał karierę na Zachodzie, kręcąc tak głośne obrazy, jak „Imię róży” według powieści Umberta Eco, „Siedem lat w Tybecie” czy „Wróg u bram”.

eprasa.pl 54657ca967

żyłem w Niemczech, gdzie często odwiedzałem Drezno, niemal doszczętnie zniszczone w trakcie wojny. Rany w tkance miejskiej się zagoiły, zabytki odbudowano – dzisiaj oglądamy tam architekturę zgodną z XVII- i XVIII-wieczną myślą.

Katedra Notre Dame przetrwała obie wojny i wiele kryzysów na Starym Kontynencie. Pożar z roku 2019 miał zgoła inne przyczyny.

– Ludzie długo spekulowali, każdy miał własną wersję wydarzeń. Mówiło się o niedopałku papierosa, powstały też teorie spiskowe mówiące o ataku terrorystów. Najprawdopodobniej było to spięcie instalacji elektrycznej. Nie interesowało mnie szukanie winnego, chciałem zrekonstruować przebieg tamtego dnia i pokazać światu tych, którzy ruszyli na ratunek perle gotyku. Pracę zacząłem od researchu. Obrazy z tego dnia były nadawane przez telewizje całego świata. Postanowiłem jednak szukać głębiej – znalazłem ludzi, którzy byli w pobliżu Notre Dame i nagrywali wszystko smartfonami. W pierwszym tygodniu dostałem 6 tys. wideo. Po kilku miesiącach miałem ich ok. 35 tys. Równolegle prowadziłem wywiady – począwszy od przypadkowych świadków, na strażakach biorących udział w akcji ratunkowej skończywszy. Wtedy zaczęły odkrywać się przede mną kolejne warstwy, sceny jak z thrillera.

Kiedyś powiedziałeś, że pożar w Notre Dame był sytuacją hitchcockowską.

– To jest tak, że kiedy pracujesz nad scenariuszem, potrzebujesz zwykle trzech elementów: gwiazdy, czarnego charakteru i suspensu. Moją gwiazdą była Notre Dame. Miałem też najbardziej malowniczego i groźnego antagonistę – ogień. Nawiasem mówiąc, ludzie śmieją się, że zapracowałem na miano piromana kina, bo mam na koncie „Walkę o ogień" i „Imię róży", gdzie kulminacją jest pożar klasztornej biblioteki. Pożar Notre Dame był natomiast typowo filmową sytuacją – pełną napięcia, momentów dramatycznych, które sąsiadują z elementami kabaretu i burleski. W istocie pożar spowodowała seria niefortunnych zdarzeń. To przyczyna każdej katastrofy. Gdyby wszyscy pracownicy byli przeszkoleni i kompetentni, gdyby przeznaczono odpowiednie środki na prace konserwatorskie i system zabezpieczeń budowli sakralnych, nie byłoby ryzyka.

W filmie wygląda to naprawdę niewiarygodnie.

– Ale dokładnie tak to przebiegało, minuta po minucie. Pracę w Notre Dame tego dnia rozpoczął nowy inspektor ochrony pożarowej, który nie był wcześniej w katedrze i nie znał wielu szczegółów technicznych. Na poddaszu włączył się alarm, który został przez resztę pracowników zignorowany i odwołany – podobno system wariował już od lat, więc uznali, że nie ma powodu do obaw. Kiedy pojawił się dym, trzeba było szybko reagować. Na miejsce pojechał pierwszy zastęp straży. Była tam czwórka początkujących strażaków, poniżej 25. roku życia, którzy nie mieli żadnego doświadczenia w walce z ogniem. Cała reszta utknęła w korku i nie mogła dostać się pod katedrę. Wszystko przez to, że ludzie zatrzymywali się na środku ulic, wyciągali telefony i robili selfie. Nie obchodziły ich zasady bezpieczeństwa. To wiele mówi o naszej słynnej francuskiej wolności (śmiech).

A co zaskoczyło cię najbardziej?

– Historia Laurenta Pradesa, zarządcy katedry, który tego dnia był w delegacji w Wersalu, czyli jakieś 20 km od pożaru. Na ironię zakrawa fakt, że był jedyną osobą, która miała klucze do skarbca z bezcennymi relikwiami Notre Dame. Kiedy tylko usłyszał o ogniu, ruszył z powrotem. Jechał metrem, rowerem miejskim, a następnie biegiem przedarł się przez policyjne kordony. Gdy wpadł do skarbca, w panice zapomniał szyfru do sejfu. Katedra płonęła, a on dzwonił stamtąd po pomoc do głównego zakrystiana, który nie odbierał telefonu. Prawo Murphy'ego – jeśli coś ma pójść źle, to pójdzie źle.

No właśnie – najbardziej szokujące jest to, że ludzie mieliby ryzykować życie dla domniemanego gwoździa z krzyża Jezusa czy korony cierniowej. W końcu ktoś stwierdza: „Katedrę można odbudować, z życiem strażaka to niemożliwe".

– Otóż to. Szczęśliwie nikt nie ucierpiał, skarby zostały uratowane, a odbudowa przebiega zgodnie z planem, katedra ma zostać ponownie otwarta w 2024 r. Jeśli chodzi o relikwie, musimy sobie powiedzieć, że strażacy początkowo ryzykowali dla… fałszywek. Okazało się, że na widok publiczny wystawiono tylko kopię korony cierniowej. Kawałek drutu pomalowany sprejem. Ludzie płacili, żeby przed tym się modlić. Bałaganowi nie było końca.

Kiedy pracujesz nad scenariuszem, potrzebujesz zwykle trzech elementów: gwiazdy, czarnego charakteru i suspensu.

Pośród serii tych niedorzeczności szczytem absurdu był tweet Donalda Trumpa, żeby użyć samolotów czy helikopterów gaśniczych, które opróżniłyby nad katedrą ważące tony zbiorniki z wodą.

– To było prawdopodobnie najgłupsze, co można w tej sytuacji zrobić. Trochę złośliwie dodałem scenę z Trumpem, ale jednocześnie zależało mi, by wybrzmiał polityczny wymiar tego wydarzenia. Katedra zaczęła płonąć chwilę przed tym, jak Emmanuel Macron miał wygłosić orędzie na temat protestów „żółtych kamizelek". Od tego miała zależeć reszta jego kadencji. A wracając na chwilę do Trumpa – cała jego prezydentura była pełna tego rodzaju absurdalnych wypowiedzi. Bez związku z faktami.

Nie powinno cię to dziwić – mieszkałeś w Ameryce.

– Pracowałem tam od 1975 r. i podobną atmosferę czułem raz – gdy George W. Bush dochodził do władzy. Naprzeciw niego w wyścigu o prezydenturę stanął wówczas Al Gore. To był inny typ polityka. Intelektualista, człowiek zaangażowany, który już wtedy mówił o potrzebie przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Bush natomiast całą kampanię powtarzał jedno zdanie: „Jesteśmy najlepsi i wygramy". Nie miałem wątpliwości, że w tym boju zwycięży ten, który obiecuje ludziom gruszki na wierzbie, a zarazem trudno mi

eprasa.pl 54657ca967

„Notre Dame płonie”

było w to uwierzyć. Tak samo było z Trumpem. Gdy wygrał, przyjaciele powiedzieli tylko: „Jean-Jacques, nie obraź się, ale jesteś Francuzem. Nie zrozumiesz tej mentalności”.

A trudno było Francuzowi pojąć amerykański przemysł filmowy?

– Niewątpliwie to inny świat. Hollywood nie jest zbyt zdrowym środowiskiem dla filmowca – istnieje ryzyko, że człowieka wciągnie ta machina, że będzie jedynie podążał za tym, co aktualnie modne i dochodowe. W takim systemie są dwie drogi: można robić albo wielkie produkcje w świecie superbohaterów, albo małe i tanie filmy dla platform streamingowych. Z biegiem czasu zagubiło się gdzieś kino środka, które przez lata odpowiedzialne było za wysoką pozycję sztuki filmowej. Być może dlatego postanowiłem wrócić do Europy. Wolę trzymać się na uboczu, pracować nad swoimi projektami w zaciszu, poza presją wielkich studiów.

Nie musisz też już niczego udowadniać. Takie filmy jak „Walka o ogień”, „Imię róży” czy „Wróg u bram” tworzą kanon światowego kina. Podobnie „Siedem lat w Tybecie”, twój najbardziej kasowy film, od którego premiery mija 15 lat.

– To ciekawe, że o tym wspominasz, bo w trakcie realizacji „Notre Dame płonie” wracałem pamięcią do mojej wizyty w Tybecie. Choć nie jestem osobą wierzącą, zawsze miałem głęboki szacunek do ludzi różnych wyznań. Kiedy kręciłem „Imię róży”, ściśle współpracowałem z zakonnikami. Ale najgłębiej utkwiło we mnie spotkanie z mnichami z klasztoru w Tybecie. Było coś magicznego w tym, gdy ich głowy rozświetlało wschodzące nad górami słońce, gdy dotykali nimi ziemi. Podczas pobytu tam zrozumiałem, że buddyzm to coś więcej niż religia. To mądrość, która może istnieć niezależnie od wiary w jakiegokolwiek Boga.

Czy Dalajlama widział film?

– Ależ oczywiście! On też wysłał mi przepiękny list. Był wdzięczny, że w roli jego matki wystąpiła jego siostra Jetsun Pema, która przez pół wieku dbała o edukację tybetańskich dzieci. W tym samym liście pytał, czy mógłby pokazać ten film dzieciom z okolicznych wiosek, by na jego przykładzie wyjaśnić im, jak wyglądało tam życie w latach 40. W tym samym czasie film zobaczył Heinrich Harrer, austriacki wspinacz, który spędził w Tybecie tytułowe siedem lat i został nauczycielem Dalajlamy. Mieliśmy z nim problem, bo pół roku przed premierą wyszło na jaw, że był członkiem młodzieżówki nazistowskiej.

Twierdził, że był to błąd młodości.

– Nie wątpię, problem w tym, że przez lata skrzętnie skrywał swoją przeszłość. Na łamach „Der Spiegla” tłumaczył się, że nigdy nie miał nic wspólnego z nazistami, choć sam fakt, że został wysłany na Nanga Parbat za zgodą gabinetu Hitlera, świadczył o czymś innym. To przykre, że ktoś, kto resztę życia poświęcił walce o poszanowanie praw i wolności człowieka, kto organizował akcje na rzecz uchodźców z Tybetu, nie miał odwagi, by powiedzieć prawdę. W pewnym sensie jestem szczęśliwy, że nasz film zmusił go do przyznania się do błędów z przeszłości. Nie był zbrodniarzem wojennym, ale naiwnym młodzikiem, który – jak tysiące innych – uwierzył w tę straszliwą ideologię.

Co powiedział na film?

– Był zadowolony. Zresztą zapamiętam go jako miłego, czarującego człowieka. Nie zapomnę, jak spotkałem się z nim przed rozpoczęciem zdjęć do filmu. Był ciekaw, kto go zagra. Kiedy powiedziałem, że Brad Pitt, zapytał tylko: „Czy jest wystarczająco przystojny?” (śmiech).

Mateusz Demski

Jeśli chodzi o relikwie, musimy sobie powiedzieć, że strażacy początkowo ryzykowali dla… fałszywek.

Rozmowa została przeprowadzona na festiwalu EnergaCAMERIMAGE

FOT. DAVID KOSKAS/MONOLITH FILMS (2)

eprasa.pl 54657ca967

Oko w oko

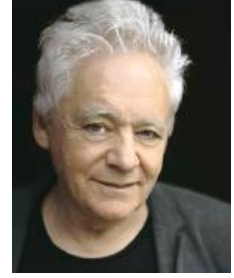

Tomasz Jastrun

Wstaliśmy z kolan i leżymy

Obsesyjnie zajmuję się prezesem, proszę mi wybaczyć, ale to w końcu on nas tak urządził. Niedawno prezes dowiedział się, że Polacy są nieszczęśliwi z powodu służby zdrowia. I gromi lekarzy. Jakby PiS nie reformowało służby zdrowia i jej nie zaszkodziło. Podobnie jak sądom (mam jakąś sprawę sądową, cud, jeśli dożyję jej końca). Prezes atakuje lekarzy, że są chciwi na pieniądze, a bycie lekarzem to przecież misja. Jak zwykle, gdy coś mu się nie podoba, grozi paluszkiem i słowami: „coś z tym trzeba zrobić". Grozi rzeczywistości, a rzeczywistość truchleje. Prezes uzdrowi służbę zdrowia. „Jarosław Polskę zbaw", jak chóralnie wołają jego zwolennicy. Zagrażają nam więc: Niemcy, Rosja, Tusk, LGBT, TVN i teraz lekarze.

Spotkania prezesa z wyborcami to skarbnica złotych myśli. W Legnicy powiedział: „W Anglii kilkaset osób rocznie ląduje w więzieniach za to, że mówią tak zbrodnicze rzeczy jak to, że z pary dwóch mężczyzn nie ma dzieci. Wystarczy tylko powiedzieć to w radiu, by na drugi dzień mieć policję w domu". Rzeczywiście, w Anglii tyrania, a w Polsce demokracja. Prezes w Legnicy komentował też zbliżający się wtedy mecz z Francją: „Jeśli pojawi się korzystny dla nas wynik, w tym wypadku to musi być zwycięstwo, choćby o jeden punkt, to będę skakał w powietrze". Próbuję sobie to wyobrazić i nie mogę, bo prezes z natury rzeczy za wysoko nie podskoczy. A ja przez prezesa nie mogłem kibicować w tym meczu Polsce, ostatnia rzecz, jaka by mnie ucieszyła, to radość prezesa. Potem jednak żal mi było Polaków, bo się starali, tylko brakowało umiejętności. Optymiści mówią, że polscy piłkarze wstali z kolan. PiS już podnosiło Polaków z kolan, a efekt jest taki, że leżymy.

Spotkania prezesa z wyborcami to skarbnica złotych myśli.

•

Mam problemy z zasypianiem. Ratuję się czytaniem. Gromadzą się na moim szerokim łóżku najpierw górki, a potem góry książek. Na wierzchu liczne tomy listów trzeciego wieszcza, Zygmunta Krasińskiego, do Delfiny Potockiej, kochanki poety, muzy największych artystów, nie tylko polskich. Nieznośne. I wspaniałe. Miłosna litania przez tysiące stron, uczuciowy wytrysk, który nie ma końca. Życzliwy powie: to największa polska powieść romantyczna. I piękny przykład miłości romantycznej, tyleż prawdziwej, co wymyślonej. Ktoś inny westchnie: genialna grafomania.

Listy pisane z kilkunastu miast Europy, bogaty Krasiński ciągle podróżował. Przez część roku 1844 jest w Warszawie, mieszka w pałacu Czapskich, w pałacu ojca Wincentego, generała napoleońskiego, a potem zdrajcy na służbie cara. Dominujący, zhańbiony zdradą ojciec zniszczył syna jako człowieka, nie jako poetę, ale trauma, jakiej doznał od ojca, miała wielki wpływ na jego poezję. Skupiłem uwagę na tych warszawskich listach. Znalazłem tylko dwie sceny, które są dotknięciem miasta. Krasiński idzie do szewca, zabłoconą ulicą w stronę Wisły. Szewc w szlafroku potraktował go po chamsku. I opis tej rozmowy jest kawałkiem żywej tkanki. Jakiś czas potem, stojąc na moście nad Wisłą, rysuje widok Starego Miasta. Oddech ulgi te opisy i dowód, że poeta jednak ma ciało. I wzruszenie tą dawną, okrutnie zabłoconą Warszawą. Znajduję piękną refleksję dotyczącą czasu: „Czas sam w sobie ciągłym jest samobójstwem i znoszeniem siebie samego". Czytam znakomity tekst mojego ojca o Krasińskim, „Syn szlachecki", pomieszczony w jego „Esejach". Porusza mnie, gdy widzę, jak wielki jest dorobek mojego ojca, nie tylko poety. I smutek, jak to zostało zapomniane.

•

W Muzeum Żydów Polskich Polin Wigilia „Zwierciadła". Dawno niewidziani znajomi, tak bliscy jak Wojtek Eichelberger; sam zmieniony przez czas, na początku mnie nie poznał, dopiero po chwili rozjaśnił twarz. Tak, zaczynamy już się nie poznawać. I zawsze to zaskoczenie, jak starzy są ludzie w moim wieku. Jedzenie, potem koncert, z którego uciekam. Jednak męczy mnie tłum. Na zewnątrz mrok, ale oświetlony pomnik Bohaterów Getta dłuta Natana Rapaporta, odsłonięty w 1948 r. Kilka lat temu stałem naprzeciw tej wybitnej rzeźby z moim znajomym – Marek Yanai, malarz z Jerozolimy, powiedział: „Rapaport uczył mnie na akademii rzeźby". Marznąca mżawka. Ślisko jak na lodowisku.

•

Pierwszych pięć kanałów na pilocie telewizyjnym ma być zarezerwowanych dla kanałów telewizji reżimowej. No tak, Korea Północna jeszcze daleko, ale jakby trochę bliżej. Na Obajtkowych stacjach Orlenu od wielu lat pisma liberalne są chowane za prawicowe. Takie zarządzenie firmy. A co będzie, jak całe to opresyjne i zmanipulowane państwo przejmie opozycja? PiS nie może więc przegrać tych wyborów, to się nie mieści w głowie, zgadzam się tu z prezesem. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Maciej Polkowski

Katar przeminął, bóle głowy pozostały

Kolejni trenerzy mieli znikomy wpływ na postawę i sposób gry Lewandowskiego

„Po 36 latach zagraliśmy w jednej ósmej finału mistrzostw świata, ale okrzyknięcie tego sukcesem byłoby gigantycznym błędem. Jeśli uznamy to za dobry udział w turnieju, to pogrążymy się w bylejakości na lata", podsumował występ naszej reprezentacji w Katarze jeden z najlepszych piłkarzy w polskiej historii, Włodzimierz Lubański. Fatalny obraz zmagań grupowych (0:0 z Meksykiem, 2:0 z Arabią Saudyjską i 0:2 z Argentyną) nieco przesłoniły niezłe fragmenty potyczki z Francją, przegranej 1:3. Przedmundialowy tekst (PRZEGLĄD nr 41) zatytułowaliśmy „Bóle głowy przed Katarem" – Katar przeminął, ale bóle pozostały.

Bojaźliwy kierowca futbolowego autobusu

Zapowiedź tego, czego możemy się spodziewać po naszej drużynie, mieliśmy już w czerwcu tego roku – podczas rywalizacji w Lidze Narodów. Po brukselskich „bęckach" 1:6 z Belgią 8 czerwca Michniewicz z rozbrajającą szczerością wyznał na pomeczowej konferencji prasowej: „Powiedziałem drużynie, że ten mecz długo będzie siedział w naszych głowach. Musimy zapamiętać dobre momenty i to, jak gra przeciwnik na światowym poziomie. Zapłaciliśmy wysoką cenę za to, że chcieliśmy grać, a nie tylko wybijać. Momentami gra była dla nas po prostu za szybka". Trzy dni później biało-czerwoni zmierzyli się na wyjeździe z ekipą Holandii i nawet prowadzili 2:0, jednak gospodarze potrzebowali zaledwie sześciu minut, by wyrównać. Remis 2:2 w Rotterdamie uznano za sukces, nie ukrywano zadowolenia, co mocno zdziwiło Louisa van Gaala: „Nie rozumiem, z czego oni tak się cieszyli. Trener i piłkarze podskakiwali. A przecież prowadzili 2:0 i nawet byli bliscy wygranej". Selekcjoner Holendrów przyznał też, że jego zespół po raz pierwszy musiał grać przeciwko drużynie, która broniła się dziesięcioma zawodnikami. W piłkarskiej gwarze określa się to jako „stawianie autobusu".

Dla bardziej wnikliwych obserwatorów to, co działo się w Katarze, nie było więc żadnym zaskoczeniem.

Cezary Kowalski z Polsat Sport napisał m.in.: „Po meczach z Meksykiem i Argentyną, w których zdobyliśmy jeden punkt, naród był zniesmaczony sposobem gry, mikroskopijną liczbą sytuacji do zdobycia gola, brakiem kreowania, wybijaniem piłki na trybuny czy »lagą« do przodu. Można zrozumieć, że mieliśmy grać »bezpiecznie« od tyłu, nie kombinować przesadnie przy wyprowadzaniu piłki z własnego przedpola, ale nie wierzę, że selekcjoner aż tak skutecznie wytrącił naszym asom ich oręż i tak bardzo wzięli sobie do serca jego »destrukcyjne« wskazówki, że nie byli w stanie wymienić między sobą kilku podań przed stratą piłki. I praktycznie nie próbowali oddawać strzałów na bramkę.

To dobrze, że był plan i mimo archaicznej gry wypalił. Prawdą też jest, że liczy się dobry wynik, a nie to, co ludzie będą gadali na mieście, ale… na litość boską, w sporcie chodzi też o to, aby dało się go oglądać. I np. w pierwszym meczu z Meksykiem, kiedy zorientowaliśmy się, że rywal nie jest taki straszny, po prostu zagrać otwarcie o pełną pulę, wywalczyć sobie jakiś kredyt zaufania, bo przecież nie tylko punktowy? Trochę »pomęczyć bułę«, pograć defensywnie, ale od czasu do czasu ruszyć, pokazać, że chcemy i umiemy grać w piłkę. A tak, nasza ekipa od razu ustawiła się pod ścianą. Przeszacowaliśmy zespół »El Tri«. Wpadliśmy w jakiś dziwny dygot, byliśmy autentycznie stremowani. Przecież patrząc na Roberta Lewandowskiego, który wyrównywał oddech przed rzutem karnym, nerwowo unikał wzroku bramkarza rywali, było widać, że coś z nim jest nie tak. To nie był ten RL9, którym się zachwycamy".

Mamy prawo być zniesmaczeni, albowiem katarska impreza dowiodła, że rola selekcjonera zdecydowanie przerosła Czesława Michniewicza. Okazało się, że jest „synem stracha", jak mawiają futboliści. Biało-czerwonej kadrze nie był i nie jest potrzebny bojaźliwy kierowca futbolowego autobusu. Dla porównania – starsi kibice doskonale pamiętają nasz pierwszy zwycięski (3:2) mecz z Argentyną w finałach mistrzostw świata w 1974 r. Niezapomniany Kazimierz Górski wielokrotnie powtarzał: „Jak się wychodzi

W sporcie chodzi też o to, aby dało się go oglądać.

De facto dla Lewandowskiego najważniejszy jest… Lewandowski!

eprasa.pl 54657ca967

przyszłości. Jak próbujemy atakować, to jest inaczej, ale jak gramy bardzo defensywnie, nie ma tej radości. Wiele czynników na to wpływa".

Tych kilka zdań wywołało lawinę komentarzy i spekulacji. W najdalej idących pojawiły się sugestie, że Lewandowski „poluje na hat trick trenerskich skalpów". Pierwszy był Franciszek Smuda, drugi Jerzy Brzęczek – czyżby przyszła pora na zwolnienie Michniewicza?

Całkiem niedawno na łamach PRZEGLĄDU zwracaliśmy uwagę, iż „wyraźnie widać, że selekcjoner Michniewicz wciąż nie ma jasności co do roli Roberta. Fakt, że Lewandowski jest kapitanem, to oczywistość i problem zarazem. Nie od dzisiaj wiadomo, że kolejni selekcjonerzy mieli znikomy wpływ na postawę oraz sposób gry RL9. Nie inaczej wygląda relacja z Michniewiczem – przecież w pierwszą zagraniczną podróż po nominacji selekcjoner wyruszył właśnie do Monachium. Pan Czesław zdaje więc sobie doskonale sprawę, kto rządzi i jest numerem jeden w narodowej kadrze". Dzisiaj w tej materii nic się nie zmieniło. Ktoś mógłby zapytać, czy drużyna co do dalszej pracy selekcjonera jest podzielona, czy jednomyślna. To nie ma znaczenia, bo i tak wszystko zależy od gracza Barcelony.

na boisko bez chęci wygrania, to lepiej w ogóle nie wychodzić". Pan Czesław (nadal jeszcze zwany selekcjonerem) dał sobie wmówić, że najważniejsze to pierwszego meczu nie przegrać, a reszta sama się ułoży… Wymownym dowodem rozchwianych koncepcji było wypuszczenie na murawę (po raz pierwszy) Kamila Grosickiego w 87. minucie spotkania z Francją. To posunięcie skwitował Maciej Petruczenko („Przegląd Sportowy"): „Otóż mając w naszej kadrze Kamila Grosickiego, jedynego gracza zdolnego do rozrywania obrony przeciwników, precyzyjnego dośrodkowywania i skutecznego strzelania na bramkę – nie wykorzystaliśmy jego możliwości. Został wprowadzony faktycznie już tylko na gaszenie świec... Szkoda". Rozczarowany menedżer piłkarza Daniel Kaniewski na Twitterze napisał: „A nie mówiłem, tylko szkoda, że ten trener myśli, że ma zawsze rację, a jednak nie… tylko dlaczego zwlekał, jak była szansa i były okazje ku temu, aby zrobić więcej w tym meczu…". A były reprezentant Tomasz Sokołowski dodał: „W pięć minut zrobił więcej niż Milik z Zalewskim razem wzięci".

Rola selekcjonera przerosła Czesława Michniewicza. Okazało się, że jest „synem stracha".

Bo najważniejszy jest Lewandowski

Po spotkaniu z Francją zapytano Roberta Lewandowskiego, czy jeśli awansujemy na mundial za cztery lata, również w nim zagra. Odpowiedział: „To jest daleka droga, radość z gry jest potrzebna, to będzie ważny element, nawet w niedalekiej

Swoją boiskową niemoc (indolencję) Lewandowski i spółka tłumaczyli więzami taktycznymi. Grali, jak im kazano, i nic innego nie dało się zrobić. Czy rzeczywiście piłkarz jest bezwolnym wykonawcą przedmeczowych ustaleń? Zapytałem wybitnego eksperta w tej dziedzinie, Grzegorza Latę. Odpowiedział: „Najłatwiej wskazywać winę innych. Przed meczem można narysować cuda na tablicy, przedstawić znakomitą taktykę, ale potem wychodzisz na boisko i jest przeciwnik. Inteligentny zawodnik sam potrafi błyskawicznie zdecydować, co trzeba skorygować. Zwłaszcza występując w reprezentacji, trzeba walczyć w myśl zasady:

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 54657ca967

jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Trzeba zapieprzać i dać z siebie wszystko".

Problem w tym, że Lewandowski swojej pozycji nie potwierdził na żadnej z wielkich imprez – a były to trzy finały mistrzostw Europy (2012, 2016 i 2020) oraz dwa mundiale (2018 i 2022). W Katarze rozegrał cztery pełne mecze. Oddał łącznie 12 strzałów, zdobył dwie bramki, asystował Piotrowi Zielińskiemu, zmarnował karnego z Meksykiem i pierwszego z Francją. Bez przerwy słyszymy, że mamy najlepszego napastnika świata. Postawmy sprawę jasno: katarski turniej dowiódł, że to już przeszłość. Przypomnijmy chociażby niedawną konfrontację z Messim. Można powiedzieć, że Lewandowski pełni funkcję kapitana honorowo, bo na tym mundialu – z niewielkimi przebłyskami – był raczej niewidoczny. Jak ktoś to określił, „w kolejnych spotkaniach jego język ciała wskazywał na zniechęcenie połączone z obojętnością". Przykre, że w Katarze był po prostu bez formy.

Nigdy nie zdradzał cech przywódczych i nie umie zmobilizować kolegów do uporczywej walki do upadłego. Chce być nie dyrygentem, ale oklaskiwanym i uwielbianym przez tłumy solistą. De facto bowiem dla Lewandowskiego najważniejszy jest… Lewandowski!

Raj dla hazardzistów

Tegoroczny mundial okazał się natomiast wymarzoną imprezą dla urodzonych hazardzistów. Ludzi kochających ryzyko i mających za nic opinie czy przewidywania wszelkiej maści ekspertów. Zresztą na piłce nożnej, podobnie jak na medycynie, znają się wszyscy. Ale kto puścił wodze fantazji, ten już po fazie grupowej mógł zgarnąć niezłą fortunkę. Wystarczy przypomnieć, że bukmacherzy obstawiali wynik meczu Argentyna-Arabia Saudyjska 1,17:19! Ciekawe, ilu odważyło się postawić na pierwsze miejsce Japonii w grupie E i jej rewelacyjne wygrane po 2:1 z Niemcami i Hiszpanią. Japończycy odpadli w jednej ósmej finału z Chorwatami po beznadziejnie wykonywanych strzałach w serii rzutów karnych – ten sam nieszczęsny los spotkał Hiszpanów po ich wyjątkowo bezbarwnej grze w starciu z Marokiem.

Na katarskich stadionach objawiła się jedna z najpiękniejszych cech piłki nożnej – jej nieprzewidywalność.

Za największą sensację fazy grupowej uznano odpadnięcie reprezentacji Belgii. Czerwone Diabły przyjechały do Kataru jako wicelider rankingu FIFA i jeden z kandydatów do końcowego triumfu. Katastrofę spowodował z reguły niezawodny Lukaku. W bezbramkowym meczu z Chorwacją raz za razem marnował wyborne sytuacje. A wystarczyłoby jedno trafienie, by zepchnąć w niebyt Chorwatów. Niemcy, wracając przedwcześnie do domu, zafundowali swoim kibicom powtórkę sprzed czterech lat.

W meczach o awans do ćwierćfinału emocje goniły emocje. Warto zapamiętać zachwycającą Portugalię, która rozgromiła słynącą ze stalowej defensywy Szwajcarię aż 6:1. Sensacją było pozostawienie na ławce rezerwowych Cristiana Ronalda. 37-letni gwiazdor pojawił się na murawie dopiero w 73. minucie, przy stanie 5:1. Bohaterem został młodszy od niego o 16 lat Gonçalo Ramos, napastnik Benfiki Lizbona, autor hat tricka.

Hiszpańskie media porażkę i wyeliminowanie ekipy Luisa Enrique nazwały zatonięciem. Pogromcami Hiszpanów okazali się Marokańczycy, którzy wygrali 3:0 w serii rzutów karnych. Ich bramkarz Bono został rzecz jasna bohaterem swojej drużyny narodowej, a Maroko po raz pierwszy w historii awansowało do najlepszej ósemki mistrzostw świata.

Wielki finał 18 grudnia, półfinały 13 i 14 grudnia. Ćwierćfinały zwycięsko przeszły dotychczas Argentyna (wygrała z Holandią) i Chorwacja (wyeliminowała Brazylię), walczą jeszcze (piszę to 9 grudnia) Anglia i Francja oraz Maroko i Portugalia. Która z tych drużyn sięgnie po Złoty Puchar?

Na katarskich stadionach objawiła się jedna z najpiękniejszych cech tej dyscypliny – jej nieprzewidywalność. A więc dopóki (mundialowa) piłka w grze…

Maciej Polkowski

eprasa.pl 54657ca967

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Niezapaszek

Niech będzie pochwalony każdy człowiek u zarania. W imię ojca, matki, syna, córki, ducha miejsca i czasu. Ostatni raz kąpałem się w wannie przed rokiem, pokutę uiściłem w ramach rozliczenia miesięcznego. Od tamtej pory popełniłem następujące kąpiele: szczędząc na prysznicu, używałem wody ciepłej tylko w przypadkach zaplanowanych spotkań towarzyskich (jako odwiecznie niezatrudniony spotkań zawodowych nie odbywam), aby nie nękać zapachowo osób, które postanowiły mi czas poświęcić. Tusz zimny albo letni służył mi raczej do pobudzenia członków i spłukania mętów niźli do obmycia grzechów dnia powszedniego. Zachodziłem na kąpiele przygodne w górskich strumieniach, takoż wartkich, pstrążystych, jak i powolnych, kiełżem oblepionych; zapływałem rzekami nizinnymi do zatoczek osłoniętych szuwarem, aby się zanurzyć; korzystałem też z wód stojących, pałki rozgarniając w drodze do kąpieliska. W pokojach hotelowych albo nie miałem szczęścia do wanien, albo są one powszechnie usuwane z uwagi na kryzys, wszak myśl hotelarska jest ekonomiczna.

Wanno domini 2022 rozmnożyły się kabiny, myć się należy w pozycji stojącej, woda to dobro powszechne, ale nierównomiernie dostępne, pomnij o suszy, przybyszu, o karawanie zdrożonej w żarze pustyni, a po czynnościach łaziebnych puść sobie czwartą część przygód Szalonego Maksa (dla mnie top 5 arcydzieł ekranowych dystopii wszech czasów). Długie kąpiele wanienne wspominam jako bezpowrotnie miniony znak epoki zbytku i beztroski, o marnowaniu wody nie myślałem, dopóki kiedyś tam, kiedyś nie zamieszkałem na odludziu, by czerpać wodę ze studni, i nagle okazało się, że wyschła. Suche studnie to ja lubię w jaskiniach, człowiek przynajmniej nie zmoknie na linie, ale nagły brak wody w domu potrafi napędzić byłemu mieszczuchowi solidnego stracha i zmotywować do niemycia. Bywało, że zdjęty chorobą duszy nie wyściubiłem nosa spod kołdry przez wiele dób lub też zajęty robotą językową nie wychodziłem na świat, albowiem tylko ten przedstawiony mnie interesował – wtedy moja skóra nie miała z wodą kontaktu prawie wcale, myłem tylko zęby i korzystałem z bidetu.

Po takich samotniczych sesjach antyablucyjnych udawało mi się odtworzyć pierwotny fetor, zauważyłem, że człowiek niemyty cuchnie tylko przez kilka dni, potem jego zapach przybiera charakter bardziej zwierzęcy niż ludzki. Bezdomni, od których odsuwamy się w miejscach publicznych, śmierdzą najczęściej niepranymi łachami, które mają na sobie, chorobami, które mają w sobie, alkoholem i odchodami – czasem jednak trafi się kloszard zdrowy, niepijący i na miarę swych skromnych możliwości zadbany, wtedy czuć od niego tę surową, nęcącą woń człowieka sprzed ery mydła i pachnideł, zapach naszych pradziadów, po których mamy nazwisko. Bosi i złachmanieni, jak jeden mąż żyli jednak szczelnie otuleni płaszczami hydrolipidowymi, których nasze pokolenia z uporem maniaka pozbywają się za pomocą nadużywanych żeli, mydeł i szamponów.

Zamiast pachnieć sobą, zalatujemy Diorem, Armanim czy innym Kleinem, do tego łapiemy egzemy i pokrzywki w każdej podróży, bo wydelikacone ciała reagują alergicznie na najdrobniejszą zmianę kwasowości lub twardości wody. Fetysz skóry gładkiej i wonnej oddala nas od dzikich pierwocin, od cuchu sierści, którąśmy byli porośnięci, zanim przyszło nam do łbów stworzenie bogów, a potem jednego, który nie znosi innych.

Wanno domini 2022 rozmnożyły się kabiny, myć się należy w pozycji stojącej, woda to dobro powszechne, ale nierównomiernie dostępne.

Drzemie jeszcze w kinach „Do ostatniej kości", niesamowity film Luki Guadagnina, za który jak najsłuszniej dostał reżyserski laur na festiwalu w Wenecji. To jeden z najdziwaczniejszych filmów drogi, jaki widziałem, nadzwyczaj wysmakowana formalnie historia młodych ludzi o nadzwyczaj niesmacznych obyczajach – delikatna opowieść miłosna o dwojgu młodych kanibali, bez ceregieli pożerających na surowo swoje świeże ofiary. Rozpoznają się i odnajdują po zapachu, potrafią się zwęszyć z dużej odległości, jak zwierzęta – i na tym właśnie kontrapunkcie między tym, co zwierzęce, i tym, co arcyludzkie, okrutnie dzikie i czule zmysłowe, pożądane i abiektalne, piękne i obrzydliwe, Guadagnino wygrywa swój hollywoodzki debiut. Fuj, fuj, ależ to pyszne. Podać taki nieprzyprawiony tatar w głównym menu Fabryki Snów, do tego obsadzić najśliczniejsze twarze (Timothée Chalamet, Taylor Russel) w rolach ludożerców, to wysublimowana perwersja, którą szanuję. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Dominika Tworek

Oddać głos rybom, wyeliminować patologię

Nie ma racjonalnego uzasadnienia przewożenie karpi, przerzucanie z jednego zbiornika do drugiego, męczenie ich przed śmiercią

Wrocław jako jedno z pierwszych miast w Polsce zdecydował się na zakaz handlu żywymi rybami. Dwa lata temu magistrat do przedświątecznej sprzedaży karpi wyznaczył osiem miejsc, a rok temu zredukował tę liczbę o połowę i zapowiedział, że to ostatnie takie święta.

– W 2021 r. Biuro Rozwoju Gospodarczego przeprowadziło ostatnie losowanie miejsc do handlu rybami na wrocławskich ulicach. Uwzględniliśmy w ten sposób postulaty hodowców karpi z obszaru aglomeracji wrocławskiej, którzy potrzebowali czasu, aby przygotować się do zmian i wypracować nowe ścieżki dystrybucji. Zgodnie z zapowiedzią Wrocław w tym roku nie udostępnia miejsc do handlu żywymi rybami ani przy ulicach, ani na targowiskach – informuje Tomasz Myszko-Wolski z urzędu miasta. Decyzja jest odpowiedzią na apel Fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva! i Rady ds. Zwierząt przy prezydencie Wrocławia. Na podobne rozwiązanie postawiły też Łódź i Poznań.

Jednak prawo w Polsce wciąż nie zabrania handlu żywymi rybami, co oznacza, że można go prowadzić na terenach prywatnych. Animal Patrol Straży Miejskiej we Wrocławiu planuje na bieżąco kontrolować punkty sprzedaży ryb i sprawdzać, czy sprzedawcy przestrzegają przepisów. A te mówią m.in., że ryb w zbiorniku z wodą nie może być zbyt dużo, nie można także zawijać żywych ryb w szczelne torby foliowe. W takich sytuacjach zarówno sprzedawcom, jak i kupującym grozi kara grzywny, ograniczenia wolności albo dwóch lat więzienia. Niewykluczona jest również konieczność wpłaty od 500 zł do nawet 100 tys. zł na rzecz ochrony zwierząt.

Mity i uprzedzenia

Ryby są tzw. zwierzętami hodowlanymi, zabijanymi w liczbie ponad biliona osobników rocznie. To na ich przykładzie najlepiej widać społeczne uprzedzenia wobec zwierząt. Antropocentryzm i szowinizm gatunkowy sprawiają, że nie dostrzegamy w nich pełnowartościowych istot. – Ryby to zwierzęta żyjące w wodzie, nie wydają dźwięków, trudno coś wyczytać z wyrazu ich „twarzy", a ich sposób komunikacji daleki jest od tego, jak komunikujemy się my, ludzie, nawet z takimi zwierzętami jak psy i koty. Siłą rzeczy są więc przez nas mniej poznane i traktujemy je jako obce. Poza tym w naszej tradycji ryba uznawana jest za coś pomiędzy zwierzęciem a rośliną. To przekonanie funkcjonowało jeszcze w starożytności, kiedy wierzono, że mięso jest pokarmem ciepłym, który nas rozgrzewa, ale też pobudza nasze złe instynkty, np. agresję. Z kolei ryby oraz bobry – jako osobniki żyjące w wodzie – są zwierzętami zimnymi, toteż nie powodują niezdrowego pobudzenia człowieka do grzesznych rzeczy. Takie myślenie zostało zaadaptowane przez chrześcijan, wsiąknęło w tradycję. Dlatego mamy przyzwolenie na jedzenie ryb podczas postu – opowiada prezes Fundacji Viva! Cezary Wyszyński.

Wiedzę o tym, że ryby czują, mamy co najmniej od drugiej połowy XX w., a od dekady w środowisku naukowym istnieje konsensus co do odczuwania przez ryby bólu i różnych emocji, a także co do ich inteligencji. – Wiemy, że ryby mają w mózgu struktury, które przetwarzają negatywne emocje, np. strach, a w momencie zdenerwowania produkują te same neuroprzekaźniki co my: adrenalinę, noradrenalinę czy kortyzol, czyli hormon stresu. Tak

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 54657ca967

samo jak inne kręgowce wyposażone są w receptory i włókna nerwowe do wykrywania i przekazywania bólu, a w odpowiedzi na ból występują u nich typowe zmiany fizjologiczne: przyśpieszenie oddechu i tętna. Reagują też na środki przeciwbólowe, zmieniają zachowanie pod wpływem chociażby morfiny. Te zwierzęta pod kątem doznań niewiele różnią się więc od ssaków. Dzisiaj wiemy też, że ryby mają dobrą pamięć – potrafią przez wiele miesięcy pamiętać, że zostały zranione wędkarskim haczykiem i po takim doświadczeniu unikają ponownego połknięcia go. Niektóre przebadane gatunki świetnie posługują się narzędziami, inne przechodzą test lustra, który jest jednym z elementów badania samoświadomości zwierząt – wylicza dr Robert Maślak z Wydziału Nauk Biologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

Nasz stosunek do ryb ujawnia się także w używanym przez nas języku. Mówimy o „tonach" ryb, nie o milionach zwierząt. O tym, że są „śnięte", a nie cierpiące, dogorywające czy zabite. – Podczas katastrofy w Odrze uderzył mnie sposób, w jaki wypowiadamy się o rybach. Nawet osoby zaangażowane w ratowanie zwierząt używały języka, który oddawał nasz przedmiotowy stosunek do nich. A to podejście bardzo trudno zmienić, bo trudno nam empatyzować z rybami. One nie pokazują bólu, nie krzywią się, nie krzyczą, nie płaczą. Zarazem nie uśmiechną się do nas, nie mają mimiki, takiej jak u ssaków. Dlatego do zmiany w traktowaniu zwierząt wodnych możemy dojść bardziej rozumem, czyli racjonalnymi argumentami, a mniej emocjami. A to jest dużo mniej skuteczne, bo jesteśmy gatunkiem emocjonalnym, na który najsilniej działają właśnie emocje – komentuje biolog.

Społeczna zmiana

Z sondażu CBOS przeprowadzonego w 2021 r. wynika, że 59,3% Polaków popiera zakaz sprzedaży żywych karpi, jeśli w sklepach dostępna byłaby opcja kupna karpia już gotowego w postaci dzwonek, płatów lub całych tusz.

– Ta społeczna zmiana odbyła się dzięki synergii wielu kampanii i działań nakierowanych na miejsca, które miały jakąkolwiek styczność ze sprzedażą żywych karpi. Jeszcze 20 lat temu byliśmy przyzwyczajeni do tego, że karpie nosi się w plastikowych torebkach. One tam się duszą, ale nam to nie przeszkadza, bo nie wydają żadnego dźwięku, który wskazywałby na ich ból. Pokutowało przeświadczenie, że tak było i będzie. Działał mechanizm utwierdzania w przekonaniu, że skoro wszyscy tak robią, to znaczy, że to jest OK, bo jakby to było takie złe, to byłoby zakazane. A dopiero zmiana świadomości ma szansę przełożyć się na zmiany legislacyjne – podkreśla Cezary Wyszyński.

– Impulsem do modyfikacji naszego postrzegania i traktowania karpi była nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt z 2015 r., kiedy udało się rozszerzyć przepis, który definiuje, co to znaczy znęcanie się nad zwierzętami. Uznano, że jest to także transport ryb bez wody w ilości umożliwiającej im oddychanie. Ale to nie od razu zadziałało, bo jednocześnie mieliśmy instrukcję Głównego Lekarza Weterynarii, która mówiła, że ryba może właściwie oddychać bez wody. Że można ją transportować w reklamówce, o ile włoży się do torby plastikową kratkę, która w jakiś magiczny sposób miała umożliwić rybom oddychanie tlenem z powietrza. Zmiana tych wytycznych nastąpiła dopiero dwa lata temu – dodaje Wyszyński. – W ciągu ostatnich kilku lat mieliśmy też pierwsze wyroki skazujące za znęcanie się nad karpiami. Również wieloletnie kampanie organizacji działających na rzecz zwierząt spowodowały, że dziś zdecydowana większość marketów nie sprzedaje już żywych ryb.

Etyka i środowisko

Według dr. Maślaka nie ma żadnego racjonalnego uzasadnienia przewożenie karpi, przerzucanie z jednego zbiornika do drugiego, męczenie ich i stresowanie przed śmiercią. Przedłużanie cierpienia zwierząt jest niepotrzebne. Aby zmienić status quo, biolog proponuje wprowadzenie całkowitego zakazu obrotu żywymi rybami gospodarczymi (z wyjątkiem rybek akwariowych).

– Robimy to z przyzwyczajenia, choć nie możemy nawet podeprzeć się tradycją, bo jest to zwyczaj, który narodził się dopiero w latach 50.! Nie przekonuje mnie też argument o świeżości. We Wrocławiu karpie pochodzą głównie z oddalonego o 50 km Milicza. Ta ryba jest więc dalej świeża, nawet gdyby nie była przewożona w chłodniach. Zakaz transportu żywych ryb – oprócz krótkiego przewozu z miejsca ich złowienia do miejsca zabicia – jest jak najbardziej realną potrzebą i konieczną do uregulowania kwestią. Innym ważnym aspektem jest wpływ środowiskowy połowu ryb. Na całym świecie mamy ogromny problem z przełowieniem, co doprowadza do nadmiernej eksploatacji środowiska naturalnego. Wydawałoby się, że hodowle ryb rozwiązują problem, bo nie niszczą przyrody. Ale okazuje się, że masowe hodowle produkują mnóstwo zanieczyszczeń i w wielu z nich wcale nie dba się o dobrostan zwierząt. Wszystkie te kwestie powinny być uregulowane na poziomie unijnym – podsumowuje.

W tym roku Wrocław nie udostępnia miejsc do handlu żywymi rybami ani przy ulicach, ani na targowiskach.

Hodowle ryb nie pozostają bez wpływu na klimat, deforestację, zanieczyszczenie wód, a także na zdrowie ludzi i jakość życia. Analiza opublikowana w czasopiśmie „Nature Sustainability" ujawniła, że nie tylko hodowla krów i świń odbija się na emisjach gazów cieplarnianych i jakości wody. Badanie jasno stwierdza, że hodowla ryb i tzw. owoców morza pogarsza stan planety. Podczas gdy systemy wodne wytwarzają 1,1% światowej żywności, odpowiadają za aż 9,9% globalnego śladu środowiskowego systemu żywnościowego. Choć hodowle te

eprasa.pl 54657ca967

stanowią problem zarówno etyczny, jak i środowiskowy – pozostają tematem przemilczanym, zapomnianym przez legislację i polityków.

Rozwiązania kadłubkowe

– Ruchy samorządów to bardzo ważne inicjatywy, które pokazują, że poszczególne miejsca w Polsce nie zgadzają się na dręczenie ryb. Natomiast są to rozwiązania kadłubkowe – nie likwidują problemu w całej Polsce, w sposób systemowy. Mają podobny charakter jak zakazy występów cyrków ze zwierzętami, obowiązujące tylko na terenach miasta, a na prywatnych już nie. Dlatego nie możemy na tym poprzestać. Potrzebujemy ogólnopolskiego zakazu detalicznej sprzedaży żywych ryb. Żeby taka ryba (istota czująca) nie trafiała do domu przeciętnego Kowalskiego, który nie ma pojęcia, jak się z nią obchodzić, nie wie nic o zasadach jej zabijania. Bo on zamyka drzwi i nikt nie ma kontroli nad tym, co z tym zwierzęciem dalej się dzieje. To jest patologia, którą musimy – w skali całego kraju – wyeliminować – mówi Karolina Kuszlewicz, adwokatka, ekspertka w zakresie prawnej ochrony zwierząt.

Zdaniem prawniczki taki zakaz powinien się znaleźć w ustawie o ochronie zwierząt: – Można go wprawdzie wyinterpretować z dotychczasowej ustawy, ale ponieważ taka interpretacja zawsze niesie ryzyko, że jedna osoba zrozumie coś zupełnie inaczej niż druga – sądy również – lepiej byłoby twardo wpisać przepis zakazujący. To ucięłoby proceder sprzedawania żywych karpi. Nie potrzebowalibyśmy już ustalać norm utrzymywania tych ryb w basenach. Co prawda, te ustalenia zapewniają jakiś poziom zadbania o zwierzęta, jednak jest on bardzo daleki od ich całkowitego dobrostanu. Jeśli chodzi o zasady uśmiercania ryb, przede wszystkim powinno się ono odbywać w miejscu, w którym ryby są odławiane, bez długiej podróży. A rozporządzenie unijne, które reguluje zasady uśmiercania zwierząt, powinno zostać gruntownie znowelizowane pod kątem ryb. Dzisiaj oprócz takich reguł, że rybę należy ogłuszyć uderzeniem w głowę – co bywa nieudolne – nie znajdziemy w nim regulacji, które odpowiadają aktualnej wiedzy naukowej. Rozporządzenie to powstało w 2009 r. i w preambule przyznawało, że wobec ryb reguły są bardzo ogólne. A wiedza naukowa nie pozostawia już wątpliwości, że te zwierzęta czują, podobnie jak kręgowce.

Prawo w Polsce wciąż nie zabrania handlu żywymi rybami, czyli można go prowadzić na terenach prywatnych.

Dystans i edukacja

Problem traktowania ryb pojawił się również w dyskursie międzynarodowym. Rada Zarządzania Akwakulturą (ASC), która nadzoruje globalny system certyfikacji ryb tzw. hodowlanych, przeprowadziła konsultacje w sprawie nowych projektów standardów dobrostanu, w tym „bardziej humanitarnych" praktyk uboju. Zgodnie z propozycjami ryby tzw. hodowlane z etykietą ASC będą musiały zostać ogłuszone przed zabiciem. Obecne normy dopuszczają ubój ryb przez wypatroszenie i uduszenie. Według ASC nowe standardy wyeliminują stosowanie „awersyjnych" metod zabijania, w tym „uduszenia, kąpieli solnych, amoniakalnych i patroszenia". Normy dobrostanu będą dotyczyć ryb płetwiastych, ale później mogą zostać rozszerzone na kraby, homary, krewetki i inne organizmy morskie.

Zmiany dotyczące praw zwierząt następują w tempie pokoleniowym. Potrzeba dystansu, aby zobaczyć, że one w ogóle zachodzą, a większa świadomość społeczna zazębia się ze zmianami w prawie. Aby je przyśpieszyć, potrzebna jest edukacja na temat dobrostanu zwierząt.

– W Polsce kompletnie jej brakuje! – komentuje dr Maślak. – A wystarczyłyby krótkie, dwuminutowe informacje, emitowane w telewizji jak reklamy. Takich edukacyjnych programów de facto nie ma. Informacje ze świata przyrody docierają jedynie do tych, którzy się nim interesują. Ważną platformą edukacyjną jest szkoła. Uważam, że w programie zajęć powinny się znaleźć lekcje etyki związanej ze zwierzętami. To bardzo obszerny i interesujący dział nauki.

Dominika Tworek

eprasa.pl 54657ca967

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale Żółć

W nocy park Grabiszyński jest ciemną tubą wyściełaną liśćmi. Nic nie widać i pies mnie prowadzi. Czasem wyciągam ręce przed siebie – ze strachu, że może wchodzimy w jakieś chaszcze. Przy Blacharskiej park się rozwidla i jest jaśniej, pojawiają się pierwsze domki i ulica. W piątek stała tam dziewczynka w czapce. Nie, nie odwróciła się znienacka, nie zaświeciła wbitym w czaszkę toporkiem. Oczy nie pałały jej dziko. Wyglądała na zwykłą dziewczynkę (o ile w ogóle dziewczynka może być „zwykła"). Niezwykła była za to jej nieruchomość: stała sobie i tyle. Pewnie rozmyślała albo liczyła drzewa, albo coś sobie w głowie dodawała czy odejmowała. Człowiek nawet nie wie, ile czynności wykonuje nieruchome dziecko. Dorośli żyjący z dziećmi stale powołują nowe miasta, niszczą królestwa, wskrzeszają umarłych. I serio nie powinni się dziwić, że jedno właśnie tak sobie potrafi stać, choćby było to późną porą.

Nie powiem, że sobota zaczynała się zwyczajnie – rozwijała się w cieniu nocnej przygody. Poza tym w radiu puścili moją ulubioną piosenkę, a sąsiadka, którą pociągnął pies, wpadła (dosłownie) w moje ramiona. A mimo to słabo przyglądałam się tym przypadkom. Od rana czułam lekkie napięcie, jakie czujemy, kiedy wieczorem udajemy się w jakieś miejsce pełne ludzi. Tego dnia wszyscy wybierali się na koncert zespołu Żółć. Kolega gra, trzeba iść. Tym bardziej że koncert miał się odbyć w nowej wspaniałej przestrzeni, gdzie oprócz biur mieszczą się galerie, szalone fundacje i pokoje gościnne dla artystów. Wcześniej jednak odbywało się spotkanie autorskie w zaprzyjaźnionej księgarni. Przewaga Księgarni Hiszpańskiej nad innymi polega na tym, że prowadzi ją Ewa, oraz na tym, że ma koncesję na alkohol. Ta szczególnego rodzaju podwójność sprawia, że Elite wygrywa wyścig o sympatię i to tam najczęściej odbywają się wieczorne zgrupowania.

Kolega Paweł Stasiewicz czytał intymne, przy ciele zorganizowane wiersze, przez które słuchacz, czytelnik zaczynał myśleć o swoich przeziębionych kolanach, jelitach, śliniankach: „Poruszę twoje ślinianki / napisem: ogórki kiszone / Teraz możesz poślinić palec / i przekręcić stronę na dalsze czytanie / Kciukiem zrób sobie zakładkę / do trzymania na grzbiecie / Resztę ręki weź na spad / i czytaj to co zostało / A teraz zjedz to co widzisz". Od razu po pierwszych wierszach mieliśmy się udać na koncert zespołu Żółć, ale pojawiły się następne. O koszulach, paprochach na spojówce oka, nocnym sikaniu w łazience. Siedzieliśmy przy barze, straciliśmy poczucie czasu. Zrobiło się późno i ktoś powiedział: „Koncert na pewno się skończył, chodźmy coś zjeść". Ale niektórzy z nas byli zdeterminowani i bardzo chcieli iść. To co, że była już północ, zespół Żółć na pewno już spał, a publiczność rozeszła się po okolicznych knajpach. Dobra, myślę, jeden kij: najwyżej obejrzymy kamienice na Ruskiej, zjemy przeskalowane frytki z nocnej budki, pokręcimy się, zmarzniemy.

Wbiegliśmy w podwórko z neonami z impetem, a chciałam zaznaczyć, że nasz impet liczy już sobie te 40-50 lat. Do budynku wchodziło się przez windę. A może: wprost z podwórka wchodziło się do windy, która wiozła człowieka wyłącznie do góry (nigdy nie można było zjechać nią w dół). Taka to dziwna winda mieści się przy Ruskiej. Akurat była otwarta i w środku zobaczyliśmy trzy ładne osoby, najwyraźniej imprezowiczów! Ruszyliśmy w ich stronę i wkrótce też staliśmy w windzie. Która nie ruszała z otwartymi drzwiami i nie ruszała z zamkniętymi drzwiami. Wszyscy zaczęli wciskać rozmaite kombinacje guzików, machać rękami, żeby uruchomić fotokomórkę, i wreszcie winda zajęczała niechętnie. Wysiedliśmy na szczycie kamienicy. Natychmiast ogłuszyło nas rytmiczne elektro. Zespół Żółć nadal grał!

Człowiek nawet nie wie, ile czynności wykonuje nieruchome dziecko.

Pośrodku sali stało całe środowisko maszyn: syntezatory i komputery. Muzycy używali samplerów i sekwencerów, maszyn perkusyjnych i efektów. W ciemności zlokalizowaliśmy naszego ziomka Kamila; pochylał się nad sprzętem, kiwał się, wciskał coś, czymś kręcił – potężna ściana dźwięku odbijała się od ścian, na których wyświetlało się dziwne wideo z chłopcem, który chodził po łące. Zrzuciliśmy kurty i szaliki na ziemię, zaczęliśmy skakać, tańczyć, przeginać się, trząść. A kiedy wreszcie podrygi nas wysuszyły – ruszyliśmy korytarzami w dół, żeby zlokalizować jakiś bar. Nie znaliśmy, ma się rozumieć, żadnych kodów, nie mieliśmy żadnych kluczy czy kart. Wkrótce siedzieliśmy na dole bez możliwości wyjścia ani powrotu. Z zatrzaśniętymi za plecami drzwiami, w szklanej pułapce. Jak to w ogóle mogło się stać? Jesteśmy przecież zbyt starzy, zbyt trzeźwi! I kiedy tak rozmyślałam z twarzą przy szybie, z nadzieją, że po drugiej stronie znajdzie się jakiś przechodzień – przypomniałam sobie tamtą dziewczynkę z wczoraj. Prefigurację mnie tutaj – bezsensownej, nieruchomej, z dudniącym jeszcze w głowie rytmicznym elektro. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 54657ca967

Zuzanna Muszyńska

Black jest Polish

Uchodźcy z Afryki walczą o przetrwanie. Ich los w naszym kraju jest niepewny, a kontakty z Polakami nacechowane uprzedzeniami

W Europie jest ok. 9,6 mln osób pochodzących z Afryki Subsaharyjskiej. Połowa mieszka we Francji, milion w Niemczech, niecałe 2 mln w Wielkiej Brytanii. W Polsce ich liczba nie przekracza kilku tysięcy (dokładnych danych brak).

Co prawda, stosunek polskiego społeczeństwa do imigrantów, w tym do mniejszości afrykańskiej, zmienił się w ostatnich latach na lepsze, jednak osoby pochodzenia afrykańskiego wciąż są ofiarami agresji ze względu na kolor skóry. Wykazały to badania wykonane przez pracownię IBRiS dla Fundacji Afryka Inaczej.

Jestem czarnym Polakiem

Historia diaspory afrykańskiej w naszym kraju sięga połowy XX w., kiedy władze PRL zaczęły zapraszać studentów z Afryki na polskie uczelnie. Ci, którzy zostali, dali początek grupie określanej przez badaczy jako Zadomowieni. Założyli rodziny, bardzo często z Polkami i Polakami. Pracują, mają dzieci, mówią po polsku. Utrzymują kontakty z afrykańską diasporą. Polskę porównują z Afryką. Czują się tu u siebie („Często zapominałam, że nie jestem Polką, ale potem obcy ludzie zbyt często mi przypominali, że »ty nie jesteś nasza«").

Kolejna grupa badanych to tzw. Drugie Pokolenie, Afropolki i Afropolacy – dzieci z mieszanych małżeństw, urodzone i wychowane w Polsce. Język polski jest ich językiem ojczystym („Jestem czarnym Polakiem"). Polskę porównują z Zachodem. Nie wykluczają emigracji do wielokulturowej Europy Zachodniej. Szukając swoich korzeni w kraju afrykańskiego rodzica, niejednokrotnie napotykają trudności („Ludzie w Zimbabwe też mnie wytykają, że nie jestem ich. Robi mi się wtedy podwójnie przykro").

Pozostałe grupy to Ekspaci, Studenci i Uchodźcy. Pierwsi mają do czynienia z Polską korporacyjną, mieszkają w dużych miastach, nie uczą się języka, nie zakładają rodzin, wkrótce wyjadą, podobnie jak większość Studentów. Uchodźcy z Afryki walczą o przetrwanie. Ich los w naszym kraju jest niepewny, a kontakty z Polakami nacechowane wieloma uprzedzeniami.

Z życia w Polsce zadowolonych jest dwóch na trzech badanych. Najwięcej Zadomowionych (86%) i tylko połowa Drugiego Pokolenia (48%). Głównym powodem niezadowolenia są agresja i rasizm, jakich doświadczają. Starsze pokolenie (5% niezadowolonych) okrzepło wobec wytykania palcem, wyzwisk i napadów („Jest rasizm i jest go dużo, ale po 20 latach nauczyłam się żyć z pewnymi rzeczami, radzę sobie i potrafiłam się w tym odnaleźć"). Wśród młodych znacznie z tym gorzej – niezadowolona jest co czwarta osoba poniżej 30. roku życia. Ważnym czynnikiem jest też brak przynależności do wspólnoty („Jedyne miejsce, w którym poczułem się Polakiem, to moment, w którym dostałem wezwanie do wojska").

Piękna Polska rasistowska

Polska w oczach Afrykanek i Afrykanów to kraj piękny, dobrze rozwinięty i w miarę bezpieczny. Polacy są gościnni, życzliwi, przywiązani do tradycji. Mają poczucie humoru i potrafią jednoczyć się w potrzebie. Z minusów – ponura jesień i długa zima, skłócony naród, brak rozdziału państwa od Kościoła, narzekactwo, zakompleksienie, wtrącanie się w życie innych. I rasizm.

Prawie wszyscy doświadczyli w Polsce agresji słownej (90%), a zdecydowana większość przemocy fizycznej na tle rasistowskim (72%). Jej ofiarami są znacznie częściej młodsi (91%) niż starsi respondenci (68%), mężczyźni częściej niż kobiety, które narażone są na tzw. mikroagresje (dotykanie włosów, skóry, zaczepki słowne). W relacjach badanych pojawiają się również przykłady braku akceptacji ich wyglądu przez polską część rodziny („Pierwszą osobą, która mnie dyskryminowała, była moja babcia, która próbowała zetrzeć ze mnie kolor skóry pumeksem, nacierała mnie cytryną i przyczepiała mi klamerkę, bym nie miała »brzydkiego«, płaskiego nosa").

> Prawie wszyscy Afrykanie doświadczyli w Polsce agresji słownej, a zdecydowana większość przemocy fizycznej na tle rasistowskim.

Badanie pokazuje, że do ataków dochodzi najczęściej w przestrzeni publicznej – na ulicy, w komunikacji miejskiej („Nikt nie chce usiąść obok w autobusie, nikt nie chce brać pieniędzy w sklepie do ręki – trzeba położyć na ladzie"), ze strony służb medycznych („W szpitalu pielęgniarka nie chciała mi pobierać krwi. Mówiła, że nie będzie się dotykać, że mam czarną krew") i policyjnych („Atakują mnie na ulicy – policja przyjeżdża, ale nic nie robią. Ja zgłaszam sprawę, ale sądy są za nimi, nie za nami. Pytają: »A co pan robił tam o godz. 19, nie ma pan domu?«").

Dyskryminację w szkole/na uczelni, i to nie tylko ze strony rówieśników, wskazało 95% respondentów Drugiego Pokolenia („Moja pani w szkole podstawowej opowiadała

eprasa.pl 54657ca967

Protest przed ambasadą USA pod hasłem „No justice, no peace". Warszawa, 4 czerwca 2020 r.

na lekcji żarty o Murzynach przy całej klasie"). Rasizm ukryty w słowach respondenci uznali za najbardziej dokuczliwy i dewastujący („Kryptorasizm, niby go nie ma, a tak naprawdę jest. Jak ktoś kogoś poniża przez kilka lat, to skutki psychiczne są dużo gorsze, niż jak się dostanie w twarz"). Zdecydowana większość osób pochodzenia afrykańskiego uważa słowo Murzyn za obraźliwe (84%). Przeciwnego zdania jest zaledwie 2% badanych.

Starsze pokolenie częściej stosuje pasywne strategie radzenia sobie z nietolerancją, schodząc z drogi agresorom. Młodzi stawiają na działalność publiczną, inicjują lub wspierają takie akcje jak Don't Call Me Murzyn czy Black Lives Matter.

Tylko połowa (52%) osób pochodzenia afrykańskiego czuje się w Polsce bezpiecznie. Wśród Polaków odsetek osób czujących się bezpiecznie wynosi 82% (CBOS). Dwie trzecie badanych (68%) zdałoby się na pomoc sąsiadów w trudnej sytuacji. Znacznie gorszą opinię mają rząd i media publiczne. Badani wskazują konkretną datę w kalendarzu, kiedy rasizm tolerowany przez państwo osiąga apogeum: 11 listopada („Podczas Marszu Niepodległości zostałam obrzucona kamieniami. Tego dnia staram się nie wychodzić z domu; Wszystkie niebiałe osoby, jakie znam, tego dnia się boją").

Co trzeci badany twierdzi, że w Polsce zachodzą zmiany na lepsze, co piąty, że na gorsze. Na listę życzeń trafiły m.in. opowiadanie afrykańskich bajek w przedszkolach, organizowanie warsztatów hip-hopu dla młodzieży oraz szkolenie nauczycieli i policjantów w zwalczaniu zachowań rasistowskich. Afrykanie chcieliby, żeby ich uważniej słuchać i żeby zaprzestać dyskusji o kolorze skóry („Ludzie muszą zrozumieć, że świat się zmienia i oblicze Polski też się zmienia. Black is Polish").

Więcej kontaktów, mniej barier

Badania opinii Polaków na temat imigrantów przeprowadzano etapami – w 2010 r., a następnie po pięciu i siedmiu latach. W początkowych wynikach dominowały nieufność i stereotypy na temat „innych", którzy mogli u nas mieszkać, o ile byli „kimś" i potrafili „wtopić się w tłum". Rok 2015 przyniósł wzrost nastrojów islamo- i ksenofobicznych spowodowany tzw. kryzysem imigracyjnym. Skorzystali na nich politycy PiS, przejmując władzę. Podgrzewanie tych nastrojów przez kolejne lata nie przyniosło jednak spodziewanych efektów – najnowsze badanie, które rozpoczęło się krótko po wybuchu wojny w Ukrainie, pokazuje, że Polacy zdążyli w ostatnich latach przywyknąć do przybyszów z innych krajów. Prawie każdy spotyka w miejscu zamieszkania Ukraińców (92%), Azjatów widuje niespełna połowa z nas (45%), a Afrykanów ponad jedna trzecia (39% – trzy razy więcej niż w 2105 r.). Im więcej kontaktów, tym mniej barier. Sąsiad z Afryki jest mile widziany przez 84% z nas (wzrost z 64%); zięcia, a najlepiej synową o afrykańskich korzeniach zaakceptuje ponad połowa teściów nad Wisłą (58%, wzrost z 34%). Podobnie przedstawia się nasz stosunek do osób z Azji, znacznie gorzej do osób pochodzenia arabskiego. Badacze podkreślają, że w porównaniu z poprzednim pomiarem nastąpił znaczny wzrost tolerancji.

Jesteśmy skłonni do pomocy humanitarnej niezależnie od pochodzenia potrzebujących (82%). Uważamy, że Polska potrzebuje imigrantów, gdyż sama emigruje. Tylko 17% uważa, że bez nich byłoby lepiej (spadek z 36%). Przybyło miejsc pracy, zniknęły obawy, że imigrant nam ją zabierze (spadek z 50% do 17%). Żyje nam się lepiej; jak podaje CBOS, za największe zagrożenia – tuż przed wybuchem wojny w Ukrainie – uważaliśmy drożyznę (71%), wojnę (70%),

eprasa.pl 54657ca967

choroby (64%) i pandemię (38%). Imigranci znaleźli się na siódmej pozycji (22%). Przestajemy wierzyć, że ci spoza Europy są roznosicielami chorób (zdecydowanie tak – 12%, zdecydowanie nie – 31%).

Jesteśmy świadomi przejawów rasizmu wobec Afrykanów i Afrykanek (74%, wzrost z 52%), ale to osoby młode, wykształcone, z dużych miast podbijają statystykę. Polski dla Polaków chciałby co czwarty badany. Wciąż dostrzegamy przepaść kulturową i obyczajową między nami a Afrykanami (76%, wzrost z 63%).

Nie trafia do nas rekomendacja Rady Języka Polskiego z października 2020 r., wywalczona przez Afropolki z organizacji Black is Polish, dotycząca rzeczownika „Murzyn" – tylko co trzeci Polak zgadza się z opinią, że jest on archaiczny i obarczony złymi skojarzeniami. Polscy rodzice, przywiązani do tradycji, dostają lekcje tolerancji od młodych („To słowo obraźliwe. Dzięki synowi to wiem"). Dwóch na trzech Polaków zna problem z „Murzynkiem Bambo", ale tylko co dziesiąty zgadza się, by wiersz Tuwima usunąć z listy lektur (wśród młodych odsetek jest dwukrotnie wyższy). Żarty z Afrykanów są w porządku, no i wszystkim Polakom zdarza się powiedzieć „sto lat za Murzynami", „ciemno jak u Murzyna w dupie", „robić za murzyna".

84% osób pochodzenia afrykańskiego uważa słowo Murzyn za obraźliwe. A tylko co trzeci Polak uznaje je za obarczone złymi skojarzeniami.

Afryka budzi skrajne emocje, od zaciekawienia dziką naturą i odmienną kulturą po lęk i poczucie obcości („Te kraje ciągle walczą między sobą, tam nie ma pokoju i nie będzie"). Kobiety pojechałyby tam wyłącznie w towarzystwie mężczyzn. Winę za umacnianie w nas stereotypowych przekonań ponoszą media, które pokazują przyrodę albo biedę. Do głównego nurtu newsów trafiają wyłącznie konflikty w państwach afrykańskich. Dobrą robotę wykonują Janina Ochojska czy Martyna Wojciechowska. Przez dziesięciolecia Polacy czerpali wiedzę o Afryce i jej potrzebach prawie wyłącznie od Kościoła katolickiego i jego misjonarzy.

Dominuje postrzeganie Afrykanów jako „zupełnie innych" („Tak naprawdę to nie wiemy, o czym oni marzą, o czym myślą, bo nie spotykamy się z nimi"), ale dostrzegamy, że są pracowici, pozytywni („Możemy uczyć się od nich, co to są podstawowe uczucia, żeby zwolnić, bawić się, wszystko przyjmować z uśmiechem"), żyją we wspólnocie, są muzykalni i świetnie tańczą. Już prawie połowa z nas uważa, że Afrykanie mogliby z nami skutecznie się integrować. Zapał topnieje, gdy przekraczają granice naszego kraju.

Czyny rasistowskie przypisujemy wyłącznie kibolom, neofaszystom i dresiarzom. Tymczasem postawy ksenofobiczne pojawiają się u Polaków, którzy wyjeżdżają do rodziny na Zachód i wracają zarażeni uprzedzeniami wobec „ciapatych", oraz

MURZYNKÓW NIE WPUSZCZAMY

Opowiada Sara, stomatolog, modelka i aktywistka

Urodziłam się w Toruniu. Całe życie mieszkałam w Polsce, chociaż ludzie prawie zawsze zakładają, że jestem obca. Moja mama jest Polką, tata Angolczykiem. Przyjechał na studia prawnicze 30 lat temu. Był jednym z ostatnich roczników wspieranych przez ambasadę swojego kraju, od której otrzymał wysokie stypendium. Kiedy stanął na polskiej ziemi, przeżył szok – polskie lotnisko było znacznie skromniejsze od angolskiego, mimo że tam trwała wojna domowa.

Po ukończeniu rocznego Studium Języka Polskiego tata musiał wybrać kierunek studiów. Mógł zostać architektem, lekarzem, inżynierem, prawnikiem. Po studiach nie wyjechał z Polski. Gdyby wrócił do Angoli, zrobiłby może karierę polityczną.

Jak byłam u mamy w brzuchu, zdarzył się incydent na toruńskim osiedlu. Rodzice spacerowali razem, kiedy zaczepili ich skinheadzi. Było groźnie. Pierwsza afera, którą ja pamiętam, zdarzyła się w przedszkolu. Dziewczynka zatrzasnęła domek dla lalek i powiedziała: „Murzynków nie wpuszczamy". Mama na wieść o tym wparowała do placówki i zrobiła porządek. Niczego więcej nie pamiętam. Nauczycielki były dla mnie zawsze miłe. Aha, zdarzyło się jeszcze coś w Warszawie u taty, kiedy miałam pięć lat i rodzice już ze sobą nie byli. Pewien sąsiad, całkiem miły, nadużył alkoholu. Tata pomógł mu przy wejściu do domu i został wyzwany od czarnuchów. Żona tego pana interweniowała.

Chodziłam do publicznej szkoły muzycznej w Toruniu. Grałam na skrzypcach, potem na altówce. To była dobra szkoła. Oprócz mnie były w niej inne mieszane dzieci. Mama dobrze wybrała. Dziecku trzeba nadać pęd, mnie prowadziła muzyka.

Babcia mówiła, że ze względu na kolor skóry muszę mówić lepiej po polsku i ogólnie bardziej się starać. Jak miałam 15 lat i szłam ulicą Szeroką w Toruniu – miałam słuchawki na uszach, pomarańczowe włosy, normalna, zadowolona z życia nastolatka – nagle jakiś pan zaczął za mną krzyczeć: „Ty czarna świnio!". Nie wiedziałam, co się dzieje – biały dzień, idę sobie nad Wisłę pouczyć się biologii, a on chce zgasić moje światło. Opowiedziałam o tym w domu, z humorem. Babcia, osoba niewidoma, zaczęła krzyczeć: „Gdzie jest moja laska?!". Chciała jechać na Szeroką i zbić tego faceta. (…)

Po szkole średniej nie wiedziałam, co dalej, więc poszłam na biotechnologię do Gdańska. Dziadek powiedział wtedy: „Ty jesteś Sara Alexandre, jesteś moją wnuczką, możesz wszystko. Popraw maturę". Zrobiłam, jak mówił. Dostałam się i na medycynę, i na stomatologię. Na Łódzkim Uniwersytecie Medycznym spotkałam ludzi z całej Polski. Na roku było 150 osób, ja jedyna niebiała. Miałam kolegów rasistów, którzy nigdy by się do tego nie przyznali. Bardzo chciałam gdzieś przynależeć, przybrałam więc rolę błazna, śmiałam się z siebie. A jednak,

eprasa.pl 54657ca967

Demonstracja pod hasłem „Dość rasizmu i faszyzmu!". Warszawa, 16 marca 2019 r.

u osób przeprowadzających się ze wsi do miasta – w obu sytuacjach niepewność losu w nowym miejscu skłania do szukania kozłów ofiarnych. Mało jest wiedzy o karalności czynów o podłożu rasistowskim (do pięciu lat pozbawienia wolności za znieważenie osób na tle przynależności narodowej).

Badacze zauważają, że część respondentów stara się ukryć niechęć do imigrantów z tzw. Trzeciego Świata, tłumacząc na różne sposoby swoje postawy („Może ludzie się boją, że oni im coś zabiorą – stanowisko, żonę, dziecko"; „Rasizm to się chyba wynosi z domu"). Czarnoskóry Polak? Ma mówić płynnie po polsku, pracować i płacić podatki. Szanować kobiety, starszym ustępować miejsca w autobusie, obchodzić Wigilię i najlepiej być katolikiem.

Biała mniejszość

„Biel opiera się na podstawowym założeniu: definicja osób białych jako normy lub wzorca człowieka, a niebiałych jako odstępstwa od tej normy", pisze Robin DiAngelo, amerykańska socjolożka i działaczka antyrasistowska.

15 listopada urodził się ośmiomiliardowy obywatel świata. W 2050 r. będzie nas 9,5 mld; co czwarty mieszkaniec Ziemi pochodzić będzie z Afryki. Co trzeci Afrykanin określany jest obecnie jako „klasa średnia". Studenci z Afryki Subsaharyjskiej są według Campus France światowymi rekordzistami mobilności.

Można połączyć te kropki i zbić kapitał na naszej polskiej gościnności. Można nas straszyć „obcym", nie bacząc na to, że znajdziemy się niedługo sto lat za innymi krajami.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

---

kiedy przyjechałam do domu i opowiedziałam mamie, że koledzy ze mnie żartują, zaczęłam płakać..

Zawsze miałam słabość do czarnych ludzi. Kontekstem historycznym, społecznym interesuję się od kilku lat, ale już jako dziewięciolatka u mamy w Londynie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam tylu czarnych, poczułam, że to niebo i ja do niego należę. Lata później, w Ameryce, gdzie jest dużo czarnych, zwracano uwagę na mój akcent. Wszędzie muszę być przygotowana na pytanie, kim jestem.

Jestem modelką. Czasem widzę koszmarne ogłoszenia o treści: „Szukam Murzynki" itd. Jestem lekarzem. Bałam się, że ktoś może oceniać moje kompetencje przez pryzmat koloru skóry albo po prostu nie chcieć leczyć się u ciemnoskórej lekarki – ale tak nie jest. Nie doświadczam rasizmu branżowego.

Jestem aktywistką. Wczoraj pomogłam Kamerunce, która cztery dni temu urodziła dziecko i już dziś Straż Graniczna chciała umieścić ją w ośrodku zamkniętym – z maluszkiem! (...)

Jestem Angolką. Niedawno wróciłam od taty, który teraz mieszka w Angoli. Byłam tam pierwszy raz. Przeżyłam szok. Powtarzałam w kółko: „Czemu tu nie jest jak w Dubaju?!". Mają lepsze ziemie, bogactwa naturalne, a niszczy ich korupcja i neokolonializm. Oni z kolei zamęczali mnie pytaniami o religię. Kościół doprowadził Afrykę do ściany. Nie mogę słuchać historii o misjonarzach, którzy zdzierają z biednych ludzi resztki tego, co ci mają. Wiem, że jako Europejka jestem winna wielu grzechów wobec Afryki czy Azji. Chciałabym pomagać. Ale nie tak „turystycznie" (z wakacji w Kenii wróciłam z jedną parą butów, wszystko rozdałam). Chcę się uczyć Afryki, a potem uczyć innych, jak pomagać. Nie chcemy „czarnuchów" u nas, ale jedziemy na Zanzibar i widząc tam te słodkie dzieci, rozdajemy im cukierki. Nie myślimy o przyszłości, w której one być może jako dorosłe osoby staną u naszych granic. Trzeba wspierać lokalne społeczności, podsuwać pomysły, ale sprawczość zostawiać im samym.

W czasie pandemii, kiedy po zabójstwie George'a Floyda przybrał na sile ruch Black Lives Matter, Noemi Ndoloka Mbezi, Ogi Ugonoh, Marta Udoh i ja założyłyśmy Don't Call Me Murzyn. Otworzyłam się na temat swojej tożsamości i doświadczania rasizmu. Zapomniałam, że kiedyś muszę wrócić na studia, a tam też mnie to spotyka. Nie żałuję niczego. Nawet kłótni z prof. Bralczykiem! Odbiło się czkawką, ale teraz wiem, kim jestem. Don't Call Me Murzyn przekształciło się w Black is Polish.

Na granicę polsko-ukraińską pojechałam, bo było wezwanie z Przemyśla, gdzie grasowali naziole, a z Ukrainy jechali cudzoziemcy studenci. Prowadziłam pierwszą grupę 12 Somalijczyków. Do przejścia mieliśmy kilkaset metrów, nie wiedziałam, co się może zdarzyć, a oni polegali tylko na mnie. Udało się wsadzić ich do autobusu i wysłać do Warszawy. Panował chaos, nie spałam przez tydzień. Tysiące ludzi zgłaszały się do Black is Polish, jedynej organizacji w Polsce z black w nazwie.

W najbliższy weekend jadę do Warszawy na zebranie Alliance For Black Justice, konglomeratu kilku grup działających na rzecz uchodźców pochodzenia afrykańskiego.

■

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER, ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

eprasa.pl 54657ca967

Marcin Przymencki

Co mewa robi w mieście?

Gniazdując na dachach budynków, mewy pozbyły się swojego największego utrapienia – ssaków drapieżnych

Mewy kojarzymy przede wszystkim z morzem. Przy barze czekają niekiedy na rzuconą im frytkę, a rano budzą nas ich przenikliwe krzyki. Coraz częściej jednak pojawiają się w miastach, i to nie tylko tych na wybrzeżu. Czy kiedyś będą naszymi sąsiadami na co dzień?

Do podrodziny mew (*Larinae*) aktualnie możemy zaliczyć 53 gatunki zamieszkujące całą kulę ziemską. Ptaki te pierwotnie związane były z obszarami morskimi, a także z jeziorami i rzekami. I nadal wiele z nich w tych miejscach gniazduje, ale pewna grupa, de facto coraz większa, osiedliła się w miastach. Powodów jest kilka.

Dach jak wyspa

Dlaczego miasta stały się dla mew atrakcyjne? Rozrzucone na morzu betonu budynki i inne elementy infrastruktury przypominają ptakom wyspy, które wystają ponad powierzchnię wody. Dzięki temu stanowią nie tylko miejsce do rozrodu. Mewy wykorzystują je też jako noclegowiska i miejsca odpoczynku, zarówno zimą, jak i latem.

Do pierwszej połowy XX w. wiele gatunków ptaków, które gniazdują kolonijnie, było prześladowanych przez człowieka. Wybierano im jaja z gniazd, zabijano dorosłe osobniki i pisklęta, niszczono siedliska lęgowe. Ale wtedy właśnie wprowadzone zostały pierwsze akty prawne, które objęły te ptaki ochroną gatunkową. Pozwoliło to na odbudowę populacji i znaczne zwiększenie ich liczebności. W przypadku mew często na tyle, że zaczęło im brakować naturalnych siedlisk. Skutkiem tego było ich stopniowe przenoszenie się do miast.

Gniazdując na dachach budynków i innych elementach infrastruktury, mewy pozbyły się swojego największego utrapienia – ssaków drapieżnych, które wchodzą do naturalnych kolonii i nieraz je dziesiątkują. Nie tylko niszczą gniazda z jajami, ale również zagryzają dorosłe osobniki. Nie jest to, rzecz jasna, bezwzględna wina ani lisa, ani wizona amerykańskiego. Postępują one zgodnie z instynktem, ale dla gniazdujących na ziemi ptaków są jednym z największych zagrożeń. Dlatego wybór dachów, gdzie drapieżniki nie mają dostępu (albo jest on znacząco zredukowany), umożliwił mewom funkcjonowanie w tym nowym siedlisku i dalszą jego kolonizację. Mewy nie są więc już przypisane do okolic nadmorskich i możemy się ich spodziewać w głębi lądu, np. w Poznaniu, Warszawie czy Mińsku. Tylko w ostatnich latach w białoruskiej stolicy stwierdzono gniazdowanie przynajmniej 10 tys. par z kilku gatunków.

Bardzo ważnym czynnikiem umożliwiającym zasiedlenie obszarów zurbanizowanych jest dieta. Ucząc się korzystania z odpadów produkowanych przez człowieka, mewy zyskały dostęp do nowego pokarmu, który, choć niskiej jakości, jest przewidywalny i nie trzeba się wysilać, by go zdobyć. Zresztą w ramach eksperymentu stwierdzono nawet, że mewy srebrzyste wolą jedzenie, które było wcześniej trzymane przez człowieka. Ale nie zawsze ograniczają się do takiego pożywienia. Ich oportunizm nakazuje zdobywać, co tylko się da. W Barcelonie główny pokarm gniazdujących tam mew romańskich stanowią gołębie i inwazyjny gatunek papug – mnichy nizinne. Co ciekawe, mewy żerują głównie na obszarach gęsto zabudowanych mimo dostępu do morza. Niedaleko, w porcie, korzystają z tego, co zostawią rybacy po połowie. I choć to ryby stanowią zwykle główne źródło pokarmu w koloniach naturalnych, ptaki, które zasiedlają miasta, rzadziej polują na nie, żerując na otwartym morzu. Podobnie wygląda sytuacja gniazdujących w Bristolu w Anglii mew żółtonogich, które większość czasu spędzają w najgęściej zabudowanych częściach miasta, a jeżeli nie – to żerują na dżdżownicach, myszach i żabach na obszarach rolniczych. W Dumfries w Szkocji, w miejskiej kolonii tego gatunku, to pierścienice stanowiły gros pokarmu, który dorosłe mewy dostarczały pisklętom.

Naturalna ciekawość i zdolność uczenia się pomagają mewom przystosować się do nowych środowisk.

eprasa.pl 54657ca967

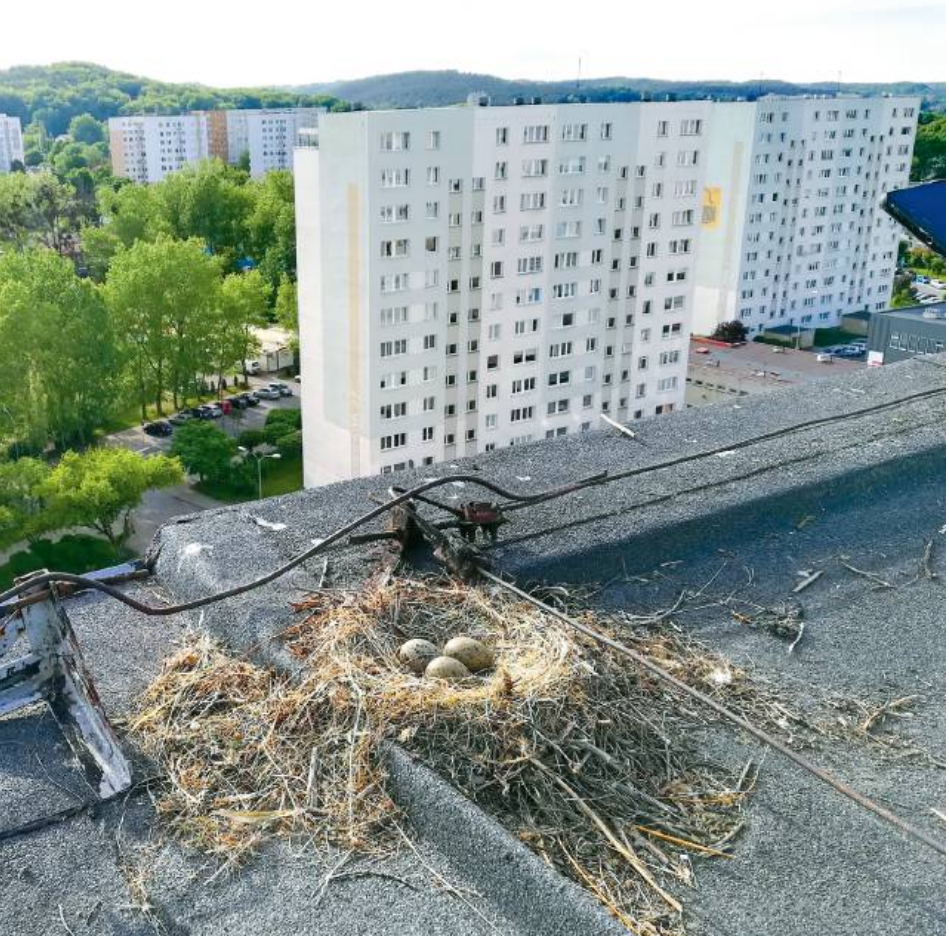

I chociaż w niektórych krajach wysypiska śmieci powoli przestają być znakomicie zaopatrzonymi bufetami dla mew – recykling i kompostowanie zmniejszyły marnotrawstwo żywności – wciąż mogą one znaleźć mnóstwo jedzenia w innych miejscach naszych miast i poza nimi. Są tak dobre w wyszukiwaniu pożywienia, że monitorowanie ich przemieszczania się mogłoby, jak sugerują naukowcy z Hiszpanii, pomóc władzom identyfikować nielegalne wysypiska śmieci. W San Francisco stwierdzono natomiast, że mewy zachodnie i kalifornijskie przelatują aż 40 km od kolonii, aby odwiedzić miejsce składowania resztek jedzenia z restauracji.

Mamy tendencję do myślenia o mewach jako zjadaczach śmieci, ale wiele badań pokazuje, że najlepiej radzą sobie, jedząc ryby. Częściowa rezygnacja z nich na rzecz diety antropogenicznej może jednak mieć związek nie tylko z dostępnością pokarmu w miastach – ryb jest mniej wskutek przełowienia przez nas.

Niedawne badanie wykazało, że ponad połowa znajdujących się na plaży mew była chętna sprawdzić podrzucony tam plastikowy pojemnik na jedzenie.

Budynki i inne elementy infrastruktury przypominają mewom wyspy, które wystają ponad powierzchnię wody.

Dieta śmietnikowa

Mimo tak szerokich możliwości wyboru pokarmu w wielu przypadkach właśnie ten pochodzący od człowieka jest dla mew najbardziej atrakcyjny. Czasami sprawia to problemy, bo ptaki uzależniają się od niego. Kiedy składowisko odpadów, z którego często korzystają, zostanie zamknięte, możemy się spodziewać spadku kondycji osobniczej, a w konsekwencji mniejszej liczby młodych. Gniazdowanie w mieście może zatem okazać się pułapką. W 2018 r. w Wenecji odpady zaczęto zbierać o określonych godzinach, pakować je na łodzie i od razu wywozić z rejonu starego miasta. Wcześniej składowane były przed kamienicami i tam czekały na odbiór, z czego chętnie korzystały mewy romańskie. Skutkiem zmiany polityki śmieciowej była redukcja miejskiej populacji mew o niemal połowę. Obniżenie liczebności w populacjach tego gatunku notuje się też w Hiszpanii i Portugalii – wiąże się je właśnie z zamykaniem wysypisk.

Ale mewy mają dobrze rozwinięty mózg, który pozwala im przystosować się do wyzwań i szybko zmieniającego się środowiska miejskiego. Są niezwykle inteligentne – donoszono już o zrzucaniu przez nie skorupiaków na skały w celu ich rozłupania, a nawet o stosowaniu kawałków chleba jako przynęty do zwabienia ryb na powierzchnię wody, by łatwo było je schwytać. Inne badania sugerują, że mewy mają wyostrzony węch i potrafią wykrywać zapachy unoszące się w powietrzu na duże odległości, co może im pomagać w nawigacji podczas sezonowych wędrówek. A przy tak wyczulonym węchu jest wysoce prawdopodobne, że używają go do wyszukiwania źródeł pożywienia.

We wspomnianym Bristolu mewy żółtonogie dostosowały swój harmonogram żerowania do wzorców aktywności człowieka. W szkołach, gdzie były dokarmiane przez uczniów, najliczniej pojawiały się w trakcie długich przerw. I to tylko od poniedziałku do piątku. W weekend niemal w ogóle tam nie dolatywały. Podobnie jak na składowisko odpadów, gdzie resztki dowożone były we wszystkie dni poza sobotą i niedzielą. Takie zależności w aktywności mew na wysypiskach obserwują również nasi ornitolodzy. Ale prawdopodobnie każdy z nas, będąc nad morzem, miał okazję obserwować zachowania tych pięknych ptaków i to, jak korzystają z dobrodziejstw miast. Czasem z bliska. Bo generalnie mewy przyzwyczaiły się do człowieka. Zaobserwowano jednak, że mewy srebrzyste uciekają od zbliżającego się człowieka szybciej, kiedy ten patrzy prosto na nie. Kiedy podchodzimy, patrząc

FOT. MARCIN PRZYMENCKI (2)

eprasa.pl 54657ca967

w innym kierunku, pozwalają nam zmniejszyć dystans. Może to świadczyć o tym, że mimo zaadaptowania się do warunków miejskich nadal postrzegają nas jako zagrożenie.

Nowi sąsiedzi

Miasta tworzą zjawisko wysp ciepła. Inaczej mówiąc – w miastach jest po prostu cieplej niż poza nimi. W związku z tym mewy mieszczuchy składają jaja nieco wcześniej niż ich kuzyni na obszarach naturalnych. To generalny trend obserwowany u wielu gatunków ptaków. Tyle że jaja składane na obszarach zurbanizowanych są często nieco mniejsze. I choć nie dzieje się tak wszędzie, preferowanie niskiej jakości pokarmu pochodzącego od człowieka, zamiast ryb i innych źródeł białka zwierzęcego, może długoterminowo wpływać niekorzystnie na strukturę populacji. Z drugiej strony brak drapieżników pozwala na stabilne warunki rozrodu.

Ale podobnie jak wiele innych gatunków, które zasiedliły obszary miejskie – szczury, gołębie, lisy – mewy mają pewien problem wizerunkowy. Nie wszyscy je lubią. Z punktu widzenia zwykłego człowieka – nie ma co się dziwić. Są głośne, wszędobylskie, szukając pokarmu, robią bałagan i bywają agresywne. Czyż nie są podobne do nas?

W Barcelonie główny pokarm gniazdujących tam mew romańskich stanowią gołębie i inwazyjny gatunek papug.

Typową taktyką w obronie gniazd jest okrążanie intruzów lub atakowanie wszystkiego, co podejdzie zbyt blisko. Niestety, w miastach i miasteczkach najczęściej oznacza to ludzi. Większość bezpośrednich ataków nie powoduje żadnego kontaktu fizycznego, ale agresywne mewy mogą uderzać w nas stopami. Hałas wytwarzany przez duże kolonie tych ptaków także jest powodem skarg ludzkich mieszkańców miast.

Konflikt z człowiekiem niesie zagrożenie. W Polsce ten problem występuje jeszcze marginalnie, natomiast w Wielkiej Brytanii mewy są często traktowane jako szkodniki. Wiąże się to z usuwaniem gniazd, zabieraniem jaj, zatruwaniem czy odstrzałem dorosłych osobników. Powstają wręcz firmy, które specjalizują się w uprzykrzaniu mewom życia. A w ciągu ostatnich 25 lat dwa pospolite miejskie gatunki – mewa srebrzysta i mewa żółtonoga – odnotowały ogólny spadek liczebności o 60% i 30%. Historia zatacza koło.

Wielu ekspertów nalega, abyśmy nauczyli się żyć z nowymi sąsiadami. Mewy wprowadzają naturę do miast w wielu miejscach na świecie, który traci ją w zastraszającym tempie. A ponieważ ich głosy stały się już częścią miejskich pejzaży, może po prostu powinniśmy zacząć podziwiać pomysłowość, która pozwoliła tym ptakom zaadaptować nasz dom na swój własny.

Marcin Przymencki

Imponująca rozmachem opowieść o narodzinach obszarów znanych dzisiaj jako Trzeci Świat, wydobywająca na światło dzienne złowieszczy związek między polityką potęg imperialnych a klęskami naturalnymi, który zrodził jedną z najokrutniejszych tragedii w dziejach ludzkości. Porażająca panorama rozciągająca się na Chiny, Indie i Brazylię, w której tragiczne działania rządów kolonialnych zderzają się z gigantycznymi klęskami głodu i suszami. Jak doniosłe konsekwencje mają decyzje podejmowane przez rządy w epoce kryzysu środowiskowego?

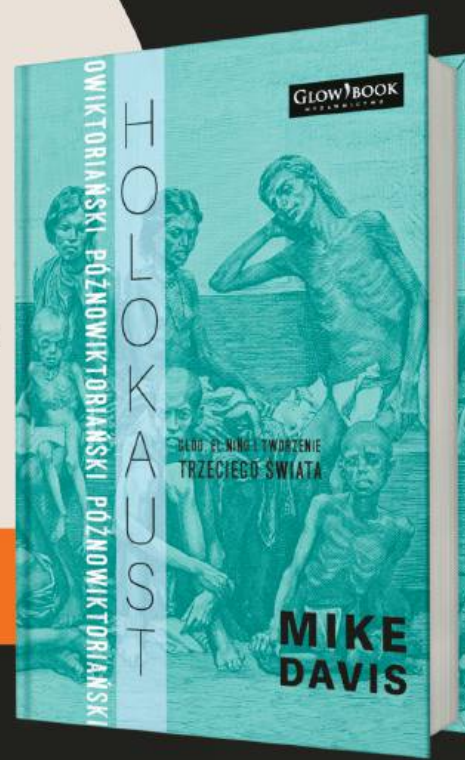

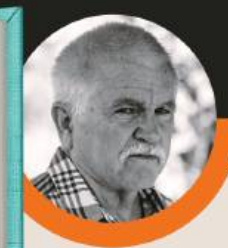

„Książka **Mike'a Davisa** ma fundamentalne znaczenie w dzisiejszym świecie, to niezwykle pouczająca pozycja, która nie skupia się wyłącznie na jednym problemie".

Amartya Sen, „New York Times"

Zamów książkę u nas: WWW.GLOWBOOK.NET

Od listopada dostępna w sieci Empik i dobrych księgarniach.

eprasa.pl 54657ca967

Tokio story

Różne informacje i materiały dotyczące życia wewnętrznego MSZ do nas docierają. Na przykład kopia „zawiadomienia o mobbingu", które do dyrektora generalnego służby zagranicznej Macieja Karasińskiego wysłał jeden z dyplomatów wcześniej zatrudnionych w ambasadzie RP w Tokio (zakładamy, że to pismo prawdziwe). Dość dobrze pokazuje ono, jak działają polskie placówki, jak to wszystko wygląda od środka.

Ale, po pierwsze, zwróćmy uwagę na datę owego zawiadomienia – to maj br. Kopia zaś dotarła do nas w listopadzie. Można więc przypuszczać, że sprawa nie została załatwiona po myśli skarżącego, że MSZ stanęło po stronie oskarżanego o mobbing ambasadora Pawła Milewskiego. I dlatego ktoś chce ją jeszcze raz nagłośnić. Kto? To może być każdy – skarżący, jego znajomi, którzy sprawę znają, albo urzędnicy MSZ, którym jej rozwiązanie nie odpowiada.

Po drugie, zawiadomienie zostało złożone już po tym, jak dyplomata przeszedł do pracy na inną placówkę. On to tłumaczy w ten sposób, że obawiał się, że zostanie wówczas w MSZ zablokowany. Nie zda egzaminu konsularnego, nie zostanie przeniesiony. Czyli tłumaczy się strachem.

Po trzecie, zawiadomienie jest cennym opisem obyczajów panujących w polskich ambasadach. Dowiadujemy się oto, że nasz dyplomata został skierowany do rotacji na nową placówkę, na której miałby również pełnić czynności konsularne. Ale uprawnień konsularnych nie miał, więc musiał przejść odpowiedni kurs. Oraz zdać egzamin w Warszawie. A tu dyrektor Biura Spraw Osobowych Radosław Gruk odmówił mu sfinansowania przez MSZ biletu lotniczego na trasie Tokio-Warszawa-Tokio. Kompromitujący bałagan. Jeżeli MSZ kieruje urzędnika do pracy konsularnej, powinno wpierw sprawdzić, czy ma do tej pracy papiery. A jeżeli nie ma – to powinno się albo z niego zrezygnować, albo umożliwić mu odbycie szkolenia i zdanie egzaminu. Tymczasem mamy zabawę – czy dyrektor się zgodzi (następca Gruka się zgodził), by kupić mu bilet, co na to ambasador itd. Takie zwyczaje psują każdą instytucję.

A potem mamy bałagan już na placówce. Oto bowiem dyplomata organizował wydarzenie promujące polskie firmy z sektora *smart agriculture*. Pierwszy claris w tej sprawie napisał w listopadzie 2020 r. i przesłał do akceptacji swojemu bezpośredniemu przełożonemu (na placówce). Ten udzielił mu zgody. Nasz dyplomata zatem 17 grudnia przekazał ów claris do akceptacji ambasadorowi. „Jednak i to nie przyniosło rezultatu – czytamy w piśmie. – Dopiero po moich kilkukrotnych interwencjach udało się go wreszcie wysłać w dniu 26.01.2021, a więc… po dwóch miesiącach od jego sporządzenia".

Takie jest tempo pracy małej ambasady, w której wszyscy codziennie się spotykają… A jeśli chodzi o te codzienne spotkania – też jest ich opis. „Regularnie spotykałem się również z fałszywymi zarzutami i oskarżeniami, m.in. o spóźnianie się – pisze skarżący. – Przykładem może być rozmowa z dnia 27.04.2021, podczas której Pan Ambasador Paweł Milewski w obecności Pana Radosława Tyszkiewicza podniesionym głosem czynił mi zarzuty, jakobym spóźniał się do pracy ok. godzinę. W rzeczywistości, spóźnienie wyniosło 10 minut – co mieściło się w dopuszczalnej »normie« komunikowanej wcześniej wszystkim pracownikom na spotkaniu organizacyjnym przez kierownika placówki".

I jak tu się dziwić ludziom, którzy co jakiś czas wzywają do rozpędzenia tego humorzastego i rozlazłego towarzystwa?

Attaché

Roag Best, brat pierwszego perkusisty Beatlesów, prowadzi w Liverpoolu muzeum zespołu. Cenny eksponat – toaleta z posiadłości Tittenhurst Park, gdzie Lennon mieszkał z Yoko Ono w 1971 r.

FOT. PA IMAGES/FORUM

eprasa.pl 54657ca967

JOLKA

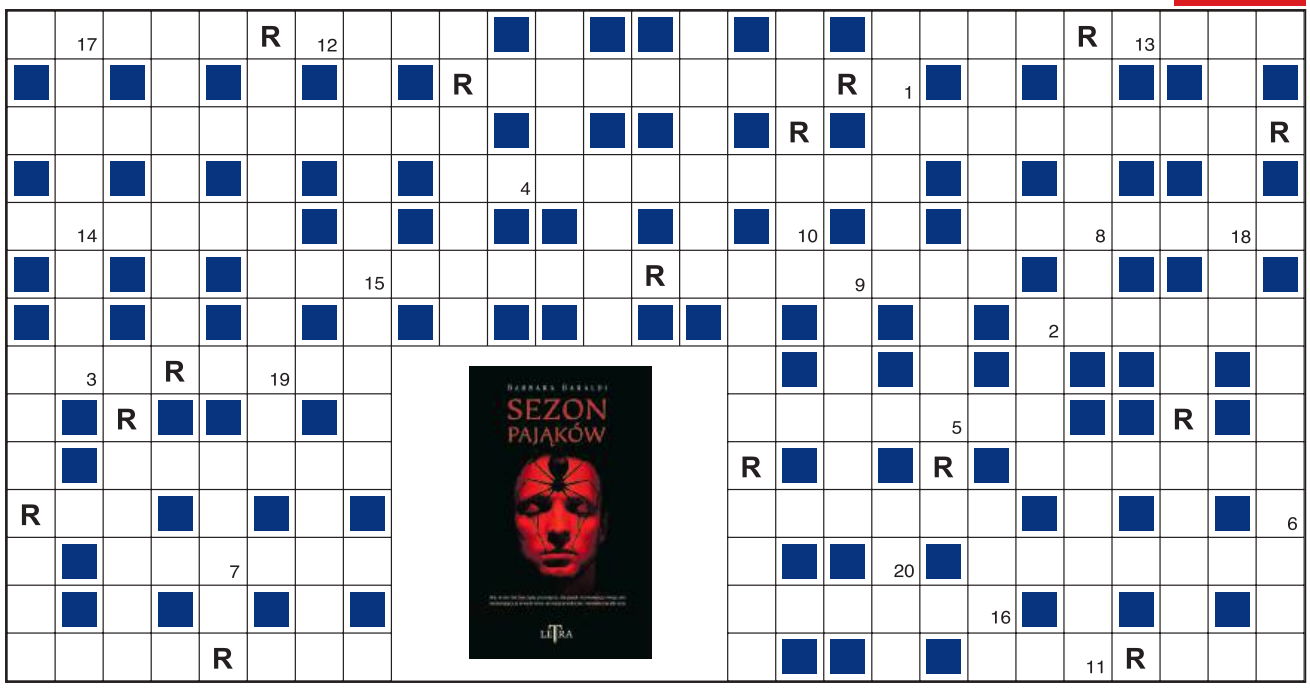

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- wkrótce imieniny jego i Ewy
- z Jackiem w dawnej dobranocce
- święty nazywany młotem na heretyków
- akceptacja, uznanie za dobre, słuszne
- z ubitych z cukrem białek
- mała łącznica telefoniczna
- charakteryzuje przewidującego i okularnika
- do biletu – uiszczana u konduktora
- efekt pracy, a zwłaszcza twórczości
- dawniej nazywana arendą
- odmienność, różność
- wprowadza przełomowe rozwiązania
- makaron lub ozdóbki ze wstążki
- pryszczyk
- jeśli talentów, to bez kowadła
- o urzędzie przydzielającym mieszkania
- popęd seksualny
- plastyczna, perłowa lub upadłościowa
- krętacz, oszust
- myśli, że pozjadał wszystkie rozumy
- ofensywna część drużyny
- nie odwzajemnił uczuć nimfy Echo
- rozpoczął drugą dekadę życia
- potocznie i pieszczotliwie o dziewczynce
- świeża wiadomość, wieść
- szkarłatny wśród krzewów ozdobnych
- honorowy lub medialny nad czymś
- miejsce zamieszkania Plastusia
- opróżnianie tira
- …Dzbanów w Laosie
- w skrócie o byłej funkcji Adama Bodnara
- wyrabia ręczną broń palną
- niewielki teren miejskiej zieleni
- opadanie z sił
- miasto z wytwórnią śmigłowców
- dla górala jest smrekiem
- iloraz funkcji sinus przez cosinus
- na tego kolegę Teodora pora
- drewniany młotka, łopaty
- wart go dobry żart
- pieszczotliwie nazywane dzióbkiem
- do kąpania niemowlaka
- „Słomiany…” z Marilyn Monroe
- awanturnik, zawadiaka
- odwet za doznaną krzywdę
- część skoczni, gdzie skoczkowie lądują
- coś odkrytego w czasie wykopalisk

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1095”. Do rozlosowania książki „Sezon pająków” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 grudnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1092” z nr. 48: *Zgryzota ma ostre zęby.*
Nagrody otrzymują: Józef Bieniek z Niepołomic, Zuzanna Hałas z Białobrzegów, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

eprasa.pl 54657ca967

PENETRACJE

RES HUMANA

ANDRZEJ ŻOR, PUBLICYSTA

Kanał i Puszcza Augustowska z jednej, a Mierzeja i Zalew Wiślany z drugiej strony są unikalnymi w skali światowej rezerwatami (w obiegowym znaczeniu tego słowa) przyrodniczymi. Kiedy już nasycimy się pychą, że po czterech latach pracy udało nam się przekopać niespełna 2 km lekkich piasków, trzeba wreszcie powiedzieć, jaką przyszłość państwo polskie przewiduje dla tego regionu w czasach, w których poszanowanie natury staje się wartością samą w sobie, i trzymać się tego konsekwentnie. Co w równym stopniu dotyczy ziemi augustowskiej, przy wszystkich różnicach, jakie obu terenów dotyczą. Bo z wizją budowania morskiej potęgi od Mikaszówki po Przewięź i od Kątów Rybackich po Piaski trzeba się rozstać raz na zawsze.

PANI

XAWERY ŻUŁAWSKI, REŻYSER

Moje ostatnie 20 lat to jest nieprzerwany proces dojrzewania i zdobywania skillsów tzw. dorosłości. Odkrywania, czym jest dorosłość, dojrzewania w niej i... buntowania się. Te nieustanne obowiązki, ja p***dolę, ile tego jest! Im człowiek starszy, tym więcej ma tych wszystkich spraw, zadań, powinności, kredytów, wydatków na utrzymanie dzieci, samochodów... To jest dorosłość. Młodzież nie ma nic. I to jest piękne. Mogą wsiąść do pociągu i ruszyć przed siebie. My nie. Trzeba nakarmić, kupić, załatwić, zabezpieczyć, zaopiekować się, pomóc.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

ANDRZEJ GUŁA, LIDER POLSKIEGO ALARMU SMOGOWEGO

W całej Europie trwa teraz bum na termomodernizację. Wszyscy chcą przechodzić z ogrzewania gazem na pompy ciepła. Niemcy przyjęli taki kierunek. A co my robimy? Nic. A mamy w Polsce wiele firm, które do tej pory produkowały kotły węglowe i chcą się przebranżowić, bo widzą, że to jest przyszłościowy kierunek. Mamy potencjalny rynek 3 mln domów jednorodzinnych, które skorzystałyby na pompie ciepła. Mamy też producentów takich instalacji, ale oni nie mogą konkurować z gigantami. Największy polski producent może wprowadzić na rynek ok. 10 tys. pomp ciepła rocznie. A dopiero przy kilkuset tysiącach można osiągnąć efekt skali i ogromne cięcie kosztów, na którym zależy zagranicznym firmom.

Nowe nie kłóci się z tradycją. Czerwony i piętrowy, ale już zeroemisyjny autobus elektryczny w zajezdni w Bexleyheath w południowo-wschodnim Londynie.

FOT. PA IMAGES/FORUM

Aby język giętki...

MONIKA STRZĘPKA
O WOJEWODZIE RADZIWILLE

Przyszłością nie są smutni panowie w garniturach. Świat, który reprezentuje, na naszych oczach odchodzi w przeszłość.

JERZY MARKOWSKI
O ZAMYKANIU KOPALŃ

Zamknięcie przez ministra Tchórzewskiego kopalń Makoszowy i Krupiński to sabotaż.

JACEK DEHNEL
O NAJWIĘKSZYM WROGU NATURY

Ludzki niepohamowany pęd do zysków, i to zysków niewielkiej garstki, kosztem wszystkich.

JAN WRÓBEL O PRAWICY

„Prawicowe" jest dzisiaj tak pociągające jak stara i pijana prostytutka oferująca promocyjne stawki.

KUBA WOJEWÓDZKI
O MICHALE RACHONIU

Gdyby na Titanicu mieli takiego Rachonia, nikt by się nie zorientował, że sięgnęli dna.

ANJA RUBIK O EDUKACJI SEKSUALNEJ

W szkole wszystko sprowadzało się do jednej lekcji, podczas której katechetka opowiadała o zaletach kalendarza jako metody antykoncepcji.

KATARZYNA FIGURA
O ŻYCIU PO ROZWODZIE

Prawie wszyscy ze środowiska odwrócili się ode mnie. Tylko Krystyna Janda i Jerzy Stuhr chcieli ze mną pracować.

WIKTOR ZBOROWSKI
O ZASADZIE ŻYCIOWEJ

Bądź uprzejmy dla tych, których mijasz, idąc do góry, bo będziesz ich spotykał, schodząc na dół.

PIOTR POLK O DOŚWIADCZENIU

Ja zawsze obserwowałem ludzi, kradłem ich reakcje, mimikę, sposób poruszania się.

CZESŁAW MOZIL O DUŃSKIM JEDZENIU

Tęsknię za smørrebrød, kanapkami z ciemnego chleba z ziemniakami, majonezem i jajkami.

eprasa.pl 54657ca967

Persona non grata (na bicepsie)

Londyńskie studio NAAMA rozpoczęło akcję darmowego usuwania tatuaży z wizerunkiem Kanye Westa. Niestabilny psychicznie raper, mający na koncie także próbę zostania prezydentem USA, przejawia ostatnio m.in. niezdrową fascynację Adolfem Hitlerem. – Kiedy masz tatuaż z wizerunkiem kogoś, kogo podziwiałeś i kim się inspirowałeś, a teraz ten ktoś zaczyna trafiać na czołówki gazet z niewłaściwych powodów, być może nie chcesz już nosić na sobie jego twarzy – skomentowała Briony Garbett, szefowa studia. Kanye, chłopie, nie jest ci trochę głupio, że tylu osobom zalazłeś za skórę?

Czy Ty, Jessico, bierzesz tę Jessicę…

Influencerka modowa znana w sieci jako Jessica Mercedes wzięła ślub z samą sobą. Miało to miejsce podczas obozu dla kobiet w Meksyku, którego motywem przewodnim było odkrywanie własnego wnętrza i nawiązywanie z nim głębszego kontaktu. – Obiecałam sobie, że będę siebie kochać z całego serca, nigdy już siebie nie zdradzę i będę ze sobą na zawsze – wyznała 29-latka po ceremonii. Młodej parze składamy serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności, mając jednocześnie nadzieję, że oszczędzi nam instagramowej relacji z nocy poślubnej.

Haniebne czyny pod osłoną świerczyny

W podszczecińskich Warzymicach nieznany sprawca poprzecinał opony w 20 samochodach na parkingu przy hurtowni mięsa. Na nagraniu z monitoringu widać, że wandal bardzo przypominał… choinkę. – Jest to osoba, którą być może poznalibyśmy po sylwetce lub sposobie poruszania się. Stąd taki strój. Mężczyzna wiedział, że są kamery, i chciał ukryć swoją tożsamość pod kamuflażem z tych gałęzi świerkowych i tui – przekazał Mateusz Watral z firmy Madar. A może to wcale nie był kamuflaż, tylko poddanie się magii świąt?

Gdzie dwie się biją, tam jedna korzysta

O tytule mistrzyni Polski w boksie zadecydował nie lewy sierpowy czy prawy prosty, lecz rzut kostką. W finale kategorii wagowej 48 kg Kinga Mięgoć, 21-letnia zawodniczka klubu Imperium Wałbrzych, miała się zmierzyć z młodszą o 2 minuty siostrą Angeliką. Dziewczęta są jednak bardzo zżyte, a poza tym związane przysięgą złożoną mamie, że nigdy nie wejdą razem do ringu, dlatego pozwoliły losowi wyznaczyć, która z nich wycofa się z walki. W rezultacie zwyciężczynią ogłoszono Kingę, dzięki czemu dziewczyny wreszcie będzie można odróżnić – po kolorze medalu.

A kto z nami nie wypije, ten… ma prawo

Sąd Kasacyjny, pełniący we Francji funkcję sądu najwyższego, orzekł, że niesłuszne było zwolnienie pewnego mężczyzny za to, że odmówił udziału w zabawach integracyjnych. Ekspracownik przedsiębiorstwa konsultingowego Cubik Partners argumentował, że weekendowe wyjazdy firmowe łączą się z nadmiernym spożyciem napojów wyskokowych, a organizowane podczas nich zabawy bywają upokarzające (jako przykład podał pozorowane akty seksualne). Francuska Temida zawyrokowała, że prawo do odmowy integrowania się jest niezbywalnym prawem każdego pracownika, w związku z czym sprawa o odszkodowanie wróciła na wokandę. Trzeba to oblać!

eprasa.pl 54657ca967

Kibice na zielonej trawce

Również na Półwyspie Iberyjskim miał miejsce ważny precedens: Sąd Najwyższy Wspólnoty Walenckiej uznał, że oglądanie meczu piłki nożnej w godzinach pracy nie stanowi podstawy do wręczenia wypowiedzenia. Stało się to przy okazji rozpatrywania przypadku trzech pracowników firmy transportowo-logistycznej, którzy w lipcu 2021 r. wydłużyli sobie przerwę na posiłek, aby obejrzeć na telefonach starcie swojej kadry narodowej ze Szwajcarią w ćwierćfinale mistrzostw Europy. Sąd uznał, że wspomniany czyn nie był wystarczająco poważny, aby usprawiedliwić zwolnienie, a obniżenie wydajności pracy, na które powoływał się pracodawca, nie zostało udowodnione. Wylani z roboty otrzymali rekompensaty finansowe, ale marna to dla nich pociecha, skoro reprezentacja Hiszpanii ostatecznie nie zdobyła tytułu, a w tym roku szybko odpadła z mistrzostw świata.

CYTATY

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,
były wicepremier, wykładowca Akademii Leona Koźmińskiego
Zimna wojna osłabia demokrację, sprzyjając ekspansji autokracji.
„Rzeczpospolita"

HASŁO NA ZIMĘ
Węgiel, który się nie pali, starcza na dłużej.
„Angora"

DULCE MARIA PEREIRA,
brazylijska architektka
Rasizm to najstarsza ideologia świata.
„Forum"

MAŁGORZATA SOCHA,
AKTORKA
Aż 91% młodych dziewcząt modyfikuje zdjęcia, zanim pokaże je światu.
„Viva!"

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA, SARKA FARKA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 54657ca967

Łucja Mickiewicz, Scena nad stawem

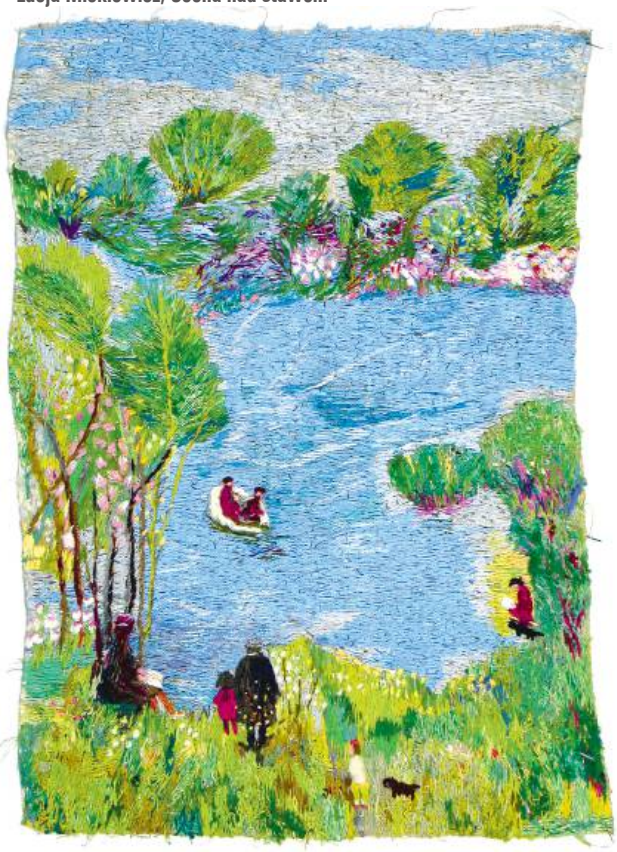

Malarki warszawskie

Szkice ze sztuki zwanej naiwną

Cztery artystki – bohaterki wystawy – to cztery odrębne życiorysy, które łączy szukanie własnej drogi w sztuce. Chociaż losy każdej z nich naznaczone były przeżyciami wojennymi, traumami obozowymi czy chorobami, ich życiowe wybory składają się na obraz pozytywny – dążenia do szczęścia i samorealizacji. Takie też są prace wybitnych, nieżyjących już artystek związanych z Warszawą: Marii Korsak, Łucji Mickiewicz, Leokadii Płonkowej i Haliny Walickiej.

Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie
ul. Kredytowa 1
do 4 czerwca

Maria Korsak, Nowe Miasto w Warszawie

Halina Walicka, Wiatr

Maria Korsak, Ogród Saski

FOT. EDWARD KOPROWSKI (4)

eprasa.pl 54657ca967

REŻYSERIA: RADEK STĘPIEŃ

ALASKA

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

PREMIERA: 16 GRUDNIA 2022

GRAMY: 17, 18, 20, 21 grudnia

www.tcn.at.edu.pl

eprasa.pl 54657ca967

LES FILMS PELLÉAS
przedstawia
LEA SEYDOUX
PASCAL GREGGORY
MELVIL POUPAUD
NICOLE GARCIA
PIĘKNY PORANEK
REŻYSERIA MIA HANSEN-LØVE
W KINACH OD 9 GRUDNIA
FEJRIA DELIBA CAMILLE LEBAN MARTINS SARAH LE PICARD PIERRE MEUNIER
QUINZAINE DES RÉALISATEURS
CANNES 2022

eprasa.pl 54657ca967